

BARBARA BRETTON

JUTRO I NA ZAWSZE

Jutro i na zawsze

Prolog

Koniec sierpnia, 1776

Andrew McVie siedział na zboczach za latarnią morską i czekał. Sam nie był pewien, na co, czuł jednak, że nie ma wyjścia.

Tego ranka obudził się na długo przed świtem, ale natychmiast oprzytomniał, tak jakby przespał głęboko co najmniej osiem godzin. Nocował w zajezdzie w pobliżu Milltown. Annie Willis, właścicielka i dobra kobieta, której dwaj synowie służyli w armii generała Waszyngtona, zaproponowała mu świeżą kawę i ciepły chleb prosto z pieca, lecz Andrew chciał czym prędzej ruszyć w drogę.

- Nie można żyć samym patriotyzmem - powiedziała Annie i podała mu bochenek chleba owinięty w czystą ściereczkę. - Kiedy będziesz jadł, pomyśl o pani Willis i pomódl się, żeby jej synowie wrócili do domu.

Patriotyzm. Słowo, na którego dźwięk jeszcze parę lat temu czuł w piersi ogień, teraz stało mu się zupełnie obojętne. Czasami czuł się tak, jakby nie wiedział, co to znaczy poświęcić wszystko na ołtarzu rewolucji.

Ludzie nazywali go bohaterem. Mówili, że porywa się na rzeczy, na które innym nie starcza odwagi, ponieważ świetnie rozumie, iż los kolonii jest ważniejszy od jego wygod i bezpieczeństwa. Mylili się. Wszyscy. Od śmierci Elspeth i Davida żył tak, jakby nic nie miało dla niego znaczenia prócz bólu, który przeszywał jego serce. Łatwo mu było ryzykować, skoro nie miał już nic do stracenia.

Teraz jednak nie mógł już dalej skutecznie zajmować się szpiegostwem.

Zmienił pozycję i podparł ręką głowę. Podróż na Long Island, aby ostrzec generała Waszyngtona o spisku na jego życie, przyniosła mu jedynie kłopoty. Nie tylko nie zastał tam generała, lecz na dodatek żołnierze potraktowali go tak, jakby był wariatem.

- Chyba zbyt długo siedziałeś na słońcu - powiedział jeden z nich z drwiącym uśmiechem. - Jego Ekscelencja przebywa w Trenton i jest zupełnie bezpieczny.

Andrew próbował później pocieszyć się kuflem piwa, ale na tym padole nie było dla niego pociechy. Widział całą sytuację równie wyraźnie jak własną twarz w lustrze przy goleniu. Podczas gdy on marzył, pochodnia wolności przeszła w inne, młodsze i silniejsze ręce. Młodzi ludzie gotowi byli toczyć bitwy, których on już nie pojmował.

Zaśmiał się gorzko w duszy. Pomyślał, że byłoby lepiej, gdyby leżał teraz martwy na piaszczystej ziemi Long Island. Nie miał już nic do oddania, nic prócz życia przepełnionego żalem. W swoim czasie powinien był coś powiedzieć, coś zrobić. Powinien był lepiej wiedzieć, jak postępować.

Młody, ambitny prawnik z Bostonu zmienił się w patriotę, który następnie utracił wiarę w sens walki, choć inni za jej powodzenie gotowi byli oddać życie.

Tó wszystko nie miało już dla niego znaczenia. Wiedział, jak się skończy wojna. Patrioci zwyciężą. Korona zmieni się w sojusznika. Słońce i księżyc będą wschodzić i zachodzić jak co dzień. A on, Andrew McVie, pozostanie samotny.

Spojrzał na latarnię i pokręcił głową. To wszystko jest takie absurdalne.

Nie sądził, że znowu znajdzie się w tym miejscu. Zupełnie nie rozumiał, dlaczego dotarł do tego akurat punktu wybrzeża New Jersey, skoro jego celem było Princeton. Wiedział jedynie, że przyciągnęła go tu jakaś siła, której nie potrafił się oprzeć.

Zamiast tego powinien teraz siedzieć przy stole Rebeeki Blakelee, jeść doskonały posiłek i rozmyślać nad marnością swego życia.

Nie miał ani żony, ani dziecka. Nie miał domu, do którego mógłby wrócić odpocząć. Samotność, którą zaakceptował jako karę, czasami podchodziła mu do gardła i niemal pozbawiała tchu.

Inni ludzie mają przyjaciół, z którymi mogą spędzić gorącą letnią noc lub ogrzać się zimą przy kominku. On nie miał nic prócz żalu, który w ciągu ostatnich kilku tygodni dopiekał mu jak nigdy przedtem. Tego lata odkrył, że jego serce potrafi jeszcze żywiej bić i przez krótki czas wierzył, że może znowu będzie szczęśliwy.

Emilie Crosse pojawiła się w jego życiu w taki jak ten poranek, właśnie tu, po czym opowiedziała mu niezwy-

kłą historię o wielkim czerwonym balonie, który przeniósł ją przez stulecia. Początkowo uznał ją za szaloną i nie wierzył w jej słowa, ale wkrótce odkrył, że nie pozostaje obojętny na jej urok.

Intrygowała go jej inteligencja i niezwykle poczucie humoru. Czasami wściekał się z powodu jej niezależności i tęsknił za znacznie pokorniejszymi kobietami, jakie dotychczas znał, ale mimo wszystko coś go do niej ciągnęło.

Andrew nie był człowiekiem ulegającym podszeptom fantazji. Nie wierzył w duchy ani zjawy, ani też w świat inny niż ten, w którym żył. Jednak od dnia, w którym znalazł Emilie w piwnicy latami, wiedział, że jego życie już nigdy nie będzie takie samo.

Emilie była znacznie wyższa i silniejsza niż znane mu niewiasty. Zachowywała się tak, jakby dokładnie wiedziała, do czego dąży. Andrew szczerze jej tego zazdrościł, ale na jego wyobraźnię silniej podziałało co innego, a mianowicie świat, jaki opuściła - świat takich cudów, że umysł zwykłego śmiertelnika nie potrafiłby ich chyba pojąć.

Emilie opowiadała o lataniu w lśniących metalowych ptakach, o ludziach chodzących po Księżycu. W jej czasach podobno istniały urzędnicy przewyższające inteligencją Jeffersona i pomysłowością Franklina. Muzykę podobno można było zapisać na lśniącej brązowej taśmie i słuchać, kiedykolwiek przyjdzie na to ochota. Zawartość całej biblioteki można było zmieścić na urządzeniu wielkości talerzyka. Najbiedniejsi obywatele mieli rzekomo posiadać bogactwa, które jemu nie mogły

się nawet przyśnić. Nawet tłusty król Jerzy na swoim angielskim tronie nie mógłby mieć cudów, o których opowiadała Emilie.

A jednak Emilie opowiadała o tych wszystkich rzeczach tak, jakby nie miały dla niej żadnej wartości, jakby nic jej nie obchodziło, czy powróci do swojej epoki.

Z pewnością inaczej myślał mężczyzna, z którym odbyła podróż w czasie. Zane Grey Rutledge nie chciał mieć nic wspólnego ze światem McVie. Należał do swojej epoki i Andrew wiedział, że Zane poruszyłby góry, byle tylko wrócić z Emilie do świata z którego przybyli.

I tu krył się problem. Na nieszczęście, Emilie odbyła podróż w czasie z człowiekiem, który kiedyś był jej mężem. Andrew mógł się tylko przyglądać, jak ta przygoda zbliżyła ich do siebie. Myślał, że oddałby duszę diabłu, gdyby tylko Emilie pokochała jego. Wtedy znów stałby się sobą, odzyskałby siłę, której nie mógł mu przywrócić ani rum, ani walka o niepodległość.

Nie było mu to jednak sądzone. Emilie i Zane stanowili dobraną parę. Prawdę mówiąc, Andrew wiedział o tym od samego początku - przeczuwał to tą cząstką serca, o której sądził, że zniknęła wraz ze śmiercią żony i syna. Ktoś mógłby powiedzieć, że Emilie i Zane są związani wspólną przeszłością, ale Andrew wierzył, że połączyła ich siła wyższa.

Czy tak było w jego związku z Elspeth? Nie mógł sobie przypomnieć. Nocami, przed zaśnięciem, miał przed oczami jej ukochaną twarz, słyszał jej głos i czuł pod ręką jej jedwabistą skórę, ale w dalszym ciągu nie wiedział, co naprawdę czuła i czego pragnęła.

- Ach - mruknął. Miał ochotę napić się whisky lub rumu, które miały moc łagodzenia bólu. Popełnił w życiu tyle błędów i poświęcił tak mało uwagi sprawom naprawdę ważnym, że teraz był już skazany na to, iż codziennie będzie się budził w świecie, który nie może mu niczego zaoferować.

Jego żona i syn zginęli i zostali pochowani. Kobieta, która rozbudziła jego wyobraźnię, kochała innego. Nawet walka o niepodległość nie mogła rozniecić w jego zimnym i zmęczonym sercu iskry namiętności. Wydawało mu się, że żyje tylko po to, aby trwać w tym miejscu i liczyć dni do śmierci.

Zali takie jest moje przeznaczenie? - pomyślał wstając i idąc ku skałom, z których roztaczał się widok na plażę i ocean. Może powinien zostać tu, sam na sam ze swoją rozpaczą, równie bezużyteczny jak latarnia bez płomienia, wskazującego drogę innym zagubionym душom.

Jeśli Opatrzność miała dla niego inne plany, to nie potrafił ich zgłębić.

Przez dłuższą chwilę stał na skałach i uważnie śledził cały horyzont, jakby poszukiwał jakiegoś sygnału, że się myli, czegoś, co wskazałoby mu cel w życiu. Nie widział jednak nic oprócz dziwnych chmur nadciągających znad Atlantyku, przypominających kształtem wielki lichtarz. Chmury przesłoniły słońce, a mocny szkwał wzburzył wodę w porcie.

Nagle poczuł, że jeżą mu się włosy na karku.

- To nic, to tylko nadchodzi burza - powiedział głośno. Słyszeć było żalosne krzyki mew. Wybrzeże New

Jersey było szeroko znane z kapryśnej pogody. Dwa tygodnie temu Andrew słyszał opowieść jakiegoś żeglarsza o ogromnej fali, która zatopiła jego fregatę i połowę załogi. Zwykłe szare chmury to jeszcze nie powód, żeby trąbić na alarm.

Jednak ich widok coś mu przypominał, tak jakby miały one jakieś ukryte znaczenie, którego nie mógł sobie uświadomić. Dość, pomyślał i odwrócił się w drugą stronę. Nagle zapragnął znów spojrzeć na latarnię. Z pewnością nie powinien tu tracić czasu, zwłaszcza że zbliża się sztorm. Powinien powiosłować na ląd, dosiąść konia i postarać się dotrzeć do Princeton przed zmierzchem. Rebeka, żona Josiaha Blakelee, przyjmie go pod swój dach i nakarmi. Następnego ranka porozmawia z Emilie i Zanem, opowie im o tej głupiej wyprawie do latarni i...

Nagle dostrzegł coś czerwonego. Zwężonymi oczami przyglądał się czerwonej plamie tańczącej ponad falami.

- Czerwony, wielki balon, Andrew... Lecieliśmy balonem...

Poczuł, że czoło i skronie ma mokre od potu. Słyszał głos Emilie równie wyraźnie jak wówczas, gdy się spotkali po raz pierwszy.

- Mówisz jakieś nonsensy - powiedział wtedy.

- Mówię prawdę- odparła. - Lecieliśmy razem balonem na gorące powietrze. Pogoda gwałtownie się pogorszyła i mieliśmy wypadek.

Znów otworzył oczy, ale tym razem nie dostrzegł niczego prócz kłębiących się fal. Czy to wyobraźnia płata mu takie figle?

- Nie - powiedział głośno. Dźwięk własnego głosu dodał mu sił. - On tam jest.

Chmury zawisły ponad wyspą, zasłaniając górne piętro latarni. Andrew poczuł na policzkach powiew zimnego wiatru. To nie była typowa sierpniowa pogoda. Najwyraźniej do głosu doszło przeznaczenie.

Nie zdziwił go bynajmniej widok Emilie i Zane'a, płynących łodzią na wyspę. Miał nadzieję, że pomogą mu poradzić sobie w ich świecie, tak samo jak on pomógł im tutaj.

Po kilku minutach Emilie serdecznie go powitała.

- Andrew! - zawołała z przejęciem. - Co ty tu robisz?

- Wracam na farmę, do Rebeki. Zatrzymałem się po drodze.

- My jedziemy do Filadelfii - wyjaśnił Zane.

Andrew i Rutledge wymienili niezręczny uścisk dłoni. Łączyło ich więcej, niż byli gotowi przyznać.

- Te chmury. - Andrew wskazał palcem niebo. - Wydają mi się znajome, choć nie wiem dlaczego.

- Och, Boże. - Emilie pobladła, zachwiała się i Zane musiał ją podtrzymać. - Proszę, tylko nie teraz...

- Dlaczego tu przyjechałeś? - spytał Zane.

- Bo dla mnie nie ma na tym świecie innego miejsca. - Nagle Andrew podjął decyzję.

- Chodźmy stąd - powiedziała Emilie. W jej głosie słychać było panikę. - Wcale nie musimy tu zostać. Możemy wrócić na stały łód, nim zacznie się sztorm. - Ruszyła w stronę łodzi, ale Zane chwycił ją za rękę.

- Patrz - powiedział wskazując ręką w kierunku latarni.

Andrew odwrócił się powoli. Ze zdumienia na chwilę stracił oddech. W porównaniu z ogromnym czerwonym balonem nawet latarnia wydawała się mała. Tuż ponad skałami tańczył wiklinowy kosz, umocowany linami do balonu.

- Dobry Boże - szepnął z podziwem. Mimo rozmiarów, balon wydawał się zupełnie pozbawiony ciężaru. Andrew nie mógł zrozumieć, jak taki pojazd przetrwał dramatyczną podróż.

- To nasza jedyna szansa, Em! - Zane chwycił Emilię za rękę. Tym razem Andrew patrzył na to bez uczucia zazdrości. - A mówiłaś, że balon się nie znajdzie. To nasza szansa! Możemy wrócić do domu!

- Już się wznosi! - zawołał Andrew. Słyszał tarcie lin o wiklinę.

- To nie jest nasz świat, Em! - nalegał Zane. - Chodźmy...

- Zane! - Emilie oddychała szybko. - Nie mogę... Są powody... - Zamilkła i rzuciła mężowi haftowaną torebkę, która upadła na ziemię u jego stóp, po czym odwróciła się i pobiegła w stronę latarni.

- A ty lecisz, Zane? - krzyknął Andrew. Jego słowa zagłuszał wiatr. Myślał o świecie, jaki dotychczas znał tylko z opowieści. - Może to jest ostatnia szansa!

- Masz rację, McVie! - Zane niespodziewanie uśmiechnął się do niego, a to mogło znaczyć tylko jedno. - Do diabła, masz rację. - Z tymi słowami odwrócił się i ruszył do latarni.

Wiklinowy kosz zadrżał i wyraźnie się uniósł. Andrew nie wyobrażał sobie podróży w czasie bez towa-

rzystwa przyjaciół z dwudziestego wieku. To było wykluczone. Teraz miał jednak wszystkiego dość. Najwyraźniej Wszechmogący zrzucił, że normalne szczęście nie będzie jego udziałem. Pomyślał, że byłby idiotą, gdyby nie skorzystał z okazji. W dziwnym świecie Emilie i Zane'a z pewnością nie będzie miał czasu na wspomnienia. A może uda mu się zapomnieć, że kiedyś pragnął czegoś więcej?

Pochylił się, chwycił torebkę Emilie i wcisnął ją za cholewę.

- Lecisz czy zostajesz? - zapytał sam siebie. Zostałby, gdyby tylko ktoś przekonał go, że cokolwiek tu zrobi lub powie, będzie miało jakieś znaczenie. To było jednak niemożliwe. Czyż Emilie nie powiedziała, że jego imię zniknęło ze wszystkich zapisków historycznych i nigdy ponownie sienie pojawiło?

A może jego imię zniknęło z dokumentów, ponieważ to on opuścił osiemnasty wiek? Być może zrobił tu wszystko, co do niego należało, i teraz powinien sobie poszukać innego świata?

A może po prostu zwariował? Czy to wszystko ma jakieś znaczenie w ogólnym planie stworzenia? Dla kogoś, kto stracił już wszystko, nawet śmierć nie wydaje się groźna.

Świat, jaki Andrew McVie znał od dziecka, teraz nie wydawał mu się znajomy. Właśnie dlatego znalazł się tu, właśnie w tej chwili. Jeszcze przed minutą jego przyszłość jawiła mu się ponura jak zachmurzone niebo. Teraz, nagle, po raz pierwszy od lat, poczuł nadzieję. Jego dotychczasowe życie tutaj dobiegło końca. Nowe

właśnie się miało zacząć. Andrew pomyślał, że Bóg zapewne przewidział dla niego miejsce w nowym świecie. Gdyby teraz zrezygnował z tej szansy, za młodu pogrzebałby się w grobie. Błyskawicznie wdrapał się do gondoli akurat w chwili, gdy oderwała się od ziemi i poszybowała w nieznane.

Ostatnia rzecz, jaką zauważył, nim balon zniknął w chmurach, to stojący w oknie latarni Emilie i Zane. Machali mu ręką na pożegnanie.

Jutro i na zawsze

1

- Hej! Świetnie wyglądasz! - Ciemnowłosa panna w gondoli zielonego balonu w kształcie smoka pomachała do niego. Właśnie się mijali.

Andrew nie był pewien, co to za sposób powitania, ale kiwnął uprzejmie głową i uniósł rękę w podobny sposób.

Sam nie wiedział, ile już osób tak go pozdrowiało. Gdy tylko balon obniżył lot i znalazł się poniżej poziomu chmur, Andrew zobaczył wokół dziesiątki innych balonów. Niektóre przypominały domy, inne półksiężyc, jeszcze inne miały dziwaczne kształty, których nie potrafił określić. Do każdego balonu była doczepiona gondola z pasażerami, którzy najwyraźniej przeżywali taką samą przygodę jak on.

Emilie i Zane myśleli, że przeżyli coś niezwykłego, a tymczasem podróż w czasie była najwyraźniej rzeczą równie powszednią, jak przejażdżka drogą pocztową z Trenton do Princeton. Mówili, że to, co ich spotkało, było zrzędzeniem losu, czymś, co właściwie nigdy się nie zdarza, ale oto Andrew miał przed oczami dowody, że to nieprawda.

Balon w kształcie wydłużonego psa powoli zbliżał się z prawej strony. Mężczyzna i kobieta w jaskrawożółtej gondoli witali go machaniem dłoni.

- Przyjęcie u Forbesów o dziewiątej! - zawołała kobieta. - Kolacja z szampanem!

- Wspaniały kostium! - dodał mężczyzna otaczając dłonią usta. - Mam w domu podobny.

Andrew nigdy jeszcze nie słyszał, by ktoś uznał za stosowne komentować jego wygląd. Zerknął na swoje wypłowiałe bryczesy i skórzaną kamizelkę. Wyglądały zupełnie normalnie.

- Z którego stulecia przybywacie? - krzyknął, ale w tym momencie zaryczał palnik zawieszony pod balonem i gondola uniosła się i oddaliła. Jej pasażerowie wyglądali nieco dziwnie, ale na podstawie tego, co zauważył, Andrew uznał, że to pewnie farmerzy z Pensylwanii.

Wszystko wydawało się możliwe.

Wychylił się z gondoli i przez chwilę widział malejący budynek latarni, lecz chmury zaraz zgęstniały i przesłoniły ziemię. Wiedział już, że nie podróżuje samotnie. Zaczął nawet podejrzewać, że zapewne wkrótce wyląduje dokładnie tam, skąd wystartował - o godzinę starszy i znacznie mądrzejszy.

Ogromny balon w biało-zielone paski przeciął mu drogę, lecz jego pasażerowie byli tak zajęci rozmową, że nie zwrócili na niego uwagi. Najwyraźniej, ze wszystkich ludzi w całym bożym królestwie tylko on uważał lot ponad chmurami za coś niezwykłego.

Zaczął się zastanawiać, w jaki sposób powróci na ziemię. Przypomniał sobie, że spadając z nieba Zane złamał

rękę. Tylko delikatny kosz z wikliny chronił go przy zderzeniu z ziemią.

Czarodziejski ogień, który nadymał balon, nagle zakaślał, zasyczał i po chwili zgasł. Andrew poczuł, że serce wali mu jak szalone. Zacisnął palce na krawędzi gondoli. Balon zaczął opadać. W dzieciństwie Andrew wyobrażał sobie, że chmury to miękkie poduszki. W rzeczywistości było zupełnie inaczej. Każda chmura kryła w sobie jakąś niespodziankę. Kosz kołysał się gwałtownie na wszystkie strony. Andrew zastanawiał się, czy nie byłoby rozsądniej wyskoczyć, ale nie miał pojęcia, jaka wysokość dzieli go od powierzchni Ziemi i nie wiedział, jak zakończyłby się taki skok.

Zacisnął zęby i pomyślał, że zaraz się dowie.

Shannon Whitney uważała tylko trzy rzeczy za absolutnie niezbędne w życiu: czyste powietrze, czystą wodę i niedzielne wydanie „New York Timesa”. Mówiąc ściślej, interesowała ją przede wszystkim krzyżówka, której jedynym celem było doprowadzenie rozsądnych ludzi do szaleństwa.

Oczywiście, wielu ludzi uważa rozwiązywanie krzyżówek za oznakę zbliżającego się obłądka, i Shannon również do nich należała. Mimo to w każdą niedzielę rano brała do ręki ulubiony długopis i spędzała więcej czasu, niż się do tego przyznawała, na rozmyślaniach nad skorupiakiem na siedem liter lub rodzajem bielizny noszonym przez osiemnastowieczne kurtyzany.

- Pantalony... nie, za długie - mruknęła pod nosem, przygryzając końcówkę długopisu. Nagle rzuciła go

i przez chwilę patrzyła, jak toczy się w kierunku basenu. Jaki sens mają takie intelektualne zabawy, gdy właściwie nie sposób jest myśleć z powodu ryku tych palników na propan-butan?

Co roku zarząd tego cholernego Klubu Entuzjastów Balonów na Gorące Powietrze prosił ją, by pozwoliła im zorganizować festyn na swym terenie, i co roku Shannon odmawiała.

- Absolutnie niczego nie uszkodzimy - zapewniał ją prezes klubu. - Ma pani moje słowo, że zostawimy po sobie idealny porządek.

Shannon chodziło oczywiście o coś zupełnie innego, nie spodziewała się jednak, by człowiek, który spędza pół życia w gondoli, był zdolny do zrozumienia jej stanowiska.

To kolejny problem wynikający z bogactwa, myślała. Im ktoś ma więcej pieniędzy, tym bardziej absurdalne są jego zabawki. Cóż może być śmieszniej szego niż latanie nad New Jersey w koszu uczepionym do balonu? Chyba tylko wypadnięcie z niego.

Shannon wyrosła w świecie, w którym gra w polo i prywatne korty tenisowe są rzeczą równie powszechną jak kanalizacja, a rozsądni na pozór mężczyźni ryzykują fortunę grając w ruletkę. Ludzie często powiadają, że pieniądze nie dają szczęścia, ale Shannon nie była o tym przekonana. Długi hipoteczne, bankructwo, brak pieniędzy na lekarza dla dzieci - ludzie bogaci nie mają takich problemów. Pieniądze dają coś więcej niż tylko procenty od wielkich sum złożonych w szwajcarskich bankach.

Teraz pochyliła głowę i zatkała rękami uszy. Ryk palnika stopniowo narastał. Niezależnie od tego, czy członkowie klubu rozumieli jej powody, z pewnością dobrze znali jej stanowisko. Ceniła swoją prywatność i nie miała zamiaru zgadzać się na kompromisy tylko dlatego, że kilku bałwanów postanowiło polatać. Gdyby zmądrzeli, może zmieniłaby zdanie, ale na razie nic na to nie wskazywało.

Andrew czuł się głęboko rozczarowany. Wyprostował się i otrzepał spodnie. Największa przygoda jego życia okazała się kolejną głupotą w świecie, w którym z pewnością jej nie brakowało.

Łądowanie w gałęziach lipy zakończyło się upadkiem na ziemię. Prawdę mówiąc miał szczęście, że nie połamał sobie nóg, ale to była niewielka pociecha.

Gdy wreszcie balon opadł poniżej chmur, Andrew natychmiast zorientował się, że leci ponad terenami przylegającymi do rzeki Raritan. Bez trudu poznał okolicę nawet z tak szczególnego punktu widzenia. Przeleciał tuż ponad dachem dokładnie takiego samego domu, jakich wiele już widział w życiu. Zaskoczył go tylko widok prostokątnego stawu. Słyszał wprawdzie opowieści żeglarzy o turkusowych wodach Karaibów, ale nigdy nie spodziewał się, że sam coś takiego zobaczy.

Nie trafił wcale do baśniowego świata przyszłości, o którym prawili cuda Emilie i Zane. Nie wylądował nawet w innej kolonii. Wciąż był w New Jersey, zapewne nie więcej niż kilka kilometrów od miejsca, w którym zaczęła się jego podróż.

Gondola leżała w krzakach, wyrócona do góry

dnem. Powłoka wisiała na gałęziach wysokiej lipy. Nigdzie nie widać było śladu zagadkowego urządzenia, podgrzewającego powietrze w balonie. Widocznie odpadło w trakcie spadania.

- To nie ma znaczenia - powiedział do siebie Andrew i ruszył ścieżką w stronę domu. Stracił szansę na skok w przyszłość. Próbował powiedzieć sobie, że widać nie było mu to sądzone, ale ta refleksja nie przyniosła mu pociechy.

Pomyślał, że zaraz się dowie, gdzie trafił, ugasi pragnienie i wyruszy w drogę powrotną. Jeśli nie będzie żałował nóg, powinien dojść do latarni jeszcze przed zmierzchem. Spieszył się, bo miał coś do powiedzenia Emilie i Zane'owi.

W pewnym momencie poczuł, że w powietrzu unosi się dziwny zapach. Mokry zapach gnijących liści mieszał się z jakąś ostrą wonią. Andrew nie potrafił jej zidentyfikować. Dym? Czuł zapach sosen i jeszcze jakąś woń, która nieprzyjemnie drażniła jego zmysły. To nie był zapach płonącego drewna, lecz coś innego. Drapało go w gardle i piekły go oczy.

Uniósł głowę do góry. Przez korony drzew widać było lekko żółtawe niebo. Nie przypominał sobie, by widział kiedyś coś podobnego. Nie należał do ludzi podziwiających uroki przyrody, lecz mimo to dostrzegł, że coś tu jest inaczej niż zwykle.

To przez te balony, pomyślał. Przez te ognie. To z pewnością te płomienie spowodowały, że całe niebo przesłania żółtawa mgiełka. Odetchnął. Logiczne wyjaśnienie dziwnego zjawiska sprawiło mu ulgę.

W miarę jak zbliżał się do domu, ścieżka stawała się coraz węższa. Po obu stronach rosły starannie przystrzyżone żywopłoty, a przy drodze, w równych odstępach, leżały niewielkie sterty drewna na opał. Tylko ktoś bardzo zamożny mógłby sobie pozwolić, aby tak pieczołowicie troszczyć się o tylną część swej posiadłości. Andrew skrzywił się podejrzliwie. Bogacze na ogół popierają Anglików. Pomyślał, że czeka go konfrontacja. Był niemal pewien, że właściciel powita go z nabitym muszkietem i zada liczne pytania, na które trudno mu będzie odpowiedzieć.

Shannon siedziała na brzegu basenu, z nogami w wodzie, i czekała. Balon wylądował gdzieś na terenie jej posiadłości. Nie miała wątpliwości, że wkrótce pojawi się w jej domu bezradny pilot, poprosi o coś zimnego do picia, zechce skorzystać z toalety i u niej poczeka, aż pojawi się ekipa ratownicza. Dobrze wiedziała, co ją czeka, i nie miała na to zamieszanie najmniejszej ochoty. Nie niepokoił jej fakt, że jest sama w domu, choć zapewne powinien. Mildred i Karl, którzy zajmowali się domem i ogrodem, mieli urlop, a w schronisku dla kobiet, które prowadziła, akurat nikogo nie było. To oczywiście była sytuacja przejściowa. Z pewnością jutro lub pojutrze znów pojawi się jakaś przerażona kobieta, być może z dziećmi, która odważyła się na pierwszy krok ku niezależności, podobnie jak uczyniła to Shannon trzy lata temu.

Sama kiedyś musiała uciec od bicia i przemocy. Gdy później w sądzie, w obecności męża, głośno opowie-

działa całą prawdę o ich małżeństwie, poczuła się naprawdę wolna. Postanowiła, że od tej chwili już nigdy nie pozwoli się zastraszyć. Nie straciła równowagi nawet wtedy, gdy pół roku temu Bryant, jej były mąż, został warunkowo zwolniony za dobre sprawowanie.

Znacznie trudniej było jej znosić samotność.

Wielokrotnie przekonywała sama siebie, że jest zadowolona z życia i lubi samotność, że wystarcza jej to, co ma, i nikogo nie potrzebuje. Gdy jednak widziała parę trzymającą się za ręce lub słyszała podniecony śmiech zakochanych, uświadamiała sobie, że nie udało się jej zdobyć tego, co najważniejsze w życiu.

Zapewne tak już miało być zawsze.

Nie było łatwo zaakceptować tę prawdę, ale Shannon nie żywiła już złudzeń. Miała za sobą małżeństwo i rozwód i wiedziała z doświadczenia, że na całe życie można mieć tylko mężczyznę z marzeń.

Fakt, że mężczyzna, o jakim śniła, istniał tylko w jej wyobraźni, był dostatecznym dowodem, że już do końca życia pozostanie samotna. Potrzebowała mężczyzny silnego i z charakterem, takiego, który pokierowałby wydarzeniami nie tracąc z pola widzenia jej pragnień i potrzeb. Mężczyzny, który kochałby ją bardziej niż cokolwiek innego i który potrafiłby docenić, jakim darem jest jej miłość.

Równie dobrze mogłaby modlić się o lampę Aladyna, gdyż tylko z pomocą dżina udałoby się jej znaleźć taki ideał męskości.

Usłyszała szelest gałęzi. Gdy odwróciła wzrok, zobaczyła mężczyznę stojącego w cieniu lipy.

- Długo to trwało - zauważyła, gdy nieznajomy podszedł bliżej. - Już myślałam, że gdzieś pan zbłądził.

Mężczyzna kroczył z taką pewnością siebie, jakby to on był tu właścicielem. Miał na sobie kostium z okresu wojny o niepodległość: wypłowiałe brązowe bryczesy, samodziałową koszulę, skórzaną kamizelkę i ciężkie, znoszone buty. Kostium wydawał się niezwykle autentyczny. Shannon pomyślała, że wolałaby wersję bardziej teatralną. Taki realizm wydawał się jej przesadny.

Nieznajomy przystanął trzy metry od niej i patrzył tak, jakby pierwszy raz w życiu zobaczył kobietę.

- Czy ktokolwiek w tym waszym cholernym klubie rozumie, co to prywatna własność?

Nieoczekiwany gość przeniósł wzrok z jej stóp na piersi i brzuch. Shannon przez chwilę żałowała, że nie ma na sobie sukienki. Wstała i dumnie wyprostowała ramiona. Nie zamierzała pozwalać, aby ktokolwiek dyktował jej reguły postępowania, i to na jej własnej posiadłości.

Ta niewiasta była niemal goła. Stała przed nim z wojowniczą miną, tak jakby chciała go sprowokować. Czyżby nie miała ni krztyny skromności? Widok jej ciała, okrytego tylko wąskimi skrawkami żółtej tkaniny, sprawił, że ogarnęło go takie pożądanie, jakiego nigdy jeszcze nie doświadczył. Czuł, że za chwilę zapomni o tym, co to cywilizowane zachowanie, i zmieni się w zwierzę.

Niech mu Bóg wybaczy, ale teraz niczego nie pragnął bardziej, niż zerwać z tej dziewczyny resztki ubrania i zobaczyć ją w stroju Ewy.

Emilie była wysoka i szczupła, natomiast ta kobieta wydawała się niska i delikatnie zbudowana. Mimo to miał wrażenie, że niełatwo byłoby zdobyć nad nią przewagę. To kobieta, o którą trzeba zabiegać, a nie taka, z którą można się przespać i rano zapomnieć.

Z trudem odwrócił wzrok od jej wspaniałego ciała i rozejrzał się wokół. Poczuł przyspieszone bicie serca. Jeszcze nigdy nie widział takiego stawu jak ten. Nie tylko był idealnie prostokątny i wypełniony błękitną wodą, ale z jednej strony stał słupek z dziwną, długą deską zawieszoną nad wodą. Na dnie widać było białe, równoległe pasy.

- Czy słyszał pan, co do pana mówiłam? - prychnęła niemal naga dziewczyna. Andrew spojrział na nią i znów ogarnął go płomień pożądania. - Czy pańska ekipa znajdzie tu pana?

Ekipa? Do diabła, co to takiego?

- Nie, łaskawa pani - odpowiedział rozważnie. - Jestem sam.

- Jest pan Szkotem, prawda? - spytała, słysząc jego akcent. - Przypuszczam, że nikt panu nie powiedział, że tutaj wstęp jest wzbroniony.

Andrew pokiwał głową. Pomyślał, że dopóki nie wie, o co jej chodzi, najlepiej będzie się zgodzić.

Coś jest nie w porządku z tym biedakiem, pomyślała Shannon. Odniosła wrażenie, że nieznajomy nie potrafi złożyć w całość zdania składającego się z paru słów. Prócz tego wydawało się jej, że dość kiepsko wygląda.

- Jest pan błądy jak duch - zauważyła. - Czy może przy lądowaniu uderzył się pan w głowę?

- Nie chciałbym sprawiać pani kłopotów, łaskawa pani. Jeśli zechce pani wskazać mi drogę do miasta, zaraz się pożegnám.

Nieznajomy wymawiał „r” jak aktor z hollywoodzkiego filmu kostiumowego. Shannon spotkała w życiu jednego czy dwóch Szkotów. Z pewnością mówili inaczej niż on, i niewątpliwie także inaczej wyglądali.

- Do miasta jest daleko - odrzekła spokojnie. - Przeleciał pan nad moim domem. Powinien pan wiedzieć, gdzie się pan znajduje.

- Proszę mi zatem wskazać pocztową drogę - powiedział i spojrzał w kierunku słońca. - Do zachodu jeszcze daleko. Jeśli znajdę drogę, to przed zmrokiem znajdę daleko.

Ten biedak z pewnością uderzył się w głowę. Może miał wstrząs mózgu? Shannon wolała nie myśleć, że ma do czynienia z idiotą.

- Lepiej będzie, jeśli pan wejdzie - powiedziała. Miała zamiar dać mu coś do picia. Z doświadczenia wiedziała, że ekipa ratunkowa nie przybędzie za pięć minut.

Mężczyzna nie odpowiedział. Czemu właściwie miał to ją dziwić? Wydawał się cichy jak grób. Kucnął przy leżaku i wpatrywał się w rozłożone strony „New York Timesa” tak, jak zapewne prymitywni ludzie gapili się na ogień. Shannon już chciała zażartować, gdy nagle słowa uwięzły jej w gardle. Boże, ten mężczyzna był na swój sposób wspaniały. Miał gęste, brązowe włosy, ściągnięte do tyłu i związane rzemykiem. Mocno rzeźbione rysy wydawały się surowe i twarde. To była twarz człowieka, który zwykł walczyć z żywiołami

i ludźmi. Nie był przystojny wedle powszechnych standardów, ale Shannon nigdy jeszcze nie spotkała mężczyzny o równie uderzającym wyglądzie. W jego orzechowych oczach widać było złote iskierki. Nie potrafiła powiedzieć, co kryje się w jego spojrzeniu, ale gdy czuła jego wzrok, nieświadomie wstrzymywała oddech. Był co najwyżej średniego wzrostu, ale promieniowała z niego siła i męskość. W sercu Shannon odezwała się nagle zapomniana tęsknota.

Moje życie już nigdy nie będzie takie samo. Ta myśl nagle wydała się jej tak oczywista, że niewiele brakowało, a powiedziała by to na głos. Sama nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. To mężczyzna, o jakim marzyłaś. Na całym świecie nie ma takiego drugiego.

Shannon otrząsnęła się z tych śmiesznych myśli. Cóż to za absurdalne, romantyczne pomysły! Ten człowiek wylądował tu balonem na gorące powietrze i na dodatek miał wypadek. To nie był żaden rycerz na białym ruma-ku, który przybył wybawić ją od samotności. Najwyraźniej naczytała się za dużo romansów.

Najwyższa pora zejść na ziemię.

Zaraz wejdą do domu. Nieznajomy zadzwoni po pomoc, napiją się razem czegoś zimnego, po czym zniknie z jej życia.

A jej życie potoczy się dalej dokładnie tak samo, jak się toczyło, nim wyszedł spod lipy, aby przypomnieć jej o wszystkim, o czym marzyła, lecz czego nie mogła zdobyć.

Jutro i na zawsze

2

Teraz Andrew miał już dowód przed własnymi oczami. U góry każdej strony gazety widać było wyraźnie słowa: Niedziela, 29 sierpnia, 1993.

Nie był człowiekiem łatwo ulegającym emocjom, ale gdy składał gazetę, czuł, że drżą mu ręce. Stało się, pomyślał. Dokonało się.

Świat, jaki znał, odszedł już w przeszłość, stał się przedmiotem historycznych traktatów. Generał Waszyngton. Thomas Jefferson. Nagle poczuł, że coś ściska go w gardle. Emilie i Zane.

Zniknęli, wszyscy zniknęli. Wszyscy odeszli w zapomnienie.

Dopiero teraz w pełni uświadomił sobie, co właściwie zrobił. Niewiele brakowało, a uległby wzruszeniu, lecz w tym momencie zwrócił uwagę na obraz na pierwszej stronie. Podpis pod obrazem był dlań zupełnie niezrozumiały: „Pomyślny start promu. Astronauci gotowi”. Ale ten obraz... Dobry Boże, jakież to artysta wyobraził sobie coś takiego? Imponująca maszyna dumnym łukiem wznosiła się w niebo, pozostawiając za sobą ognisty ślad.

To rzeczywiście był świat prawdziwych cudów, jeszcze bardziej zdumiewających niż w opowieściach Emilie i Zane'a. Teraz stał się jego światem.

W tym momencie Andrew zapomniał o wszystkich wątpliwościach. Miał wrażenie, że jego duch wznosi się wyżej niż balon, który przeniósł go przez dwa stulecia. Cóż z tego, że przed chwilą widział wiele osób podróżujących w czasie? Dokonał przecież tego, co niemożliwe. Uchwycił okazję w obie dłonie i stał się cud. Od tej chwili jego życie miało wyglądać zupełnie inaczej.

Poczuł na sobie spojrzenie ciemnowłosej kobiety i uniósł głowę. Rzeczywiście, otwarcie mu się przyglądała. Miała oczy koloru morskiej wody i wydawała się bardzo zaintrygowana. Nagle przyszło mu do głowy, że nie powinien mówić, skąd się tu wziął. Sam nie wiedział, dlaczego tak pomyślał. Emilie i Zane twierdzili, że podróż w czasie balonem jest czymś nadzwyczajnym, lecz Andrew przekonał się już, że balon jest rzeczą powszednią. Pomyślał, że na razie lepiej będzie zachować dyskrecję.

Czy uwierzyłabyś mi, dziewczyno? - pomyślał. Czy też wzięłabyś mnie za wariata?

- Czy coś pan powiedział? - spytała Shannon.
- Nie, łaskawa pani.
- Jestem pewna, że tak.
- Nie - powtórzył. - To omam.
- Nie - nalegała Shannon. - Pan coś powiedział. Słyszałam.

Andrew milczał.

Odbija ci, pomyślała Shannon. Spójrz tylko, jak on na ciebie patrzy - zupełnie jakbyś była towarem. Włożyła płaszcz kąpielowy i zawiązała pasek. Sama nie wiedziała, dlaczego ją to zaniepokoiło. W obecności tego Szkota czuła się zupełnie naga, ale nie miało to związku ze strojem. Nie potrafiła wyjaśnić dziwnego podniecenia, jakie czuła od chwili, gdy zobaczyła, jak ten mężczyzna kroczy po jej trawniku zupełnie tak, jakby to on był właścicielem.

To sprawa akcentu, pomyślała. Gdyby nie to, już dawno powiedziała mu do widzenia. Zawsze miała słabość do mężczyzn z oryginalnym akcentem.

- Może pan wziąć gazetę - powiedziała oschłym tonem. Wołała, aby tamten nie zorientował się, jak mocno bije jej serce. - Nie jest mi już potrzebna.

- To naprawdę nadzwyczaj interesujące - powiedział wstając.

- Właśnie widzę - odrzekła patrząc, jak mężczyzna kurczowo zaciska palce na gazecie. - Wydaje mi się, że w pana stronach nie ma niczego, co przypominałoby „New York Timesa”.

- Nie, łaskawa pani.

- Co u licha z tą łaskawą panią? - zirytowała się Shannon. - To dość staroświeckie wyrażenie, nie sądzi pan?

W oczach nieznanego znów pojawił się wyraz niepewności, dziwnie kontrastujący z promieniującą z niego męskością.

- Nie wiem, jakie imię dali pani na chrzcie - powiedział po chwili.

- Shannon. Shannon Whitney - dodała. Nie mogła powstrzymać nerwowego śmiechu.

- Andrew McVie - odrzekł tamten, skłaniając głowę.

- Czy jest pani niewiastą zamężną?

- Muszę przyznać, że wy, Szkoci, naprawdę nie tracie czasu.

Andrew patrzył na nią, najwyraźniej nic nie rozumiejąc. Nagle poczuła, że się rumieni.

- Byłam mężatką - odpowiedziała w końcu. - Już nie jestem.

- Zatem jest pani wdową.

- Nie. Rozwódką.

- To jakaś epidemia.

- Co takiego?

- Rozwód - wyjaśnił i potrząsnął głową. - To samo nieszczęście rozdzieliło Emilie i Zane'a. Jak to się stało, że małżeństwo popadło w taką niełaszkę?

- Witam w latach dziewięćdziesiątych - powiedziała Shannon. Znów pomyślała, że ten mężczyzna jest inny od wszystkich. - Połowa małżeństw zawieranych w tym kraju kończy się rozwodem.

- To niemożliwe.

- Na litość boską, McVie! Gdzie się pan uchował? Nie mogę uwierzyć, żeby w Szkocji było inaczej.

- Dlaczego sądzi pani, że znam Szkocję?

- Z pewnością nie jest pan z New Jersey.

- Urodziłem się na północ od Bostonu.

- Znam bostoński akcent. Pan mówi inaczej.

- Powiadam prawdę.

- Jestem tego pewna - westchnęła Shannon. - Dla-

czego jednak przez cały czas mam wrażenie, że mówimy różnymi językami?

- Łaskawa pani...?

- Nieważne. - Machnęła ręką z desperacją. Ten człowiek przecież przed chwilą miał wypadek. Nic dziwnego, że ma kłopoty z mówieniem. - Zaraz dam panu leżak i coś zimnego do picia. - Miała nadzieję, że jego ekipa pojawi się tu przed zachodem słońca.

- Tak - odrzekł. - To byłoby nadzwyczaj przyjemne.

Wydawał się jej pełen sprzeczności. Przez chwilę miała wrażenie, że zaraz się na nią rzuci, a on zamiast tego gorszył się mnogością rozwodów w Stanach. Przypominał jej solidny dąb, a jednocześnie wyczuwała w nim słabość i niepewność, co ją szczerze wzruszało.

To wszystko zakrawało na absurd. Przecież nie wiedziała o nim nic poza tym, że jest jednym z tych entuzjastów balonów, którzy każdego lata doprowadzali ją do szaleństwa. Cóż z tego, że mówił z przepysznym akcentem? Shannon dobrze wiedziała, jak złudne są takie zewnętrzne zalety. Powinna cały czas o tym pamiętać.

- Prywet - powiedział nagle Andrew. - Gdzie go znaleźć?

- Prywet?

- Wychodek, łaskawa pani.

- Aha, łazienka. Dlaczego pan tak nie powie? Jest w końcu korytarza, koło kuchni.

Prywet wewnątrz domu, koło kuchni? Na samą myśl o tym Andrew poczuł mdłości.

Z pewnością ta kobieta źle go zrozumiała. Szedł za

nią kamienną ścieżką w kierunku domu. W pobliżu stawu dostrzegł drewnianą budkę, bardzo przypominającą wychodek. Już coś chciał o tym powiedzieć, ale przypomniał sobie, o jakich cudach opowiadali Emilie i Zane, i ugryzł się w język. Być może czekały go kolejne cudowne niespodzianki?

Z przyjemnością patrzył na kołyszące się przed nim biodra ciemnowłosej kobiety. Bez trudu przypomniał sobie, jak wyglądały, nim włożyła tę dziwną, białą szatę. Ze zdumieniem zauważył, że ma pomalowane paznokcie u rąk i nóg.

Czyżby znalazł się w czasach, w których nawet taki drobiazg jak kobiece paznokcie u nóg są obiektem artystycznych zabiegów? Czyżby jacyś ludzie zarabiali na życie taką działalnością? Andrew spróbował wyobrazić sobie, jak kłęka u stóp kobiety z pędzelkiem w dłoni. Ten obraz był jednak zbyt podniecający i Andrew wołał o tym nie myśleć.

- Tylne drzwi są zepsute - odezwała się Shannon.
- Przejdziemy przez kuchnię. Łazienka jest tuż obok.

Andrew zdziwił się, że nie ma osobnego budynku na kuchnię. Jaki zamożny człowiek chciałby czuć w salonie zapach przypalanego pierza? Dom Shannon wydał mu się zupełnie przeciętny, podobny do setek innych domów, jakie widywał w Bostonie i New Jersey. Piętrowy budynek z kamienia i cegły, z trzema kominami i dwoma oknami na ścianie od strony stawu. Białe ramy okienne najwyraźniej wymagały naprawy.

Andrew z trudem ukrył rozczarowanie.

Jak dotychczas, niespodzianką był dla niego tylko

prostokątny staw i gazeta, którą niósł pod pachą. Dom, jaki dzielił z Elspeth, również miał duży dziedziniec, oddzielony kamiennym murem od warzywnika.

Shannon otworzyła kuchenne drzwi i przycisnęła dłoń do ściany. Nagle cały pokój wypełniło światło jaśniejsze niż słońce. Andrew odruchowo cofnął się o krok.

- Słodki Jezu!

- Coś się stało? - spytała Shannon, oglądając się przez ramię.

- Jasno jak w południe.

- Lampy są w podwieszanym suficie - wyjaśniła, wskazując palcem w górę.

Andrew wskoczył na blat i dotknął ręką sufitu. Był zupełnie chłodny.

- Gdzie ukryte są świece?

- Złaż stamtąd, ty idioto! - krzyknęła z gniewem.

- Natychmiast zabierz swoje brudne kopyta z mojego blatu!

- To nadzwyczaj pomysłowe urządzenie - stwierdził Andrew, ignorując jej polecenie. - Zachodzę w głowę, gdzie są świece?

- A ja zachodzę w głowę, czy już mam wezwać policję. Zaraz to zrobię, jeśli natychmiast nie zejdziesz. - Shannon rozejrzała się wokół, jakby szukała czegoś, czym mogłaby go zdzielić.

Andrew posłuchał. Zeskoczył, po czym rękawem starł z blatu ślady butów. Czerwonawe grudki spadły na lśniącą, białą podłogę. Shannon patrzyła na niego z wściekłością, ale Andrew mógł przysiąc na wszystkie świętości, że nie wie, o co jej chodzi.

- Siadaj - powiedziała wreszcie i podsunęła mu krzesło. - Gdybyś nie wyglądał tak beznadziejnie, już byś stąd wyleciał. Siadaj, naleję ci mrożonej herbaty.

Krzesło ze lśniącego, srebrzystego metalu wyglądało ładnie, choć niezwykle. Andrew zastanawiał się, jaki złotnik wykonał tak ogromną pracę. W kuchni stało jeszcze pięć takich samych krzeseł i stół w takim samym stylu. Do srebrnej ramy dołączona była poduszka pokryta lśniącą materią, jakiej Andrew nie widział nigdy przedtem. Wydawała się śliska, a gdy usiadł, rozległ się dziwny hałas.

Kobieta otworzyła białe drzwiczki, odsłaniając wnętrze wypełnionej jedzeniem szafki. W środku również było jasno.

- Mleko, sok... o, jest herbata. - Shannon wyjęła duży, zielony dzbanek i nalała herbatę do wysokiej szklanki. - Proszę, napij się - powiedziała, podając mu herbatę.

Andrew przełknął kilka łyków.

- Słaby wywar - zauważył. - Bardzo zimny. - Nie mógł zrozumieć, jak ta kobieta ochłodziła napój. Przyjrzał się uważnie szklance i dzbankowi.

- Wystarczy zwykłe dziękuję - wtrąciła Shannon.

- Nie widzę liści herbaty - powiedział Andrew. - Pewnie na tym polega problem.

- Jak na przypadkowego gościa, strasznie jesteś wybredny. Na twoim miejscu wypiłabym herbatę i powstrzymała się od uwag.

- Nie leżało w moich zamiarach krytykowanie łaskawej pani.

- Jeśli chcesz skorzystać z łazienki, to proszę bardzo.
- Shannon przeszła go ostrym spojrzeniem. Nie miała ochoty na dyskusję o tym, jak parzy herbatę. Andrew znów spojrzał na nią ze zdziwieniem. - No, przywit - wyjaśniła niecierpliwie.

Andrew uśmiechnął się. Nareszcie coś rozumiał. Oboje mówili wprawdzie po angielsku, ale mimo to każde z nich używało innego języka. Andrew nie mógł jednak uwierzyć, że przywit znajduje się w domu.

- To ta drewniana budka koło błękitnego stawu? - spytał wskazując palcem.

- Bardzo jest pan zabawny, panie McVie. To sauna.
- Shannon wskazała ręką korytarz. - Drugie drzwi po prawej.

- Straszny dziwak - mruknęła, gdy Andrew zniknął w łazience. Można by pomyśleć, że nie wie, co to łazienka. Była w Szkocji dwa razy i wiedziała, że są tam łazienki, normalne oświetlenie i wszystkie inne wygody, jakie ma do zaoferowania dwudziesty wiek. Nieoczekiwany gość zachowywał się jednak tak, jakby pierwszy raz spotkał się z tymi wynalazkami.

Shannon dosłyszała trzask zamykanych drzwi. Dobrze, że przynajmniej rozumie zasady przyzwoitości. Gdy Andrew wskoczył nagle na blat, Shannon zwątpiła, czy tam, gdzie dotąd żył, dotarła cywilizacja.

Wyjrzała przez okno. Zapadał już zmierzch. Nigdzie nie było widać ani śladu życia z wyjątkiem uwijających się wszędzie szpaków i sójek. Dziwne, że jeszcze nie pojawiła się ekipa ratunkowa. W ubiegłych latach nie

trwało to nigdy dłużej niż dziesięć minut. Nie martw się, pomyślała Shannon. Może właśnie w tej chwili zwijają jego balon i zaraz tu będą.

Oczywiście nie mogła wykluczyć, że McVie wystartował bez żadnego zabezpieczenia. Pomyślała, że w takim wypadku wezwie dla niego taksówkę, a następnego dnia McVie już sam zajmie się swoim przeklętym balonem. Nie miała ochoty zostawać sama na noc z kimś obcym w domu. Gniewnie zmarszczyła brwi. Od chwili, gdy usłyszała hałas lądującego balonu, nie mogła opanować swoich reakcji, zupełnie jakby nagle zaczęły nimi rządzić wyłącznie emocje, a nie rozsądek.

Spojrzała na telefon. Być może powinna zadzwonić do Dakoty i powiedzieć jej, co się dzieje. To rozsądny pomysł. Shannon już miała podnieść słuchawkę, gdy rozległ się dzwonek.

- Powinnam się była domyśleć - mruknęła Shannon, słysząc w słuchawce głos Dakoty. - To przecież do ciebie podobne.

- Takie już życie medium - zaśmiała się Dakota. - Wyobraź sobie moje rachunki telefoniczne. Czy wszystko w porządku? Właśnie medytowałam i nieustannie słyszałam twoją mantrę.

- Jest u mnie jakiś mężczyzna - krótko wyjaśniła Shannon. Nie wierzyła w żadne mantry ani inne takie bzdury.

- Wiem - odrzekła Dakota. - Sama to wyczułam. Czy to przyjaciel, czy wróg?

- Ani jedno, ani drugie. Jakiś dziwny Szkot. Gdybym

nie wiedziała, że to niemożliwe, powiedziałabym, że pochodzi z innej epoki.

- Może to prawda - powiedziała Dakota, która gotowa była uwierzyć w niemal wszystko. - Skąd się wziął?

- Z mojego lasu - zaśmiała się krótko Shannon.

- A skąd się wziął w lesie?

- Wylądował tam balonem na gorące powietrze.

- Jeden z tych zwariowanych baloniarzy? - Dakota była wyraźnie rozczarowana.

- Tak przypuszczam. - Shannon była zła na siebie, że tego nie sprawdziła. Na litość boską, wpuściła obcego mężczyznę do domu i nawet nie poprosiła o jakiś dowód tożsamości. Nie mogła zrozumieć, co się z nią dzieje. Zazwyczaj była o wiele bardziej przytomna i rozsądna.

- Może potrzebujesz towarzystwa? - spytała Dakota.
- Mogę zaraz przyjechać.

- Nie, to niepotrzebne - zapewniła ją Shannon. - Dziękuję za... - Urwała i przez chwilę uważnie nadśluuchiwała.

- Shannon? Co się stało? Jesteś tam? Mam bardzo dziwne przeczucia.

- Spuszcza wodę w toalecie. Do licha, co on wyprawia?

- To przecież nic złego - zdziwiła się Dakota. - Nie cierpię tylko, gdy ktoś zostawia podniesioną deskę.

- Nikt nie spuszcza wody pięć razy z rzędu.

- Może wymiotuje.

- Znowu! To już sześć razy. Nic mnie nie obchodzi, czy walnął się w głowę. Może poczekać na swoich kumpli w lesie.

- Shannon, może...
- Zadzwonię później.

Shannon odłożyła słuchawkę. Jej serce biło dwa razy szybciej niż normalnie. Co innego ekscentryczność, co innego szaleństwo. Normalni ludzie nie spuszczały wody w takim tempie, jakby sedes był automatem do gry.

Podeszła do drzwi łazienki. Miała wrażenie, że w środku odbywa się konferencja hydraulików. Słychać było głośny szum wody z kranu.

- Niech mnie diabli! - usłyszała nagle pełen podniecenia okrzyk.

- Możesz się jeszcze chwilę bawić, patałachu - powiedziała podchodząc do szuflady, w której trzymała rewolwer. - Zaraz będzie koniec.

To był po prostu cud. Wystarczył drobny ruch ręką i już lała się woda. Andrew przykucnął i uważnie się przyjrzał białej, marmurowej misie. Strumień zimnej wody przez chwilę wirował wokół ścianek, po czym zniknął. Wystarczyło jednak, że nacisnął mosiężną rączkę, i woda pojawiła się znowu.

Tuż obok, na ścianie, wisiała płaska, biała miska. Gdy pokręcił kurek, z rury połała się gorąca woda, choć nigdzie nie było widać ani śladu ognia. Na dodatek całą ścianę pomieszczenia pokrywało ogromne lustro. Andrew widział w nim, jak z niepewnym uśmiechem obserwuje wodę wirującą w marmurowej, głębokiej misie.

Emilie i Zane nie uprzedzili go o czymś takim. To

była zupełna niespodzianka. Andrew sięgnął ręką za marmurową misę. Wyczuł palcami zimne, metalowe rurki. Czy woda dopływa tymi rurami, czy też odpływa? I po co komu tyle wody w domu? Co się tu robi, że potrzeba do tego tyle wody, ciepłej i zimnej?

Ta kobieta powiedziała, że to prywet, ale Andrew jeszcze nigdy nie widział czegoś takiego. Do marmurowej miski dołączona była deska z otworem. Sposób użycia tego urządzenia był dlań dość oczywisty, ale obfitość wody i hałas powodował, że wołał nie ryzykować.

Poza tym, po co komu ta druga, zawieszona na ścianie miska? W prywecie można robić tylko dwie rzeczy, a żadna z nich nie wymaga zwierciadła ani świeżych kwiatów w szklanym wazonie.

Andrew otworzył drzwiczki niewielkiej szafki pod wiszącą miską. W środku pachniało cedrem i różami. Chwycił metalowy walec i uniósł do okna. „Dezodorant”, odczytał duży napis. Nie wiedział, co to takiego. Odwrócił walec. Z drugiej strony zauważył napis: „Zapach angielskiego ogrodu”. Osobliwe. Powąchał zakończenie walca. Znowu poczuł zapach róż. Stuknął walcem o podłogę, ale nic się nie stało. Dopiero teraz zauważył napis „Tu nacisnąć”, umieszczony koło małego przycisku. Gdy tylko to zrobił, w łazience pojawiła się chmura słodko pachnącej, mdlącej mgły.

- Chryste Panie! - ryknął. - Co za smród!

Gdy mgła zaczęła osiadać na jego ramionach i twarzy, poczuł, że pieką go oczy. Czym prędzej pochylił się nad

miską i wsunął głowę pod strumień ciepłej wody. W tym momencie ktoś otworzył drzwi do łazienki. Mimo strumieni wody spływających mu po twarzy, Andrew poznał panią Shannon. Trzymała w dłoni rewolwer i celowała prosto w niego.

Jutro i na zawsze

3

- To mały pistolet - powiedział Andrew - ale obawiam się, że jest groźniejszy niż znana mi broń palna.

- Stań tutaj - nakazała Shannon, zaciskając obie dłonie na kolbie. - Ręce na kark. Stań w rozkroku.

- Dziwne żądanie pod adresem niewinnego podróżnika.

- Będziesz miał czas się dziwić. Pod ścianę.

- Nie wiem dokładnie, o co pani chodzi.

- Och, na litość boską. Czy wy w Szkocji nigdy nie oglądacie filmów kryminalnych?

Andrew patrzył na nią niepewnym wzrokiem, do czego powoli zaczynała się przyzwyczajać.

- Oprzyj się rękami o ścianę i stań w rozkroku. Muszę cię zrewidować.

- Łaskawa pani, jestem pani pokornym sługą. - Na jego ogorzałej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Teraz wydawał się nawet przystojny.

Wreszcie stanął tak, jak mu kazała. W jego powolnych ruchach była jakaś niepokojąca męskość. Ta dziwna sytuacja powoli zaczynała ją podniecać. Przez chwilę stała nieruchomo, z rewolwerem w dłoni, przy-

glądając się jego potężnej sylwetce. Wielokrotnie widziała, jak w „Policjantach z Miami” Crockett i Tubbs rewidują podejrzanych, ale sama nie mogła się na to zdobyć.

Rusz się, idiotko, pomyślała. Sprawdź go chociaż pobieżnie.

Trzymając rewolwer w prawej ręce, lewą szybko poklepała go po ramionach i plecach. Pomyślała, że chyba dosyć. Pod palcami wyczuła twarde mięśnie. Intuicja podpowiadała jej, że McVie nie spędzał godzin w jakiejś siłowni, bawiąc się sztangą i hantlami. Z pewnością dorobił się tych mięśni w staroświecki sposób - zwykłą ciężką pracą.

Pozostawało tylko dowiedzieć się, co też takiego robił.

- Opróżnij kieszenie - powiedziała. Nie był to szczególnie oryginalny pomysł, ale nic lepszego nie przyszło jej do głowy.

- Czy na tym polega rewizja, łaskawa pani? To właściwie całkiem przyjemne.

- Rób, co kazałam!

- Nie mam nic ważnego do pokazania.

- To absurd. Na pewno coś masz.

Andrew sięgnął do kieszeni kamizelki i wyciągnął monetę, bawełnianą chusteczkę i coś, co szybko schował za paskiem bryczesów.

- Co to było?

- Nic ważnego.

- Już ja to osądzę.

Podał jej laminowany dokument. Na zdjęciu widać

było twarz młodej, ładnej, rudowłosej kobiety. Emilie Crosse, New Jersey.

- Skąd to masz? - spytała, niemal bojąc się odpowiedzi. Może to prawo jazdy było jedynym dowodem łączącym go z niewinną ofiarą napadu?

- Proszę mi to oddać.

- Najpierw chcę usłyszeć wyjaśnienie.

- Nie mam nic do powiedzenia w tej sprawie.

- Gdzie jest Emilie Crosse?

Andrew nie odpowiedział.

- Chcę znać odpowiedź, McVie - powiedziała Shannon, trzymając go na muszce. - I to zaraz.

- Jest pani bardzo ładna - zauważył - ale nie zachowuje się pani jak dama.

Shannon nie wiedziała, czy ma do niego strzelić, czy wybuchnąć śmiechem.

- Słuchaj, mam w ręce prawo jazdy Emilie Crosse i jest rzeczą oczywistą, że ty nią nie jesteś. Albo mi to wytłumaczysz, albo zaraz zawiadomię policję.

- Ma pani ostry język, łaskawa pani. Nic dziwnego, że nie ma już pani męża.

- Nie nadużywaj mojej cierpliwości.

Andrew postąpił krok w jej stronę.

Shannon się nie cofnęła.

Jeszcze jeden krok.

- Świetnie strzelam - powiedziała. - Zawsze trafiam.

- To byłaby wielka niezręczność, gdyby nie trafiła pani z tak małej odległości.

- Nie jesteś zabawny.

- Nie miałem takiego zamiaru.
- Chciałabym ci wierzyć, ale mi to uniemożliwiasz.

Andrew zrobił gwałtowny ruch i wytrącił jej rewolwer z ręki. Oboje rzucili się, żeby go podnieść, Shannon jednak była szybsza. Gdy chwyciła broń, Andrew zwałił się na nią. Czuła, jak bębenek wbija się jej w żebra.

Andrew był silny. Niewiele brakowało, a uległaby panice. Nagle osaczyły ją wspomnienia z okresu małżeństwa z Bryantem. Postanowiła, że się nie podda. Głęboki oddech, nakazała sobie w myślach. Poradzisz sobie. Trzy lata nauki samoobrony powinny coś znaczyć.

Znieruchomiła.

Andrew zawahał się.

W tym momencie Shannon gwałtownie poderwała biodra i Andrew przewrócił się na plecy. Błyskawicznie usiadła na nim i przycisnęła lufę do jego jabłka Adama.

- To mój dom - powiedziała z naciskiem. - Nie pozwolę, żeby ktokolwiek o tym zapominał. Gadaj natychmiast, co tu robisz i skąd się wzięłeś, albo wyślę cię na Sąd Ostateczny.

Andrew nie miał ochoty stanąć przed Stwórcą, ale również nie chciał, aby ta chwila dobiegła kresu. Biała szata zsunęła się z ramion Shannon, odsłaniając połyskującą złociście skórę. Andrew pożerał ją wzrokiem. Jej piersi, zakryte tylko paskiem żółtej materii, szybko podnosiły się i opadały, zgodnie z rytmem oddechu. Widział jej talię, płaski brzuch i biodra. W dodatku - Boże! - gołymi udami obejmowała jego biodra. Czuł, jak drżą jej napięte mięśnie.

Bez trudu mógłby ją zepchnąć i odzyskać panowanie

nad sytuacją, ale żaden mężczyzna godny tego miana nie zrezygnowałaby z takiego rajskiego widoku.

Postanowił jednak nie lekceważyć gniewnego wyrazu jej oczu. To w końcu jest jej dom i jej ziemia. Miała prawo znać prawdę, nawet jeśli to mogłoby być dla niego niebezpieczne.

- Emilie Crosse była moją przyjaciółką, łaskawa pani. Była dobrą żoną mężczyzny, którego kochała.

- Dlaczego masz jej prawo jazdy?

- Emilie już go nie potrzebuje. - Lepiej nie pytaj więcej, bo nie wiem, co to takiego prawo jazdy, dodał w myślach.

- Tego właśnie się obawiałam.

- Nie, łaskawa pani, nie ma pani powodu się martwić.

- Czy Emilie nie żyje? - Głos Shannon załamał się na ostatnim słowie.

Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. Mógłby właściwie przyznać, że Emilie nie ma już wśród żywych, ale wedle takiej logiki i on nie miał prawa odychać w roku pańskim 1993.

- Kiedy ją widziałem po raz ostatni, była zdrowa i zadowolona - odpowiedział wreszcie. Zauważył, że gospodyni odetchnęła z ulgą.

- Nie chcę źle o tobie myśleć, McVie - powiedziała.

- Nie ułatwiasz mi jednak sytuacji. Wiem tylko, że dziś był tu festyn i że wylądowałeś na mojej posiadłości. Jeśli masz jeszcze coś do powiedzenia, to chciałabym to usłyszeć.

Festyn? Czy to możliwe, że balony nie służą tylko do podróży w czasie?

- Jest bardzo proste wyjaśnienie - zaczął powoli. - Nie jestem jednak pewny, czy pani mi uwierzy.

- Słucham.

Jakim cudem kobieta tak delikatna może mówić tak stanowczo jak dorosły mężczyzna?

- Nie należę do pani świata.

- A to dopiero nowina.

- Wyczuwam w pani odpowiedzi ironię, lecz trudno mi zgłębić jej przyczynę. - Andrew zmarszczył brwi.

I ten oto człowiek bawił się spuszczeniem wody w łazience? Gdyby zacytował Kierkegaarda, Shannon nie byłaby bardziej zdziwiona.

- Już powiedziałaś, że nie pochodzisz ze Szkocji - stwierdziła z namysłem. - Więc skąd przyjechałaś?

- Ostatnio mieszkałem w New Jersey - odparł, patrząc jej w oczy.

- Jesteśmy w New Jersey.

- Spędziłem większą część lata na farmie w pobliżu Princeton.

- Do Princeton jest zaledwie kilkanaście kilometrów.

- Nie, łaskawa pani, Princeton, jakie znałem, już nie istnieje.

Niech mówi... Wiesz, że nie kłamię... Nie bój się, Shannon...

Andrew wyraźnie spochmurniał, Shannon się jednak uspokoiła. Dziwne, ale odwagę dawał jej nie rewolwer, lecz poczucie bliskiej więzi z tym obcym człowiekiem.

- Dziś rano obudziłem się w roku pańskim 1776 - powiedział Andrew.

- Chyba coś mi się stało. - Shannon miała wrażenie,

że słyszy szum w uszach. Potrząsnęła głową. - Wydało mi się, że powiedziałeś 1776 rok.

- Tak, łaskawa pani, tak powiedziałem.

- To niemożliwe - zaprotestowała. Szum w uszach stawał się coraz głośniejszy.

- Jestem żywym dowodem, że tak.

- To żaden dowód. Nie wyglądasz na więcej niż trzydzieści pięć lat.

- Skończyłem trzydzieści trzy piątego maja - potwierdził Andrew.

- No nie! - Shannon zaśmiała się nerwowo. - Jeśli mówisz prawdę, to masz dwieście pięćdziesiąt lat.

- To twierdzenie nie wytrzymuje dokładniejszej analizy.

- Czy chcesz powiedzieć, że znalazłeś prawo jazdy Emilie Crosse w osiemnastowiecznym Princeton? - spytała Shannon, nagle poważniejąc.

- Tak.

- Czy wyglądam na kogoś, komu można wciskać takie gadki?

- Nie rozumiem tych słów, ale nie chciałbym pani denerwować. Jest jednak prawdą, że pani Emilie pojawiła się z mężem w moich czasach z pomocą balonu.

- Rozumiem. - Oczami wyobraźni Shannon widziała szpital psychiatryczny i kaftany bezpieczeństwa. - A ty wskoczyłeś do tego samego balonu i przyleciałeś prosto na moje podwórko?

- Tak właśnie było. - Pod wpływem uśmiechu jego twarz nagle się rozjaśniła.

- Daj mi spokój. - Shannon wstała, ale wciąż trzy-

mała rewolwer skierowany w jego stronę. - Myślisz, że uwierzę, że korzystaliście z balonu jako jakiejś taksówki do podróży w czasie?

- Może mi pani wierzyć lub nie. Nie mogę zrobić nic, żeby panią przekonać, jak tylko powiedzieć całą prawdę.

- Dlaczego ktoś miałby chcieć żyć w naszych czasach? - spytała po namyśle.

- Mąż pani Emilie opisywał świat pełen dziwów i bogactwa.

- Dla wybrańców.

- Mówił, że człowiek postawił nogę na Księżycu i poleciał do gwiazd.

- A czy opowiedział ci o bezdomnych rodzinach śpiących na ulicach? O starych, samotnych ludziach żyjących w nędzy?

- W Stanach każdy, kto jest gotów ciężko pracować, może zdobyć bogactwo.

Powiedział to z takim przekonaniem, że Shannon przez chwilę nie wiedziała, co odpowiedzieć. Ostatni raz spotkała się z takim naiwnym optymizmem podczas rozmowy z koreańskim sklepikarzem, który jeszcze nie utracił wiary w Amerykę.

- Teoretycznie tak, ale rzeczywistość nie jest taka różowa - powiedziała wreszcie.

- Pani żyje wspaniale. - Wskazał ręką na wiszące na ścianach obrazy i miękką wykładzinę na podłodze.

- Ale nie jestem szczęśliwa.

Jej słowa zawisły w powietrzu. Andrew miał wrażenie, że to nie tylko dźwięki, ale coś realnego.

- Czemu nie, łaskawa pani? - spytał cicho. - Wyda-

wałoby się, że ma pani wszystko, co niewieście jest potrzebne do szczęścia. - Nie potrafił sobie wyobrazić, czego mogłaby jeszcze pragnąć kobieta piękna, bogata i inteligentna.

- Nie wiem, czemu to powiedziałam. - Shannon odwróciła się do niego plecami. - Proszę o tym zapomnieć.

Uniosła rękę, aby poprawić płaszcz kąpielowy, który zsunął się jej z ramion. W tym momencie Andrew zauważył na jej ciele bliznę w kształcie sierpa.

- Rana od noża - powiedział zbliżając się do niej. - W jaki sposób odniosła pani taką ranę?

- To stara i nudna historia - odrzekła, nie odwracając się w jego stronę. - Wolałabym raczej dowiedzieć się czegoś więcej o tobie.

- Ktoś panią zranił.

- Nie chcę o tym mówić.

- Chciałbym wiedzieć.

- Czemu nie zadzwonisz po kogoś? - Teraz Shannon odwróciła się i spojrzała mu wyzywająco w oczy. - Chyba już pora, żebyś ruszył w drogę.

- Nie mam służącego, którego mógłbym wezwać. Skoro jednak tego sobie pani życzy, to zaraz się pożegnám.

Shannon poczuła, że te słowa nią wstrząsnęły.

Andrew naprawdę nie chciał jej denerwować.

- Powiedz mi prawdę, proszę - nalegała. - Bądź ze mną choć przez chwilę szczerą, to ci pomogę. Nie opowiadaj mi tych bzdur o podróży w czasie...

- Nie mogę pani powiedzieć nic prócz prawdy, i już ją powiedziałem. Musi pani wybrać, w co chce pani wierzyć.

- Nie o to chodzi, że nie chcę ci wierzyć, jednak bardzo trudno mi to przyjąć do wiadomości.

- Ja również nie mogę uwierzyć, że człowiek chodził po Księżycu, a jednak gotów jestem uznać to za fakt.

- To nie to samo.

- Bogdaj by było.

- Bogdaj - pokręciła głową Shannon. - Proszę, przestań używać takich słów. Nikt tak nie mówi.

- Jak pani sobie życzy. - Andrew skierował się do drzwi.

Nie skrzywdzę cię, Shannon, pomyślał. Nigdy.

Słyszała jego słowa tak wyraźnie, jakby wypowiedział je na głos. Czuła, że zostawiły w jej sercu gorący ślad. Nie skrzywdzę cię, Shannon. Nigdy. Nie była gotowa mu zaufać. Zaufanie i zagrożenie to dwie strony tego samego medalu.

Zamiast tego stała nieruchomo, ze skrzyżowanymi ramionami. Słyszała stukot jego ciężkich butów.

Nie odchodź, pomyślała i sama się zdziwiła.

- Łaskawa pani? - Andrew zatrzymał się z ręką na klamce.

- Nic nie mówiłam. - Shannon spojrzała mu w oczy.

- Słyszałem pani głos bardzo wyraźnie.

- Nie sądzę.

Andrew znów odwrócił się twarzą do drzwi.

Proszę, zostań.

Wyraźnie się zawahał. Shannon czuła, jak jej serce bije coraz szybciej.

- Niech to diabli - warknęła. - Możesz zanocować w saunie. Tam jest pokój kąpielowy i łóżko. - Dopiero

teraz zauważyła wyraz jego twarzy. - To ta budka przy basenie.

- Nie ma się pani czego obawiać. Nie zrobię pani krzywdy.

- Tylko nie wyobrażaj sobie za wiele - ostrzegła go ostrym tonem. - Robi się ciemno, miałeś wypadek. To tylko samarytański gest. Jeśli masz zamiar się wygłupiać, to lepiej pamiętaj, że mam broń.

- Nie mam zamiaru się wygłupiać - powtórzył jej słowa, zdziwiony tą wypowiedzią. - Ruszę w drogę o świcie.

Za wcześnie.

- Nie - powiedział Andre w. - Wcale nie za wcześnie. Wczesny ranek to najlepsza pora do marszu.

Shannon zbladła jak ściana i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. Usłyszał jej słowa, choć nie powiedziała ich na głos.

A może tak?

- Rób, co chcesz - rzuciła i odwróciła się od niego.
- Dobranoc.

Jutro i na zawsze

4

- Kryzys minął. Wszystko w porządku - zapewniła Dakotę po raz trzeci w ciągu trzech minut. Oprócz tego, że McVie i ja słyszymy głosy, dodała w myślach.

- Już od godziny siedzę przy telefonie. Zjadłam całe pudełko lodów. Powinnaś była zadzwonić.

- Przecież właśnie dzwonię - odrzekła Shannon. - Zresztą, sama powinnaś wiedzieć, że wszystko jest w porządku. Od tego jesteś medium. Zawsze wiesz wszystko pierwsza.

- I dlatego się martwię. Coś tłumi wibracje.

- Przepraszam?

- Nie wiem, jak to inaczej określić. Ilekroć usiłowałam skupić się na tobie, nie mogłam nic wyczuć.

A więc Bóg istnieje, pomyślała Shannon i westchnęła z ulgą. Miała dość kłopotów z uporządkowaniem własnych uczuć bez interwencji Dakoty. Dakota wprawdzie była jej najlepszą przyjaciółką, ale...

- Nic nie odbierasz?

- Nic, zupełna cisza.

- A o tym McVie?

- Też nie. Od naszej rozmowy straciłam kontakt.

- Czy to już ci się kiedyś zdarzyło? - spytała Shannon. Czuła na plecach dziwne dreszcze.

- Tylko raz - przyznała po chwili Dakota. - Może lepiej będzie, jeśli przyjdę i wybadam tego faceta - dodała z wahaniem. - Coś z nim jest nie tak. Czuję to przez skórę.

- Nie! - Shannon zdała sobie sprawę, że zareagowała zbyt gwałtownie, i spróbowała się wycofać. - To znaczy, nie masz kogo sprawdzać.

- Przyjechali po niego?

- Nie całkiem.

- Więc co?

- Jest w saunie.

- W saunie?

- Co w tym dziwnego? Ma tam łóżko i toaletę.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś po taksówkę?

- To ty jesteś medium. Możesz mi to wyjaśnić?

- Bardzo zabawne. - Dakota wydawała się urażona.

- Martwię się o ciebie, a ty żartujesz.

- Bardzo ci dziękuję za troskę, ale naprawdę wszystko jest w porządku.

- Jak uważasz. Zadzwoń rano.

Shannon odłożyła słuchawkę. Była jednocześnie zirytowana i wzruszona. Dakota z pewnością chce dobrze, ale przecież musi zrozumieć, że Shannon jest dorosła i potrafi radzić sobie sama.

Dowiodła tego w dniu, kiedy oskarżyła Bryanta i nie cofnęła się nawet wtedy, gdy sprawa stała się równie paskudna jak ich małżeństwo. Dużo wody musiało upłynąć, nim zdała sobie sprawę, że to, co Bryant uważał za

miłość, było w rzeczywistości niebezpieczną obsesją. Do dziś nosiła jej ślady na ciele i w duszy.

Poszła do sypialni, zdjęła opalacz i włożyła stare dżinsy i obszerną bawełnianą koszulkę. Wróciła do kuchni, ale szła tak, jakby była oszołomiona. Bezwiednie przeciągnęła dłonią po gładkiej powierzchni drewnianego blatu i zimnym zlewem z nierdzewnej stali.

To właśnie jest dobre życie, pomyślała, jakby chciała przekonać o tym samą siebie. Samotność, poczucie bezpieczeństwa i satysfakcja, jaką czerpała z faktu, że może pomóc innym kobietom odkryć, iż życie w pojedynkę nie jest tragedią.

To powinno jej wystarczyć.

Dlaczego zatem, ilekroć myślała o przyszłości, odczuwała bolesną pustkę w sercu?

Zatrzymała się w oranżerii i wyjrzała na podwórko. W ciemnościach letniej nocy widać było rząd lampek okalających basen. Wiedziała, że gdzieś tam jest McVie. Być może Dakota nie wyczuwała jego obecności, ale Shannon czuła go wszystkimi zmysłami. Miała wrażenie, że udami wciąż dotyka jego ciała, jak wtedy, gdy leżeli na podłodze po krótkiej, lecz podniecającej walce. Znowu pomyślała o jego twardych mięśniach i dziwnym zapachu...

A może oszalała? Być może Dakota nie wyczuwała jego obecności, ponieważ w rzeczywistości McVie wcale nie istnieje? Może on jest tylko wytworem jej wyobraźni? Może zbyt długo była samotna i wymyśliła go sobie, aby jej towarzyszył podczas długich, letnich nocy?

Nagle zauważyła, że tuż przy basenie coś się poruszyło. Teraz już go widziała. Stał w rozkroku, z rękami na biodrach, i wyraźnie się jej przyglądał. Przez chwilę miała wrażenie, że jest w gabinecie luster, gdzie rzeczywistość i obrazy mieszają się z sobą tak, że nie można ich odróżnić.

Nagle błyskawica rozjaśniła ciemności. Po paru sekundach rozległ się huk gromu i krople deszczu zaczęły bębnić o szyby.

Dlaczego on nie schroni się przed deszczem? - pomyślała Shannon. Mógłby przecież wejść do sauny. Zamiast tego stał i wpatrywał się w nią tak, jakby oglądał jakiś finałowy mecz. Co ja właściwie mam zrobić? Przecież nie potraktuję go jak psa, który jeszcze nie nauczył się czystości.

Otworzyła drzwi i gestem przywołała go do domu.

- Czy miałeś zamiar przez całą noc stać na deszczu?
- spytała, gdy wszedł do środka. - Mogłeś przecież schować się w saunie.

- Ten deszcz jest inny niż te, które znam.

- Deszcz to deszcz.

- Sam bym tak powiedział jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu.

- Czym więc się różni?

- Inaczej smakuje - wyjaśnił. - Inaczej pachnie. Ba, nawet inaczej spływa po skórze.

- Boże, niemal ci wierzę.

- Nie jest moją intencją oszukiwać panią.

- Kim jesteś? - spytała Shannon podniesionym tonem.

- Masz ostatnią szansę, żeby powiedzieć mi prawdę.

- Jestem Andrew McVie - odparł spokojnie. Jego

głos odbił się od ścian oranżerii. - Opowiedziałem pani wszystkie wydarzenia zgodnie z tym, co o nich wiem.

- Nie wiem, dlaczego miałabym ci uwierzyć.

- Ja również nie wiem, łaskawa pani.

- Jak chcesz, możesz spać tutaj - powiedziała, wskazując na leżankę w kącie pokoju. - Już wiesz, gdzie jest łazienka.

- Tak. - Na jego uroczystej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Mimo targających ją wątpliwości, Shannon odpowiedziała mu uśmiechem. - O, ma pani wszystkie zęby - zauważył ze zdziwieniem.

- Co takiego? - Shannon zaczęła się śmiać.

- Pani zęby. - Andrew wskazał ręką w kierunku jej ust. - Są takie białe, równe i żadnego nie brakuje.

- Żartujesz czy mówisz poważnie?

- Pani Emilie też miała wszystkie zęby, a skończyła już trzydzieści lat. Zdumiewająca rzecz.

- No cóż, mnie też niewiele brakuje do trzydziestki, mam wszystkie zęby i na dodatek niemal wszystkie są zdrowe.

- Czy to sprawa jakichś magicznych sztuczek?

- Wystarczą dobre geny. - Shannon wzruszyła ramionami. - No i pepsodent.

- Pepsodent?

- Pasta do zębów - jęknęła. - Nie lubię, kiedy patrzysz na mnie takim niepewnym wzrokiem. - Czy rzeczywiście ma wyjaśnić temu dorosłemu mężczyźnie, co to pasta do zębów? Przecież to pewnie tylko jakiś obłąkany żart. - Poczekaj. Zaraz wrócę.

Im dłużej znał Shannon, tym wydawała mu się piękniejsza. W jej zachowaniu i wyglądzie nie znajdował śladu sztuczności. Jej twarz i figura mogły ucieszyć oko każdego mężczyzny. Andrew żałował, że Shannon nie ma już na sobie żółtego kostiumu, ale w męskich spodniach i luźnej koszuli również wyglądała pociągająco.

Gdy pierwszy raz ujrzał Emilie, miała na sobie czarne obcisłe spodnie, które nieprzyzwoicie podkreślały jej kształty. Gdy szedł za nią, nie musiał się już niczego domyślać. Emilie wyjaśniła mu wtedy, że w jej stuleciu kobiety ubierają się znacznie swobodniej, ale Andrew jej nie uwierzył. Dziś przekonał się, że mówiła prawdę.

Zaczął nerwowo krążyć po przestronnym pokoju, w którym stały nieliczne, białe meble i rośliny w dziwnych misach. W powietrzu unosił się zapach skóry Shannon. Andrew dotychczas uważał, że znajomość z Emilie przygotowała go do spotkania z dwudziestowiecznymi kobietami, ale wiedział już, że się pomylił.

W wyglądzie Shannon była kobieca delikatność, do której przywykł, ale również zdumiewająca siła. I, tak jakby te sprzeczne cechy nie były dostatecznie zagadkowe, Shannon zachowywała się równie bezpośrednio jak Emilie, ale w jej pięknych oczach dostrzegał dziwne cienie.

- Tylko nie rób głupstw - mruknął, unosząc z leżanki jedwabną narzutę. Celem jego podróży w czasie nie było przecież znalezienie ukochanej. Narzuta była również przesycona zapachem perfum Shannon i szybko odłożył ją na miejsce. Nie był głupcem, potrafił dostrzec nadciągające niebezpieczeństwo i wystrzegać się pokus.

Samotność sprawia, że człowiek myśli sercem, a nie głową. Tego lata przez pewien czas sądził, że kocha Emilie, choć w rzeczywistości zauroczył go świat, z jakiego przybyła.

Nie miał zamiaru popełnić po raz drugi tego samego błędu.

W tym momencie wróciła Shannon.

- Masz tu szczotkę i pastę do zębów - powiedziała, podając mu miękką tubkę i małą szczoteczkę z długą rączką.

Odkręcił białą nakrętkę i lekko nacisnął. Z prawdziwą fascynacją patrzył, ja z otworu wydobywa się biała substancja o słodkawym zapachu.

- Musisz nałożyć pastę na szczotkę - wyjaśniła Shannon - a potem wyczyścić tym zęby. - Zmarszczyła czoło. - Myjesz chyba jakoś zęby, prawda?

- Tak - odparł z oburzeniem. - Miękkie pędy i ściereczka dają takie same wyniki.

- Najwyraźniej nie - odrzekła Shannon. - Gdyby tak było, nie dziwiłbyś się, że mam wszystkie zęby. Idę już spać - dodała, odwracając się w stronę drzwi.

- Odprowadzę panią do alkowy.

Po ustach Shannon przemknął krótki uśmiezek.

- Do alkowy? Masz na myśli sypialnię? Ale po co? - dociekała.

- Tak nakazują dobre maniere.

- Teraz już wiem, że nie jesteś z tego wieku - westchnęła i uśmiechnęła się do niego. - Na tym kontynencie nie ma mężczyzny, który zrobiłby coś takiego, nie mając jakichś ukrytych zamiarów. - Spojrzała na niego

spod na wpeł przymkniętych powiek. - A może ty masz jakieś zamiary?

- Pragnę tylko zapewnić pani bezpieczny powrót do sypialni.

Naprawdę mu o to chodzi, myślała Shannon, gdy przechodzili razem przez kuchnię. Naprawdę uznał, że jej bezpieczeństwo wymaga, aby odprowadził ją do sypialni. Do jej alkowy! Wbrew sobie, była oczarowana.

Starannie zamknęła kuchenne drzwi na łańcuch. Przez cały czas czuła na sobie jego uważne spojrzenie.

- Włączę alarm - powiedziała, wciskając guziki urządzenia szyfrowego. - Zaraz usłyszysz...

Nagle rozległo się głośne wycie. Zaskoczony McVie zaklął.

- Usłyszysz głośny hałas - dokończyła Shannon.

- Do diabła, co to takiego? - spytał.

- System alarmowy.

- Nie rozumiem.

- Przy wszystkich oknach i drzwiach są takie czujniki. - Shannon wskazała ręką. Zastanawiała się, czy rzeczywiście powinna to tłumaczyć człowiekowi, który - być może - był w takim samym stopniu produktem dwudziestego wieku co ona. - Jeśli ktoś spróbuje wejść, włączy się alarm, tu i na policji.

- Czy coś nam grozi? Czy w pobliżu toczy się wojna?

- Nie - pokręciła głową. - Jednak większość właścicieli domów woli się zabezpieczyć.

Andrew milczał, skonsternowany.

- Potrzebuje pani opieki mężczyzny - oświadczył w końcu.

- Nie - odrzekła. - Tego z całą pewnością nie potrzebuję.

Przeszli do salonu. Shannon sprawdziła czujnik przy oknie.

- Takie dziecinne zabawki nie zapewnią pani bezpieczeństwa - powiedział.

Shannon przeszła do holu i włączyła alarm przy drzwiach frontowych.

- Nie oczekuję tego. To urządzenie ma mnie tylko zaalarmować, że ktoś wszedł do domu. O bezpieczeństwo mogę zadbać sama. Mam broń - dodała i spojrzała mu w oczy.

- A co będzie, jeśli jakiś mężczyzna wydrze pani pistolet?

- Wątpię, żeby to było możliwe.

- Jest możliwe i łatwo może się zdarzyć. Jest pani silna, ale delikatnie zbudowana. Nietrudno trafić na silniejszego przeciwnika.

- Akurat - prychnęła. - Tobie jakoś nie udało się mnie pokonać.

- Nie próbowałem.

- Aha. Po prostu lubisz czuć na szyi lufę rewolweru.

- Proszę mi wierzyć, że tak było.

- Mam brązowy pas w karate.

- Nic nie wiem o jakichś pasach. Wiem tylko, że z natury niewiasta jest słaba.

- Gdybym tylko zechciała, mogłabym w każdej chwili zwalić cię na ziemię.

- To zupełnie nieprawdopodobne - zaśmiał się z ty powo męską pewnością siebie.

Shannon podbiegła do niego, żeby pokazać mu, kto tu rządzi. Niestety, w podnieceniu zapomniała o równowadze, kontroli ruchów i synchronizacji. Trzy lata treningu poszło na marne. Równie dobrze mogłaby próbować przewrócić gołymi rękami dąb.

- Niech cię diabli - dyszała sfrustrowana.

Andrew chwycił ją za przedramiona i zmusił do spojrzenia mu w oczy. Mogę cię pokonać, ale nie chcę, odczytała w jego wzroku. Istotnie, to on panował nad sytuacją, a jednak Shannon nie czuła najmniejszych obaw.

Trzymał ją na tyle mocno, aby straciła złudzenia, ale nie sprawiał jej bólu. Przez tych kilka sekund mógł z nią zrobić co chciał, ale oczywiście nie wykorzystał sytuacji.

Shannon ogarnęło dziwne uniesienie. Zapomniała o napięciu i gniewie.

- Pani zachowanie nie było właściwe - powiedział i puścił jej ręce.

- Już to zrozumiałam. - Kiwnęła głową.

Wyraz jego oczu nagle się zmienił. Shannon czuła, że coś ją do niego ciągnie.

- Tej nocy nie będzie potrzebowała pani wyjących pudełek - powiedział Andrew tak, jakby to była jego sprawa.

- Nie rozumiem.

- Będę panią ochraniał.

Shannon zaniemówiła. Dosłownie. Czuła, jak serce podchodzi jej do gardła.

- Łaskawa pani?

- Dz... dziękuję - wyjąkała.

Andrew odprowadził ją na górę, pod drzwi sypialni.

- Dobranoc - powiedziała zatrzymując się w drzwiach.

- Życzę pani dobrej nocy - odpowiedział skłaniając głowę.

Shannon miała szaloną ochotę, aby wykonać dworski ukłon, ale tylko skinęła głową i zamknęła drzwi.

Andrew przez chwilę stał nieruchomo, wsłuchując się w odgłos jej cichych kroków.

Cóż to za świat, w którym przerażone, samotne kobiety muszą polegać na jakichś wyjących pudełkach? Czyżby Shannon nie miała przyjaciół i rodziny, nikogo, kto mógłby o nią zadbać? Nikogo, z kim mogłaby podzielić się chlebem?

Przeszedł kilka kroków korytarzem, zastanawiając się, co robić. Mógłby zejść na dół i zapoznać się z tym nowoczesnym domem. Z pewnością pozostało do odkrycia jeszcze wiele fascynujących urządzeń. Nie miał wątpliwości, że mógłby przez całą noc bawić się kolejnymi cudownymi wynalazkami.

Jednak dał Shannon słowo, a nie zwykł go łamać. Któż mógłby ją skrzywdzić? - zastanawiał się, sadowiąc się na podłodze przy drzwiach jej sypialni. I dlaczego jest sama na świecie?

Jutro i na zawsze

5

Dakota Wylie była bibliotekarką w Towarzystwie Historycznym w Princeton. Biblioteka mieściła się na uniwersytecie, niedaleko teatru. W poniedziałki rano Dakota zazwyczaj pełniła funkcję przewodnika, oprowadzając wycieczki harcerek i emerytów po odrestaurowanym domu kolonialnym przy Stockton Street, w którym mieściło się muzeum.

Sama nie wiedziała, czy przez przypadek, czy też wskutek zrządzenia losu, w ten akurat poniedziałek muzeum było zamknięte z powodu awarii wodociągu, toteż miała wolne do południa.

Zresztą, taki drobiazg jak praca nie skłoniłby Dakoty do zmiany planów. Przez całą noc przewracała się na łóżku rozmyślając o Shannon i jej nieoczekiwanym gościu i usiłując zrozumieć, dlaczego nie jest w stanie pojąć sytuacji.

Słyszała urywki rozmów... Miała poczucie, że dzieje się coś dziwnego... Była pewna, że oto działa przeznaczenie, a ona nie może rozszyfrować, o co chodzi. Przez chwilę oczami wyobraźni widziała nawet latarnię morską i postać Waszyngtona, lecz uznała, że nie ma sensu się nad tym zastanawiać.

Gdy wreszcie zaczęło świtać, Dakota była kłębkim nerwów.

Z pewnością coś jest nie tak. Dakota nie potrafiła powiedzieć co, ale już dawno nauczyła się ufać swojej intuicji i przeczuciom, nawet jeśli wydawały się absurdalne. Uznała, że Shannon jej potrzebuje. Normalnie nie odbiera się czyichś fal po to tylko, żeby zaraz utracić kontakt. Chwilami widziała sytuację tak jasno jak na ekranie telewizora, lecz po kilkunastu sekundach obraz zniknął.

Ostatni raz zdarzyło się jej coś takiego z Cyrusem Warrenem z Lawrenceville. Stawiała mu karty na zapleczu biblioteki, gdy nagle jego aura zupełnie się rozmyła. Tego samego wieczoru Cyrus udławił się kurzą kością i zmarł.

Oczywiście, Dakota sprawdziła, co mówią o Shannon karty. Pijąc poranną kawę, kilkakrotnie je rozłożyła i za każdym razem otrzymywała taki sam wynik. Długie życie, zdrowie, wspaniała rodzina. Jedno tylko pozostawało niejasne: jak i kiedy się to miało zacząć.

Mimo wysiłków nie potrafiła rozszyfrować, kiedy i w jakich okolicznościach miały nastąpić zdarzenia, jakie widziała. Miała przeczucie, że to ma związek z mężczyzną, który pojawił się w życiu Shannon, lądując balonem na jej posiadłości.

Shannon obudziła się i ze zdziwieniem zauważyła swą przyjaciółkę. Dakota pochylała się nad łóżkiem i wpatrywała w nią szeroko otwartymi oczami.

- Nareszcie! - zawołała i natychmiast rzuciła jej

szlafrok. - Już myślałam, że podrzucił ci środki usypiające.

- Co do diabła...? - Shannon podparła się na łokciu i spojrzała na stojący na nocnym stoliku budzik. Fakt, że Andrew McVie siedzi pod drzwiami, wcale nie podziałał na nią uspokajająco. Wręcz odwrotnie. Udało się jej zasnąć dopiero nad ranem. - Przecież jeszcze nie ma siódmiej. Czyś ty zupełnie zwariowała?

- Wstawaj! - Dakota, mimo iż była medium, nie odznaczała się subtelnością. - Muszę go poznać.

- Przez całą noc siedział pod drzwiami - wyjaśniła Shannon, ziewnęła i usiadła na łóżku.

- Teraz go tam nie ma - oznajmiła Dakota.

- A alarm? Jak się tu dostałaś?

- Mnie się pytasz? - Dakota wzruszyła ramionami.

- Weszłam tylnymi drzwiami.

- Przecież są zepsute.

- Ktoś je naprawił.

Andrew.

Shannon podbiegła do okna i wyrzała na dwór. Powierzchnia wody w basenie była idealnie gładka. Wszystko stało na swoim miejscu, nigdzie nie było nikogo widać. Nagle ogarnęła ją rozpacz.

- Odszedł - szepnęła, przyciskając czoło do zimnej szyby. Nie wiadomo dlaczego wierzyła, że Andrew będzie na nią czekał i razem rozpoczną nowy dzień.

- Dokąd? - spytała Dakota.

- Miałam nadzieję, że ty mi powiesz. - Shannon zmierzyła przyjaciółkę ostrym spojrzeniem.

- Wykluczone - odparła Dakota. - Nie mogę złapać jego fal, mimo że bardzo się staram. - Skłoniła głowę.

- Ale był w tym pokoju. Wyczuwam to.

- Mylisz się - stwierdziła Shannon. - Nie wszedł do środka.

- Nie, nie mylę się - upierała się Dakota. - Wyraźnie wyczuwam pewne wibracje.

- Wobec tego to ja jestem ich źródłem, bo on nie przekroczył progu tego pokoju.

Wyraz twarzy Dakoty wyraźnie zdradzał, że nie dała się przekonać. Shannon wolała nie przeciągać tej dyskusji. A może wszedł i obserwował ją we śnie? Zamiast irytacji, poczuła pewne podniecenie. Ten obraz wydał się jej niezwykle intymny, zarazem czuły i erotyczny. Kuszący aż nadto.

- Zmieniłaś się - zauważyła Dakota. - Dobrze się czujesz?

- Jestem zmęczona. - Tej nocy Shannon właściwie nie miała ochoty zasnąć. Świadomość, że nieznajomy jest tuż obok, działała na nią jak narkotyk. Chciała się cieszyć każdą chwilą.

- To coś więcej.... Wydajesz się oczarowana.

- Cóż to za słowo - rzuciła Shannon oschle. - Nigdy w życiu nie byłam oczarowana.

- Może poszedł do lasu po swój balon - zasugerowała Dakota i wyjrzała przez okno.

- A może poszedł sobie na dobre.

- Nie, jeszcze nie. - Dakota pokręciła głową.

- Tak uważasz?

- Jestem pewna. Jeszcze nie wypełnił tu swojej misji.

- To nie jest bohater sensacyjnej powieści - zakpiła Shannon. - Ot, jeszcze jeden entuzjasta baloniarstwa.

- No, nie wiem.

- Ponoś cię wyobraźnia. Po prostu zboczył z kursu i jego ekipa straciła go z oczu. To wszystko.

- Nie wierzysz w to tak samo jak ja.

- Daj mi spokój - mruknęła Shannon, niechętnie odrywając się od okna. - Idę do kuchni zrobić kawę.

- Ja zrobię kawę. Ty się ubierz.

- Nie! - Shannon z trudem zapanowała nad sobą. Z niejasnych powodów chciała koniecznie chronić swego gościa, nawet przed swą najbliższą przyjaciółką. - Już piłam twoją kawę - dodała z uśmiechem. - Wolę sama zaparzyć.

Dakota zeszła z nią na dół. Przez cały czas paplała o falach, aurach i perspektywach zwycięstwa drużyny Jankesów w finałowych rozgrywkach baseballowych. Dakota zachowywała się tak zawsze, i Shannon nieco się odprężyła. On tu jeszcze jest, myślała parząc kawę. Dakota wyczuła jego fale, a Shannon, choć na ogół traktowała takie rzeczy dość nieufnie, żywiła pewien niechętny szacunek dla jej zdolności. Prócz tego, czyż większość ludzi nie wierzy w to, w co chce wierzyć, i to niezależnie od tego, co na ten temat powiada rozsądek?

- Jaki brudny blat. - Dakota przeciągnęła palcem po powierzchni pokrytej czerwonym pyłem. - Coś ty tu robiła, przesadzała kwiatki?

- To długa historia - powiedziała Shannon, nalewając dwie szklanki pomarańczowego soku.

- Nigdzie mi się nie spieszy.

- To on wskoczył na blat, wczoraj wieczorem - wyjaśniła Shannon i podała przyjaciółce szklanę.

- Z jakiegoś szczególnego powodu? - Oczy Dakoty rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Chciał... naprawić światło.

- Baloniarz i elektryk? Dziwny facet.

- Przestanieś wreszcie? - Shannon zmierzyła ją gniewnym wzrokiem. - Ten człowiek jest naprawdę dziwny. Przyjmij to do wiadomości i skończ z komentarzami.

Shannon sięgnęła po mleko do lodówki i wyjęła z szafki dwa czyste kubki. Dakota podeszła do tylnych drzwi i wyjrzała na podwórko.

- Mamy towarzystwo - powiedziała po chwili.

Shannon podbiegła do drzwi. Na skraju lasu pojawił się Andrew. Ciągnął za sobą gondolę i powłokę balonu.

- Poczekaj tutaj - powiedziała do Dakoty, wycierając ręce o poły szlafroka. - Pójdę mu pomóc.

Zdecydowanym krokiem wyszła na dwór. Miała słabą nadzieję, że Dakota posłucha polecenia.

- Dzień dobry pani! - zawołał Andrew, gdy zobaczył piękną brunetkę biegnącą mu na spotkanie. Miała na sobie miękką, powiewną koszulę i szlafrok. Wyglądała niemal tak, jak znane mu kobiety, tyle że przez cienką tkaninę widać było wyraźnie jej ręce i nogi. - Piękny poranek, nieprawdaż?

- Zmiataj stąd! - odpowiedziała Shannon z przyjaznym uśmiechem, który przeczył jej słowom. - Wracaj do lasu i czekaj, aż cię zawołam.

- Muszę gdzieś schować te rzeczy - ciągnął Andrew, tak jakby uznał, że jej słowa są normalnym pozdrowieniem, powszechnie przyjętym w 1993 roku. - Na pewno nie będę już ich potrzebował, ale może komuś się przydadzą.

- Nic mnie nie obchodzi ten cholerny balon - powiedziała z naciskiem. - Masz zniknąć, i to już!

Andrew spojrzął ponad ramieniem Shannon i zauważył, że zbliża się do nich jakaś kobieta. Na jej widok otworzył usta ze zdumienia. Miała na sobie długą, powiewną spódnicę z kolorowego materiału, koronkową białą bluzkę, ciężkie buty z czarnej skóry, które lepiej by pasowały do szkutnika, oraz niewielkie okulary, podobne do tych, jakie nosił Franklin. W jej uszach widać było wielkie, srebrne kolczyki, a szyję i przeguby otaczały liczne srebrne i złote łańcuszki. Na każdym palcu miała zupełnie inny pierścionek. Króciutko obcięte, kręcone, czarne włosy okalały jej twarz jak u dziecka. Jednak to nie fryzura ani biżuteria tej kobiety najbardziej go zdumiała. Zdumiało go wytatuowane na jej prawym ramieniu wielkie serce.

- To jakaś dziewczka z tawerny? - spytał, zwracając do Shannon.

Shannon jęknęła. Jeszcze nie minęła ósma, a dzień już zapowiada się koszmarnie.

- To moja przyjaciółka Dakota - powiedziała. - Z pewnością zasypie cię pytaniami. Nie odpowiadaj, bo to się źle dla ciebie skończy. Jeśli ludzie dowiedzą się o tobie, będziesz miał się z pyszna.

- Przedstaw nas, Shannon! - Dakota zatrzymała się

tuż przed nim. - Koniecznie chcę poznać twojego nowego przyjaciela.

- Andrew McVie, Dakota Wylie. - Shannon skrzywiła się, ale dopełniła formalności. - Nie musisz iść do pracy? - spytała Dakotę.

- Dopiero na dwunastą. - Dakota uśmiechnęła się niewinnie.

- Do diabła - mruknęła Shannon pod nosem.

- Cieszę się z naszego spotkania - oznajmiła Dakota i wyciągnęła dłoń.

Andrew spojrzał sceptycznie na rękę Dakoty, po czym zerknął na Shannon, która kiwnęła głową.

- To zaszczyt dla mnie, łaskawa pani.

Dakota uniosła wysoko brwi.

Boże, westchnęła w duszy Shannon. Miała wrażenie, że widzi, jak Dakota nastawia swoje anteny.

Andrew uściśnął dłoń Dakoty, która w tym samym momencie osunęła się bezwładnie na ziemię.

Andrew zareagował pierwszy. Chwycił Dakotę na ręce i zaniósł do domu. Shannon szła za nim. To koszmar, myślała. On nawet nie może sobie wyobrazić, co będzie się działo, kiedy gazety dowiedzą się o jego podróży przez dwa stulecia.

Dotychczas to rozwód Charlesa i Diany był kopalnią złota dla brukowych gazet. Shannon wolała nie myśleć, co będzie, gdy dowiedzą się o Amerykaninie z czasów wojny o niepodległość, i to z pretensjami pod adresem Korony.

Nie obawiała się, że Dakota celowo zrobi coś, co może mu zaszkodzić. Po prostu jej przyjaciółka była

niewolnicą swych uczuć, skłonną do wynurzeń o swych psychicznych doznaniach, które normalnych ludzi zupełnie zadziwiały.

- Czy ona źle się poczuła? - spytał Andrew, kładąc Dakotę na kanapie w salonie.

- To pewnie ten upał - zasugerowała Shannon. - Mógłbyś przynieść szklankę zimnej wody?

Andrew stał nieruchomo. Shannon zerknęła na niego przez ramię i zauważyła na jego twarzy wyraz bezradności i zakłopotania. Zrobiło się jej go żal.

- Szklanki są w szafce przy oknie - zaczęła i nagle urwała. Nie wiedziała, jak wyjaśnić mu, skąd ma wziąć zimną wodę. Nie chciała tracić czasu na tłumaczenie, jak działa lodówka. - Idź do zlewu w łazience - powiedziała wreszcie. - Przekręć rączkę w prawo, wtedy poleci zimna woda.

Latarnia morska z ciemną wieżą... Wysoka, rudowłosa kobieta i jakiś potężny mężczyzna... Poczucie cząjącego się wokół zagrożenia... Poświęcenie dla sprawy... Jakiej sprawy?

Dakota poczuła, że obraz odpływa. Chciała go zatrzymać, ale nie była w stanie. Otworzyła oczy i z trudem usiadła.

- Chyba nie jesteś w ciąży, co? - spytała Shannon, podając jej szklankę wody. Dakota wypiała kilka łyków.

- Nie, nie jestem w ciąży. Do tego, zdaje się, potrzeba mężczyzny - odrzekła patrząc Shannon w oczy. - To przez niego. To przez to dotknięcie.

- Nie zawsze jestem świadom swej siły, łaskawa pa-

ni. - Andrew zbliżył się o krok. - Pokornie błagam o przebaczenie.

- Czy on żartuje? - Dakota spojrzała na Shannon.

- Nie jesteśmy tu przyzwyczajone do wytwornych manier. - Shannon próbowała usprawiedliwić swą przyjaciółkę. Była wyraźnie zakłopotana.

Dakota skończyła pić, wytarła usta wierzchem dłoni i zmierzyła Shannon gniewnym wzrokiem.

- Dobrze wiesz, o czym mówię. To przez niego. Coś tu jest nie tak.

Andrew postukał się palcem w głowę, patrząc na Shannon pytającym wzrokiem. Shannon z trudem powstrzymywała się od śmiechu.

- Nie, nie jest wariatką - powiedziała. - Ma tylko zbyt bujną wyobraźnię.

Andrew pokiwał głową. Dakota miała ochotę dać im obojgu po głowie.

- Chciałabym wiedzieć, coście wymyślili - powiedziała, gotując się ze złości.

- Wiesz przecież, że tylko żartuję - uśmiechnęła się Shannon.

- Wiem tylko, że krążą tu bardzo dziwne vibracje - warknęła Dakota.

- Vibracje? - zdziwił się Andrew. - Proszę powtórzyć. Nie znam tego słowa.

- Wiem - odparła Dakota. - Ciekawa natomiast jestem dlaczego. Ale się dowiem.

Jutro i na zawsze

6

- To przyjaciel czy wróg? - spytał Andrew, gdy Dakota wybiegła i trzasnęła za sobą drzwiami.

- Przyjaciel - westchnęła ciężko Shannon. - Jest medium.

- Medium?

- Aha. To ktoś, kto potrafi przewidzieć przyszłość.

- Moja mama też miała dar jasnowidzenia - powiedział Andrew rzeczowym tonem.

- Dakota potrafi więcej - dodała Shannon. - Czasami gotowa jestem przysiąc, że potrafi odczytać cudze myśli.

- Postanowiła pani nie zdradzać jej szczegółów naszego spotkania. - Andrew wbił w nią nieruchome spojrzenie. Shannon wolała nie zwracać uwagi na złote błyski w jego oczach. - Jeśli rzeczywiście potrafi odczytywać myśli, to powinna odgadnąć prawdę.

- Wiem - przyznała Shannon z żalem. - Też się tym martwię.

Shannon dziękowała Bogu, że Dakota poszła. Przynajmniej miała chwilę wytchnienia.

- Dlaczego chce pani utrzymać to w tajemnicy?

- Ponieważ świat jest taki parszywy, McVie. Ludzie zjedliby cię żywcem.

- Nie rozumiem, co chce pani przez to powiedzieć.

- W dzisiejszych czasach ludzie uwielbiają plotki - wyjaśniła, nerwowo krążąc po salonie. - Gdyby się dowiedzieli, że pochodzisz z innego stulecia, wpadłbyś w łapy producentów telewizyjnych, reżyserów, dziennikarzy i reporterów z całego świata. Stałbyś się więźniem własnego cudu. - Shannon nie potrafiła natomiast wyjaśnić, dlaczego ją to obchodzi.

- Zatem wierzy pani, że pochodzę z innego stulecia?

- Andrew uśmiechnął się do niej.

- Wierzę, McVie - westchnęła ciężko. - Niech mnie Bóg wspomaga, ale wierzę.

Fakt, że Shannon mu wierzy, nie powinien mieć dla niego znaczenia, gdyż niczego nie zmieniał. A jednak w głębi duszy Andrew wiedział, że to jedno słowo, „wierzę”, zmieniło między nimi wszystko.

- Nie zamierzam być dla pani ciężarem, pani Shannon. Bardzo proszę, żeby tylko wskazała mi pani drogę do Princeton.

- Potrzebujesz czegoś więcej.

- Czy mogłaby pani to wyjaśnić?

- Spójrz na siebie - rzuciła, wskazując ręką na jego ubranie. - Jeśli pojawisz się w tym stroju na ulicy, zostaniesz aresztowany za włóczęgostwo.

- W moich czasach pani Wylie zostałaby skazana na pręgierz z powodu swojego stroju. - Andrew nie śmiał komentować nieprzyzwoitego, żółtego kostiumu Shannon.

- Wobec tego powinienesz rozumieć, o co mi chodzi.

- Nie widzę niczego złego w moim ubraniu - rzekł Andrew, przyglądając się sobie.

- Ma ponad dwieście lat.
- Jest ciepłe i wygodne.
- Wyglądasz jak obdartus.

Andrew uniósł brwi.

- Tak właśnie jest - upierała się Shannon. Na jej policzkach pojawiły się wypieki. - Pachniesz też niezbyt pięknie.

- Łaskawa pani raczy pamiętać, że w lesie trudno o nieskazitelną czystość.

- Rozumiem, ale jeśli chcesz żyć w obecnych czasach, to musisz zgodzić się na pewne zmiany. - Shannon komicznie zmarszczyła nos. - Najlepiej będzie, jeśli zaczniesz od garderoby.

- Zawsze tak się ubierałem. - Andrew pomyślał, że Shannon jest czarująca nawet wtedy, gdy pozwala sobie na krytykę pod jego adresem.

- A ten twój przyjaciel z dwudziestego wieku? Jak on się ubierał?

- Nie pamiętam, łaskawa pani. Widocznie różnice nie były duże, bo inaczej utkwiłyby mi w pamięci.

- A więc pora, żebyś zaczął się uczyć dwudziestowiecznych zwyczajów - stwierdziła Shannon i wyprostowała się energicznie.

- Jestem gotów do nauki.
- Jeszcze nie było takich czasów jak teraz.
- Zgadzam się - przyznał. - Ciekawe tylko, dokąd nas zawiodą?

W pół godziny później usiedli do śniadania na tarasie i zaczęła się pierwsza lekcja.

- Przy stole zachowujesz się okropnie - powiedziała wprost. - Nie pchaj tak jedzenia do ust.

- Jem szybko, bo szkoda tracić czas - odrzekł, unosząc głowę znad talerza z jajecznicą.

- Jesz jak prosię.

- Nie siedzimy przy stole angielskiego króla, zastawionym srebrem i porcelaną - zauważył. - To zwykły stół i jem jak zwykły człowiek.

- Nie, nie jesz. Nie trzyma się widelca w ten sposób. To nie szufla do szukania złota.

- Może mi pani pokaże, jak należy to robić. - Andrew odchylił się do tyłu i skrzyżował ramiona. - Najwyraźniej posiadała pani tę mądrość.

- Owszem - stwierdziła, wycierając kącik ust serwetką. Nałożyła na widelec niewielki kawałek jajecznicy i uniosła go do ust, po czym długo go przeżuwała. W końcu uśmiechnęła się do niego. - Widzisz, tak to się robi.

- W ten sposób posiłek ostygnie, nim człowiek zdąży go zjeść.

- Dżentelmen nie mówi o takich sprawach.

- Gorące dania należy spożywać, póki są gorące.

- Zgoda - uśmiechnęła się Shannon. - Ale przy jedzeniu nie należy zachowywać się jak lump.

- Lump?

- Prosię - wyjaśniła. - Niechluj.

Andrew wziął do ust kawałek jajecznicy i szynki.

- Czy obecnie wszyscy ludzie komentują zachowanie innych przy stole?

Shannon pomyślała o podręcznikach takich jak „ABC dobrego wychowania” i parsknęła śmiechem.

- Niektórzy nawet zarabiają w ten sposób na życie.
- To dziwny świat.
- Dziwniejszy niż myślisz. - Shannon oparła widelec o brzeg talerza. - Myślę, że zaraz po śniadaniu pojedziemy do centrum handlowego.

- Centrum handlowe? Co to takiego?

Shannon opowiedziała mu o kompleksie sklepów i restauracji, które razem tworzyły gigantyczne centrum handlowe o nazwie Bridgewater Commons.

- To przechodzi moje wyobrażenie.
- Moje również - przyznała Shannon. - Nic jednak nie możemy na to poradzić. Idziemy na zakupy.

Po śniadaniu Andrew uważnie przyglądał się, jak Shannon układa brudne naczynia w kuchennej szafce, po czym nalewa do środka mydło w płynie. Już miał zapytać, dlaczego nie wstawiła ich do zlewu, gdy Shannon nacisnęła jakieś guziki i w kuchni rozległ się szum wody oraz jakiś potworny zgrzyt.

- Co do diabła...?
- To zmywarka - wyjaśniła Shannon. - Sama myje naczynia.

Andrew pokiwał głową tak, jakby to było dla niego coś normalnego. W tym momencie jego spojrzenie padło na zawieszoną na kołku ściereczkę.

- A później wytrze je pani ścierką, tak?
- Nie - zaprzeczyła. - To również zrobi za mnie zmywarka.

- To niemożliwe. - Andrew uklęknął przed maszyną, z której dochodziły przedziwne dźwięki. - W środku są szmaty?

- Gorące powietrze.

- Zechce pani powtórzyć?

- Nie znam się na takich urządzeniach, ale wydaje mi się, że po myciu do zmywarki jest wdmuchiwane gorące powietrze, które wysusza naczynia.

- To cud.

- Nie, to rzecz normalna.

- Czy pani się ze mnie śmieje?

- Nigdy bym sobie na to nie pozwoliła. - Jej piękną twarz rozświetlił uśmiech. - Mówisz tak cudownie.

- Nie chce pani zmienić mojej mowy?

- Uznałam cię za Szkota - odpowiedziała, wciąż uśmiechając się do niego. - Myślę, że inni popełnią ten sam błąd. A poza tym, w tym kraju dopuszczalna jest wszelka różnorodność. Doskonale wtopisz się w tłum.

- Nie musi pani troszczyć się o mnie. Jestem zaradnym człowiekiem i jakoś poradzę sobie w tym świecie.

- Przypomnij sobie swoich przyjaciół z dwudziestego wieku. - Z ust Shannon zniknął uśmiech. - Czy oni nie potrzebowali twojej pomocy?

- Wtedy była wojna - odrzekł Andrew. - Zawszą groziło niebezpieczeństwo. Zrobiłem tylko to, co wydawało mi się konieczne, żeby zapewnić im bezpieczeństwo.

- Ja zamierzam zrobić to samo dla ciebie. Teraz nie ma wojny, ale mogę cię zapewnić, że mój świat jest dużo bardziej niebezpieczny niż twój.

Andrew pomyślał o ospie i zapaleniu płuc, o gorączce poługowej i ofiarach wojny. To, o czym opowiadali mu Emilie i Zane, nie mogło równać się z tymi potwornościami. Nie mógł uwierzyć, że Shannon pokaże mu coś, co zmieniałoby jego zdanie w tej kwestii.

- Możesz już otworzyć oczy - powiedziała Shannon.
- Najgorsze za nami.

- Nie, łaskawa pani. - Andrew wciąż zaciskał powieki. - Lepiej nie.

- Wjechałam na autostradę i teraz jedziemy jednym pasem. - Andrew zdumiewająco spokojnie przyjął do wiadomości, że pojedą samochodem. Problem pojawił się dopiero wtedy, gdy przy wjeździe na autostradę musieli rywalizować o miejsce z potężnym tirem. - Już nie masz się czego bać.

Biedak zupełnie zzieleniał. Shannon szczerze mu współczuła. Po chwili jednak Andrew powoli otworzył oczy i rozejrzał się wokół. Jesteś wspaniały, pomyślała. Zastanawiała się, czy gdyby sytuacja była odwrotna, ona potrafiłaby wykazać choć jedną dziesiątą jego odwagi.

- Poruszamy się z wielką prędkością - zauważył. Jego twarz powoli odzyskiwała barwę. - Czy taki szybki ruch jest czymś normalnym?

Shannon spojrzała na szybkościomierz. Jechali osiemdziesiątką.

- W istocie jedziemy dość wolno. Ten facet w czerwonym porsche wyciąga pewnie ze sto dwadzieścia.

- Nie rozumiem, co to znaczy porsche i wyciągać sto dwadzieścia.

Shannon zerknęła w boczne lusterko i zmieniła pas.

- Jeśli chcesz się przekonać, co to znaczy wyciągać sto dwadzieścia, to mogę przyspieszyć. - Jakie znaczenie może mieć mandat, skoro mogła się przed nim popisać?

- Nie rozumiem, jaką to może przynieść korzyść.

- Andrew sceptycznie kręcił głową.

- Większość mężczyzn namawiałaby mnie do tego.

- Nie jestem taki jak większość - odrzekł poważnie.

Och, Boże, on przecież nawet nie zdaje sobie sprawy, do jakiego stopnia ma rację. Różni się od wszystkich znanych jej mężczyzn wyglądem, sposobem bycia i emanującą z niego spokojną siłą.

- Wciąż zastanawiam się, dlaczego pani prosiła, żebym został.

- Wcale nie prosiłam.

- Słyszałem pani słowa zupełnie wyraźnie. „Nie odchodź. Proszę, zostań”. Powiedziała pani to tonem błagania.

Czy to rzeczywiście możliwe, by czytał w jej myślach z taką samą łatwością, z jaką ona odczytywała jego myśli?

- Może raczej powinniśmy zrezygnować z zakupów i udać się do lekarza - spróbowała zażartować, ale nie wypadło to przekonująco.

- Nie potrzebuję pomocy lekarza.

Shannon zmieniła pas. Zbliżali się już do Bridgewater Commons.

- Sugestia, że mógłbyś zostać, to nie to samo co prośba.

- W pani głosie słyszałem wielkie napięcie.
- A ty nie masz nic do powiedzenia? - spytała. Rozległ się pisk opon i Shannon zjechała z autostrady nieco szybciej niż zwykle. - Nie przywiązałam cię do krzesła i nie zmusiłam do zostania.

- Pani rozumowanie było logiczne. Zdrowy rozsądek nakazywał mi, bym przystał na pani propozycję.

- Ha!

- Uważa mnie pani za kłamcę?

- Uważasz mnie chyba za idiotkę, jeśli sądzisz, że w to uwierzę.

- Jest pani podejrzliwą kobietą, pani Shannon. To cecha wyjątkowo niepożądana u kobiet.

- Ta uwaga przypomina mi, że musimy coś zmienić w twoim zachowaniu - odpowiedziała, zatrzymując się na czerwonych światłach. - Zupełnie mi nie odpowiada twoje paternalistyczne nastawienie do kobiet. Usiłujesz traktować mnie z góry.

- Jestem mężczyzną. Traktuję kobiety tak, jak powinny być traktowane.

- W tym stuleciu mężczyźni mają obowiązek traktować kobiety jak równe sobie.

- Kobiety nie są równe mężczyznom.

- A właśnie że są.

- Jest pani ode mnie słabsza.

- Za to inteligentniejsza - odpaliła. - Wychodzi na równo.

- Jeszcze nie mieliśmy okazji porównać naszych intelektów. Nie może pani tego wiedzieć.

- Potwierdza to prosta logika - argumentowała

Shannon. - Mój świat jest bardziej rozwinięty niż twój. Jestem produktem mojego świata, wobec tego jestem bardziej rozwinięta niż ty.

- Ukończyłem Harvard.

- Akurat - prychnęła. Wjeżdżali już na parking.

- Byłem prawnikiem w Bostonie.

- Tak? - Spojrzała na niego kątem oka, sprawnie wjechała na wolne miejsce i gwałtownie zahamowała. - A ja jestem fizykiem jądrowym.

- Nie wierzy mi pani.

- Ty prawnikiem? - Shannon spojrzała mu w oczy.

- Czy w twoich czasach wszyscy prawnicy ubierali się tak jak ty?

- Nie praktykowałem od... - Andrew nagle urwał.

- No, dokończ - nalegała. - Nie możesz mnie tak zaskakiwać i następnie pomijać szczegóły.

- Szczegóły nie mają już znaczenia - powiedział szorstko.

- Chciałabym wiedzieć.

- Moja przeszłość jest już zamknięta. Zamierzam zbudować nowe życie, tu i teraz.

Shannon pomyślała o swoim małżeństwie i postanowiła nie naciskać. Też to przeżyłam, pomyślała. Wiem, jak to smakuje.

Przejrzała się w lusterku i poprawiła włosy.

- Jeśli chcesz zbudować nowe życie, trafiłeś na właściwe miejsce - powiedziała z najpiękniejszym uśmiechem, na jaki potrafiła się zdobyć. - Bridgewater Commons to kwintesencja Ameryki.

Andrew pomyślał, że właśnie uniknął niebezpieczeń-

stwa. Nie chodziło tym razem o zagrożenie fizyczne, lecz coś znacznie bardziej subtelnego. Niewiele brakowało, a zwierzyłyby się pani Shannon i opowiedział jej o Elspeth i Davidzie, opowiedział o wszystkich błędach, jakie popełnił w życiu, całkowicie odsłonił swoją duszę.

Nie, pomyślał, zerkając na jej śliczny profil. To byłby straszny błąd. Nie miał zamiaru go popełnić.

Udało mu się jakoś odpiąć więzy, który trzymały go na fotelu, po czym pociągnął srebrną rączkę do otwierania drzwi. Zane doskonale opisał mu samochód. Andrew świetnie pamiętał ów wieczór, gdy Zane narysował na piasku prostokątne pudełko na nadmuchiwanym kołach. Z łatwością wyobraził sobie, że ktoś zbudował powóz o tak dziwnym kształcie, ale znacznie trudniej mu było przyjąć do wiadomości, że ten powóz obywa się bez koni. Zane powiedział, że źródłem napędu jest seria kontrolowanych wybuchów gdzieś w środku.

- Czy wszyscy mają samochody? - spytał, rozglądając się po gęsto zastawionym parkingu. Stali przed jakimś ogromnym budynkiem.

- Prawie wszyscy - potwierdziła Shannon.

- Jak można znaleźć swój na takim polu?

- Czasami to dość trudne.

- Czy nie znacie koni?

- Oczywiście, że tak. - Shannon skierowała się w stronę budynku. Andrew szedł obok niej. - Ale utrzymanie konia jest bardzo kosztowne.

- A czy jazda samochodem nie jest kosztowna?

- Zależy od marki samochodu, kierowcy i ubezpieczenia.

- Ubezpieczenia?
- Od wypadków.

Andrew pomyślał o pojeździe, który Shannon nazwała ciężarówką. Gdyby zderzyli się z nią, niewiele by z nich zostało.

- Nie chcę o tym więcej słyszeć, pani Shannon. Raz w życiu widziałem poważne zderzenie dwóch powozów. Mogę sobie wyobrazić, jak wygląda zderzenie samochodów.

W tym momencie usłyszeli głośny śmiech. Gdy Andrew obejrzał się, dostrzegł grupę wyrostków. Patrzyli w ich stronę.

- Rozumiesz już, o co mi chodziło? - szepnęła Shannon i obrzuciła szczeniaków ostrym spojrzeniem. - Musisz zmienić ubranie.

Andrew przystanął i uważnie przyjrzał się chłopcom.

- Z pewnością nie wszyscy ubierają się tak jak oni.
- Spodnie sportowe, bawełniana koszulka - powiedziała Shannon. - Normalny strój dzisiejszych nastolatków.

Andrew dotychczas nie słyszał słowa nastolatki, ale bez trudu domyślił się, co oznacza. Pocieszał się myślą, że ci młodzieńcy przynajmniej byli uczesani tak jak on.

- Nie włożę na siebie takich spodni - oznajmił stanowczo.

- Obiecuję, że nie będę cię namawiać. - Od szklanych drzwi gigantycznego gmachu dzieliło ich już tylko kilka kroków. - Zobaczysz tu mnóstwo dziwnych rzeczy, Andrew. Zrobię, co będę mogła, żeby ci wszystko wyjaśnić, ale lepiej będzie, jeśli na ogół będziesz cicho.

- To nie jest normalne, żeby kobieta rozkazywała mężczyźnie.

- Podróż przez dwa wieki też nie jest czymś normalnym. Jesteś w moim świecie. Pozwól, że będę ci pomagać.

Andrew wiedział, że zdrowy rozsądek nakazuje jej się podporządkować, ale to nie leżało w jego charakterze. Jeszcze żadna kobieta nie widziała go w takim stanie, zdanego na jej łaskę. Zwykł przewodzić, a nie czekać na instrukcje. Był mężczyzną i wobec tego to on powinien rozkazywać.

Ale chyba nie w tym świecie.

I nie tej kobiecie.

Pomyślał, że są to dwa najważniejsze problemy, z jakimi przyjdzie mu uporać się w nowym życiu.

Jutro i na zawsze

7

Andrew wyciągnął dłoń, żeby pchnąć szklane drzwi, gdy tymczasem rozsunęły się same. Zaskoczony, odskoczył do tyłu.

- Elektroniczne oko - wyjaśniła Shannon. - Zapomniałam cię uprzedzić. - Wskazała ręką czerwone światło nad drzwiami. - Ta lampka wyczuwa naszą obecność i wysłała sygnał włączający mechanizm otwierający drzwi.

- Jak?

- Nie zadawaj mi takich pytań - powiedziała i weszli do środka. - Niektóre z tych urządzeń są dla mnie równie zagadkowe jak dla ciebie.

Boże, ciekawe, jakie jeszcze cuda dnia powszedniego, na które przestała już zwracać uwagę, zupełnie go zaskoczą?

Gdy mijali kino, zobaczyli tłum ludzi pragnących po raz któryś z rzędu zobaczyć „Park jurajski”.

- Na co oni czekają? - zainteresował się Andrew.

- Nie jesteś jeszcze gotów na kino - odpowiedziała szybko. Zwłaszcza na filmy o dinozaurach zjadających ludzi, pomyślała. - Lepiej zajmijmy się twoim ubraniem.

- A to co? - Andrew podszedł do poręczy, podniósł głowę i spojrzał na ogromny świetlik w suficie. - Drzewa? W środku budynku?

- Pewnie masz rację, że to zaskakujący pomysł - przyznała, spoglądając na kępę drzew zasadzonych w skalnym ogrodzie. - Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

- Właśnie o czymś takim opowiadali mi Emilie i Zane. - Shannon miała wrażenie, że widzi dziecko w sklepie z zabawkami. Andrew chciał wszystkiego dotknąć i wszystko zrozumieć. - Wszędzie, gdzie spojrzę, widzę bogactwo.

Zatrzymali się przed wystawą ekskluzywnego sklepu jubilerskiego. Andrew patrzył na pierścionki z brylantami i szwajcarskie zegarki.

- Pani też nosi klejnoty - powiedział, przyglądając się jej kolczykom z brylantem i bransoletce. - Emilie miała biżuterię ze złota i srebra. Nawet król Anglii nie mógłby żądać więcej.

- Królowa Anglii - poprawiła go z uśmiechem. - Wierz mi, że mogłaby nas zawstydzić.

- To dla mnie nie do pojęcia - powiedział. Minęli sklep z kartami, potem z zabawkami, i znaleźli się przed następnym sklepem jubilerskim. Andrew wskazał dwie starsze kobiety stojące przed wystawą. - Błyszczą się jak księżniczki z dalekich krain. Jak to możliwe, że zwykli ludzie mogą pozwolić sobie na takie cuda?

- Teraz już wiem, czemu zdecydowałeś się na podróż w czasie - oschle stwierdziła Shannon. - Jesteś osiemnastowiecznym yuppie.

- Emilie tak mnie raz nazwała, ale nie pamiętam, co to miało znaczyć. - Andrew zmarszczył brwi. - Wydaje mi się jednak, że to nic dobrego.

- Yuppie to trzydziestoparoletni konsument, którego zachłanność przekracza dochody.

- Obraża mnie pani.

- Nie mam takiego zamiaru. - Shannon spróbowała go pociągnąć w kierunku sklepu z męskimi ubraniami, ale Andrew stał niczym urzeczony przed wystawą sklepu z rzeczami dla przyszłych matek i małych dzieci. - Jeśli chcesz zrozumieć nasz świat, nie możesz koncentrować uwagi na pozłocie.

Skierowała się do windy, ale zaraz uznała, że w ten sposób może napytać sobie biedy.

- Lepiej chodźmy po schodach - powiedziała. - Albo... - Urwała. Gdzie on się podział? Jeszcze przed sekundą stał tuż obok. Pomyśl, nakazała sobie. Dokąd może pójść mężczyzna?

Z pobliskiego baru dotarł do niej zapach pizzy i hot-dogów. Oczywiście, pomyślała. W barze można było zjeść chińskie, włoskie i amerykańskie dania. Czyż Andrew mógł się temu oprzeć?

Uważnie rozejrzała się po całym barze. Spytała kassjerkę i ochroniarza, ale nikt z nich nie zauważył dziwnie ubranego mężczyzny, zachowującego się tak, jakby pierwszy raz był w takim miejscu.

- Piętro niżej jest informacja - poradził ochroniarz. - Mogą go wezwać przez głośniki.

Świetny pomysł, myślała Shannon schodząc po schodach. Tyle że nie w tym przypadku. Gdy Andrew usły-

szy swoje nazwisko z głośników, może pomyśleć, że to Bóg go wzywa.

Andrew przyglądał się, jak trzy kobiety z dziećmi wchodzi do niewielkiego pokoiku, po czym zasuwały się za nimi drzwi i znikają. Kiedyś w tawernie w pobliżu Bostonu widział, jak pewien magik robił to samo z różnymi przedmiotami: damską chusteczką, monetą, talią kart. Jego talent bardzo mu wówczas zaimponował, ale to, czego przed chwilą był świadkiem, jeszcze bardziej go zdumiało.

Zbliżył się do tych intrygujących drzwi. Po chwili obok niego zatrzymała się starsza kobieta, obładowana paczkami. Jego widok wyraźnie ją zdziwił, ale natychmiast odwróciła wzrok. Prawdę mówiąc, Andrew był również zaskoczony jej widokiem. Jeszcze nigdy nie widział, aby taka stara kobieta ukazywała publicznie tyle gołej skóry. Bez trudu dostrzegał wszystkie żyły na jej obnażonych nogach. Miała na sobie krótkie, męskie spodnie oraz bluzkę bez rękawów i bez kołnierzyka, na twarzy zaś tyle farby, że starczyłoby na pomalowanie stodoły.

Szanowna pani, powiedział w myślach i pokręcił głową. Czy nie byłoby lepiej, żeby siedziała pani w domu i zajmowała się wnukami?

Oderwał wzrok od wymalowanej kobiety i spojrzał na rząd cyfr nad drzwiami. Właśnie zapaliła się największa liczba i drzwi się rozsunęły. Z pokoiku wysypała się grupka hałaśliwych dzieci, dwie matki i dwaj mężczyźni ubrani w niemal identyczne, ciemne ubrania. Wyglądali

tak, jakby jeden był lustrzanym odbiciem drugiego. Andrew pomyślał, że jeśli Shannon zamierza go ubrać w taki absurdalny strój, to musi jej to jak najszybciej wybić z głowy.

Gestem zaprosił starszą kobietę, aby weszła pierwsza. Wydawała się zaskoczona, ale bez słowa przekroczyła próg. Za nimi do środka weszły jeszcze dwie chude dziewczyny, liczące na oko szesnaście lat. Obie miały na sobie sfatygowane, niebieskie spodnie i białe koszulki z napisami „U2” i „Virginia Is For Lovers”. Żadna z nich nie wydawała się szczególnie szczerze obdarzona przez naturę; jedna zwłaszcza wydawała się zupełnie płaska. Poza tym wyglądały jak bliźniaczki, miały nawet takie same kolczyki.

Nic dziwnego, że Andrew zupełnie zdębiał, gdy po zamknięciu drzwi dziewczyny czule się objęły i zaczęły całować. Tak go to zaskoczyło, że nawet nie zauważył, że cały pokój nagle zaczął się zapadać. Z nieznanego źródła dobiegała muzyka.

- Słodki Jezu! - wykrzyknął wreszcie. - Co tu się dzieje?

- Co za wulgarność - prychnęła stojąca obok starsza kobieta. - Całują się publicznie... Okropność, po prostu okropność.

- Spadajcie z nas, dobra? - odezwała się niskim głosem jedna z dziewczyn. Andrew dopiero teraz zorientował się, że to chłopak. - Wszyscy starzy mają jakieś przesady na punkcie seksu.

- Może to dlatego, że sami nie mają okazji - zachichotała jego przyjaciółka.

- Pewnie tak - potwierdził chłopak, zbliżył się do starszej kobiety i szybkim ruchem wytrącił jej z rąk paczki. - Ta stara chyba już wyszła z obiegu, co?

Andrew poczuł, że ogarnia go wściekłość. Wcisnął się między kobietę i chłopaka.

- Masz natychmiast przeprosić tę czcigodną niewiastę - powiedział tonem nie znośnym sprzeciwu.

- Ciekawe, kto mnie do tego zmusi?

Andrew chwycił go za kark i uniósł do góry.

- Przeprosisz ją zaraz, albo porachuję ci kości - ryknął.

- Nie daj się zastraszyć, Mike! - krzyknęła dziewczyna. - Jeśli coś ci zrobi, podasz go do sądu. Słono ci za to zapłaci.

Chłopak spojrzał na niego ze złością.

- Już - ponaglił go Andrew. - Przeprosisz ją, albo zaraz udasz się do świętego Piotra.

- Przepraszam - wyjąkał chłopak. - Tylko żartowałem.

Pokój zatrzymał się i drzwi znów się rozsunęły. Andrew wypchnął chłopaka za drzwi, dziewczyna wybiegła za nim. Po chwili oboje zniknęli w tłumie.

- Jest pan bardzo odważnym człowiekiem - powiedziała kobieta. Andrew pochylił się, aby pozbierać jej paczki. - Mógł mieć nóż. Niewielu ludzi odważyłoby się mi pomóc.

- To nie do wiary - powiedział Andrew. - Przecież nie mogłem zrobić nic innego, jak tylko pani pomóc.

- Ma pan cudowny akcent - powiedziała kobieta z uśmiechem. Miała białe, równe uzębienie. Kolejny cud. - Jest pan ze Szkocji?

- Tak - potwierdził Andrew z uśmiechem. - Ze Szkocji.

Nagle w całym korytarzu rozległ się donośny głos.

- Pan Andrew McVie proszony jest do punktu informacyjnego. Pan Andrew McVie proszony jest do punktu informacyjnego.

- Chryste Panie - westchnął Andrew.

- To pan nazywa się Andrew McVie? - spytała umalowana kobieta z zaciekawieniem.

- Tak.

- I nie wie pan, gdzie jest punkt informacyjny, prawda?

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Andrew potrząsnął głową. Pomyślał, że nie tylko nie wie, gdzie jest punkt informacyjny, ale również nie ma pojęcia, co to takiego.

- Wobec tego zaprowadzę pana. - Kobieta wsunęła rękę pod jego ramię. - Przynajmniej w ten sposób mogę się panu odwdzięczyć.

- Minęły dopiero trzy minuty - zauważyła kobieta z punktu informacyjnego. - Musi pani poczekać, to duży budynek. Jestem pewna, że pani przyjaciel zaraz się zjawi.

- Nie jestem tego taka pewna - mruknęła Shannon. Andrew był wprawdzie silny i niezależny, ale z całą pewnością nie był przygotowany na wszystkie niespodzianki dwudziestego wieku. Choćby rozmiary domu handlowego musiały podzielać na niego oszałamiająco. Mógł spaść z ruchomych schodów i złamać nogę, mógł wyjść na zewnątrz i wpaść pod samochód.

Shannon zakryła twarz dłońmi i jęknęła. W tym momencie przyszło jej do głowy, że może Andrew wszedł do jakiegoś sklepu, wziął coś, co mu się spodobało i spróbował wyjść. Nie tylko nie miał pieniędzy, ale również żadnego dowodu tożsamości - poza prawem jazdy Emilie Crosse, która żyła szczęśliwie w osiemnastym wieku.

Nagle usłyszała jakiś głos i podniosła głowę. Andrew szedł w jej kierunku w towarzystwie kobiety około sześćdziesiątki, która bez przerwy gadała. Shannon poczuła taką ulgę, że ugięły się pod nią kolana.

- Proszę, oto pani przyjaciel - powiedziała kobieta. Najwyraźniej nie miała ochoty rozstawać się z Andrew.
- Niech pani nie zapomni spytać go, czego dokonał w windzie. - Uszczypnęła go lekko w policzek. - Lepiej niech się pani go trzyma. Dzisiaj nie ma już takich mężczyzn.

Umalowana dama odwróciła się i odeszła. Shannon i Andrew popatrzyli sobie w oczy.

- No więc, czego dokonałeś w windzie? - odezwała się Shannon.

- Zrobiłem to, co na moim miejscu zrobiłby każdy mężczyzna.

- Bardzo chętnie poznałabym bliższe szczegóły.

- To proste. - Andrew zmarszczył czoło. - Przypomniałem jakiemuś młodzieńcowi, że starszych należy traktować z szacunkiem.

- Jak silnie mu to przypomniałeś?

- Ani razu go nie uderzyłem.

- Bardzo się cieszę - mruknęła Shannon. - Nie

wiem, jak to wyglądało w twoich czasach, ale dzisiejsi Amerykanie to pieniacze. Wystarczy kichnąć w złą stronę i już masz proces.

- Ta dziewczyna wspomniała o takiej możliwości.

- W obecnym świecie nie używamy siły fizycznej - powiedziała Shannon, starając się nie pamiętać o przemocy i zagrożeniach, które w wielu częściach kraju stały się elementem codzienności. - Na ogół rozstrzygamy nasze problemy za pomocą słów, nie ciosów.

- Może lepiej skierowałaśby pani tę przemowę do chłopaka, który groził tej starszej kobiecie. - Andrew odwrócił się i ruszył do drzwi.

- Andrew! - zawołała Shannon. Pobiegnęła za nim, ale przyspieszył kroku. Najwyraźniej chciał zachować dystans. - Dokąd idziesz?

Bez słowa maszerował dalej.

- Andrew! - wołała. - Poczekaj!

Czy ty zwariowałaś, Shannon, przemknęło jej przez głowę. Po co go gonisz? Jest dorosły, ma swoje życie... On tylko napyta ci biedy. Niech sobie idzie.

Nie mogła jednak zapomnieć o tym, że Andrew jest sam w zupełnie obcym świecie. Nikt, kto jest szczęśliwy, nie decyduje się na podróż w nieznaną. Andrew nie zdawał sobie sprawy, że w tym świecie przypomina pijane dziecko we mgle. Jeden fałszywy krok i stanie się kolejną ofiarą dwudziestego wieku.

Nie mogła do tego dopuścić.

Andrew zbliżał się już do wyjścia. Shannon przyspieszyła kroku i tuż przed drzwiami zdołała chwycić go za rękaw. Wyrwał rękę i ruszył dalej.

- Andrew! - Zabięła mu drogę. - Proszę.
- Nie chcę się z panią kłócić, łaskawa pani.

Shannon była dumna z tego, że nigdy nie płacze, ale teraz poczuła pod powiekami łzy wywołane frustracją. Było jej wstyd.

- Co się stało? Dlaczego tak się rozgniewałeś?

Patrzyła na niego swymi pięknymi oczami, przepełnionymi uczuciem. Andrew nie mógł pojąć, jak w tak krótkim czasie uczucie to nabrało takiej intensywności.

- Andrew? - Położyła mu rękę na ramieniu. - Proszę, powiedz mi.

- Nie wiem, co mam powiedzieć - odrzekł, starając się zapanować nad sprzecznymi emocjami. - Jestem tu kimś obcym.

- Właśnie to zauważyłeś? - Shannon lekko się uśmiechnęła.

- Tak - przyznał powoli. Starcie w ruchomym pokoiku uświadomiło mu to z siłą, jakiej jeszcze nie doświadczył.

- Niedługo przestaniesz czuć się obco - obiecała. Szybko przeciągnęła palcem pod okiem. Czyżby płakała z jego powodu?

- Sądziłem, że to kwestia języka i obycia - powiedział. - To jednak coś więcej.

- Biedny Andrew McVie - szepnęła Shannon patrząc mu w oczy. - Czy myślisz, że popełniłeś błąd decydując się na podróż do naszego wspianego świata?

- Nie, łaskawa pani. - Urwał i najwyraźniej coś rozważał. - Nie, Shannon - poprawił się, usiłując nie my-

śleć o osiemnastym wieku. - To nie był błąd. Tu jest moje miejsce.

Shannon uśmiechnęła się i nie odpowiedziała. W jej milczeniu Andrew wyczuł smutek.

Jutro i na zawsze

8

W swoim osiemnastowiecznym stroju Andrew wyglądał intrygująco, natomiast w przyzwoitym współczesnym ubraniu sprawiał wręcz piorunujące wrażenie.

Choć trudno byłoby powiedzieć, że jest przystojny zgodnie z klasycznymi kanonami, jego wyraziste rysy i potężna postać zwracały uwagę. Gdy kasjerka w ekskluzywnym sklepie z ubraniami zaczęła go czarować, Shannon poczuła ukłucie zazdrości. Andrew miał teraz na sobie brązowe, miękkie spodnie, jasnobezową jedwabną koszulę i włoskie buty. Najtrudniej było go przekonać do tych butów, ponieważ bał się, że spadną mu z nóg już po kilku krokach.

Gdy Shannon wyciągnęła z torebki kartę kredytową, kasjerka uniosła lekko brwi. Andrew był najwyraźniej bardzo zakłopotany tą sceną.

- Przyzwyczaisz się do nich - powiedziała Shannon, gdy wychodzili ze sklepu. - Zareczam ci, że ich nie zgubisz. W końcu Indianie noszą mokasyny i jakoś ich nie gubią.

- Nie chodzi mi o buty - mruknął Andrew. - Z każdą chwilą jestem coraz bardziej twoim dłużnikiem.

- Wierz mi, mam więcej pieniędzy, niż mogłabym wydać w ciągu całego życia - powiedziała z beztróskim machnięciem ręki. - Nie przejmuj się tym.

Jej były mąż nigdy się nie przejmował tym, że żyje na jej koszt.

- Tu nie chodzi tylko o pieniądze - odrzekł Andrew.
- Zawsze sam sobie radziłem w życiu.

- Ale tu jesteś w nowym, nieznanym świecie - powiedziała łagodnie. Szli do restauracji. - To mój świat. Dopóki nie poznasz rządzących nim reguł, będziesz potrzebował pomocy.

Andrew milczał, dopóki nie usiedli przy stoliku. Na pozór nie zwrócił uwagi na kilka telewizorów, w których na okrągło leciały programy sportowe.

- Ja zapłacę za posiłek - powiedział, gdy już Shannon zamówiła hamburgery, frytki i colę.

- Czym?

Andrew sięgnął do torby, do której ekspedientka włożyła jego stare ubranie.

- Tym - powiedział, podając Shannon kieszonkowy zegarek.

- To złoto, prawda? - spytała, ważąc w dłoni sporą cebulę.

Pokiwał głową. Shannon zauważyła, jak mocno zacisnął zęby. Odwróciła zegarek i z trudem odczytała napis wygrawerowany na kopercie.

- Od Elspeth - powiedziała i spojrzała na niego pytająco.

- To moja żona - rzucił krótko, ale w jego oczach Shannon dostrzegła smutek i ból. - Dała mi go na urodziny.

- Złoto? - powtórzyła ze zdziwieniem.

- W dawnych czasach nie musiałem żebrać, Shannon.

- Och, Boże - westchnęła, oddając mu zegarek. Nikt nie powinien poświęcać przeszłości, żeby zdobyć przyszłość. - Czy przeze mnie czujesz się żebrakiem?

- Nie, do tego zmusiła mnie sytuacja - odparł łagodnie. - Nie zamierzam być dla nikogo ciężarem. Myślałem...

- Nie jesteś dla mnie ciężarem. Jesteś... - Urwała. Skąd jej to przyszło do głowy? Jeszcze chwila, a powiedziała by, że jest jej przeznaczeniem. Co za patos!

- Dziś wieczorem ruszam w drogę.

- Nie! - Lata samotności nadały jej protestowi dramatyczny ton. - Nie możesz.

- Muszę.

Shannon nie potrafiła opanować złości. Wiedziała, że jest niesprawiedliwa, ale nie mogła nic na to poradzić.

- Jeśli uważasz, że masz wobec mnie dług, to go spłać. - Nagle przyszło jej coś do głowy. - To ty naprawiłeś tylne drzwi dziś rano, prawda?

- To było proste. - Pokiwał głową. - Dziwię się, że nie uznałaś za stosowne zrobić tego już dawno. Jak sama powiedziałaś, nie jesteś biedną kobietą.

- Mam na co wydawać pieniądze - odrzekła. - Należy jeszcze naprawić i pomalować okna oraz wymienić podłogę w saunie. Możesz odpracować swój dług...

- Zgoda. Zostanę, dopóki nie skończę.

Kelnerka przyniosła hamburgery. Przyglądała się An-

drew tak otwarcie, że Shannon z trudem powstrzymała się od kopnięcia jej w kostkę.

- Czemu jesteś taka zła? - spytał Andrew, jedząc frytki.

- Coś ci się zdaje.

- Nie, Shannon, widzę to wyraźnie.

- Wydaje mi się, że przypadłeś do gustu kelnerce - powiedziała, odchylając się do tyłu.

- Bardzo się starała - zauważył z uśmiechem, jednocześnie przypatrując się kelnerce. - W moich czasach taka dziewczka mogłaby wiele osiągnąć.

- Tylko nie wyobrażaj sobie za wiele - prychnęła Shannon, zirytowana zazdrością, której nie potrafiła opanować. - Zaczepianie kobiet jest niebezpieczne.

- Mężczyźni i kobiety sami wyznaczają sobie linię frontu i ta linia jest w każdym przypadku inna.

Shannon znów poczuła przypływ zazdrości i tkliwość, której nie mogła pojąć. Wypiła łyk coli i pochyliła się nad stołem.

- Skoro już o tym mowa, to dobrze będzie określić naszą linię frontu, jak to ująłeś. No, wiesz, skoro mamy mieszkać pod jednym dachem, to...

- Nie masz się czego obawiać. Nigdy nie wziętem siłą tego, co winno być darem wynikającym z zaufania i odruchu serca.

- Szkoda, że mój mąż nie myślał tak jak ty - westchnęła, wbijając wzrok w swoje splecione palce.

Andrew poczuł niepokój. Od początku podejrzewał, że Shannon ukrywa jakąś tragedię. Choć była dla niego wyjątkowo dobra, w jej zachowaniu wyczuwał pewną

czujność. Niewątpliwie była silna i dzielna, ale najwyraźniej zdobyła te cnoty w bitwie.

- Czy źle cię traktował?

- Źle traktował? - Roześmiała się gorzko i dotknęła ręką policzka. - Podczas naszej nocy poślubnej złamał mi szczękę. Twierdził, że zbyt długo tańczyłam z jego bratem. - Znów się zaśmiała. - Czy potrafisz to sobie wyobrazić? Ja miałabym zdradzać go z jego własnym bratem!

Andrew poczuł, że coś ściska go w gardle. Podniósł kubek z brązowym, słodkawym napojem i przełknął kilka łyków.

- Nie widzę żadnych śladów po takiej ranie.

- Och, to dzięki cudom nowoczesnej chirurgii - powiedziała lekkim tonem. - Jeszcze jeden z tysięcy sposobów, żeby rodzinne sekrety nie wyszły przypadkiem na jaw.

- Masz jeszcze inne sekrety?

- Więcej niż myślisz.

- Chciałbym je poznać.

- Nikt nie chciał o nich słyszeć - powiedziała patrząc na niego wyzywająco. - Ani moja matka, ani ojciec, ani moi bracia i siostry.

- Ja chcę - powiedział. - Słucham.

- Właściwie nie mam zbyt wiele do powiedzenia - stwierdziła beznamiętnym tonem. - Chciałam wyjść za mąż. On chciał posiadać żonę, tak jak posiada się przedmiot. - Niecierpliwym gestem odgarnęła włosy z czoła. Andrew dostrzegł błysk brylantów i rubinów, ozdabiających jej szczupłą dłoń. - Chciałam odejść jeszcze tej

samej nocy, ale przysięgał, że to się więcej nie powtórzy... Tłumaczył się, że za dużo wypił. - Znow machnęła niecierpliwie ręką. - Kochałam go i chciałam mu wierzyć.

- A twoja rodzina? - spytał Andrew, czując niespokojne bicie serca. - Czemu oni ci nie pomogli?

- Ponieważ Bryant pochodził z dobrej rodziny. Był bardzo wpływowy. - Przerwała i wyjrzała przez okno. - Ponieważ uważali, że to małżeństwo było niezwykle korzystne dla całej rodziny, a moje problemy to niewielka cena, jaką trzeba zapłacić za przewidywane korzyści. Mieliliśmy dużo pieniędzy, a Bryant miał liczne znajomości.

- Co za nikczemnicy! - Andrew uderzył pięścią w stół.

- Aha - uśmiechnęła się Shannon. - To dobre określenie.

- Czy nigdy nie próbowałaś uciec?

- Próbowałam. Raz dotarłam nawet na lotnisko. Byłam już o krok od wolności, gdy Bryant mnie dopadł i zaciągnął z powrotem do domu.

Andrew nie mógł się zdobyć na pytanie, jak zapłaciła za tę próbę, ale Shannon postanowiła niczego nie ukrywać. Wiedział, że do śmierci będzie pamiętał jej słowa.

- Zbił mnie już w taksówce - powiedziała, patrząc gdzieś w przestrzeń. - Walił mnie pięściami. Tym razem uważał, żeby nie trafić w twarz. Bił mnie po ramionach, piersiach, brzuchu... Kierowca gapił się w lusterko, ale nic nie zrobił. Tylko się przyglądał.

Andrew spojrział na jej ramię.

- Tak - powiedziała spokojnym tonem. - To Bryant mnie zranił nożem.

Andrew czuł, że oczy przesłania mu mgła wściekłości. Gdyby tylko mógł, natychmiast wykończyłby mężczyznę, który zadał jej tyle bólu.

- Ale przecież rozwiodłaś się z nim - powiedział, gdy trochę ochłonał. - Jak udało ci się uwolnić?

- Po mojej kolejnej ucieczce Bryant wynajął płatnego zbira i w sprawę wmieszała się policja. - Shannon mówiła coraz pewniejszym głosem, tak jakby sam fakt, że może o tym komuś opowiedzieć, sprawiał jej ulgę. - No, okazało się, że ten zbir był w istocie agentem policji. Zawarliśmy umowę. Pomogli mi udać śmierć, a potem zastawili na niego pułapkę. Udało się. Dopiero później przekonałam się, że nie tyle chcieli mi pomóc, ile aresztować Bryanta, który był wmieszany w przemyt narkotyków. Chcieli go przymknąć, żeby rozbić całą siatkę. Dostał tylko pięć lat. W tym roku wyszedł warunkowo na wolność.

- Jest już wolny? - Nie wszystko zrozumiał z jej opowieści, ale postanowił się nie dopytywać. - Ja zamknąłbym go w zimnym grobie.

- Teraz to już bez znaczenia - powiedziała Shannon. - Jestem bezpieczna.

- Jak możesz mieć pewność, że on nic ci nie zrobi? Może znowu kogoś wynająć.

- Stałam się inną kobietą - oznajmiła po chwili wahania.

- Nie rozumiem.

- Zrobiłam to samo co ty, Andrew. Zerwałam z dawnym życiem i rozpoczęłam nowe.

- Rzuciłaś dom?

- Rzuciłam wszystko. Dom, rodzinę, przyjaciół. Zmieniłam nawet nazwisko.

- Nie jesteś Shannon Whitney?

- Jestem - powiedziała z przekonaniem. - Jestem bardziej Shannon Whitney niż kiedykolwiek byłam kobietą zwaną Katharine Morgan. Katharine już nie istnieje i nie jestem pewna, czy kiedykolwiek istniała.

Andrew pomyślał, że chciałby odnaleźć mężczyznę, który wyrządził jej tyle krzywd, i obdrzeć go ze skóry. Obraz Shannon padającej pod ciosami jakiegoś mężczyzny sprawiał mu fizyczny ból i wręcz przyprawiał o szaleństwo.

- A jednak po tym wszystkim wpuściłaś mnie do swojego domu. Nie mogę zrozumieć, jak mogłaś zaufać komuś obcemu.

- Ja też tego nie rozumiem - odrzekła patrząc mu w oczy. - Czuję jednak, że coś nas łączy.

- Tak - przyznał powoli. - Nie mogę się zdobyć na to, żeby stąd odejść.

Splecione dłonie Shannon leżały na blacie, zaledwie kilka centymetrów od rąk Andrew.

- Nie musisz nigdzie odchodzić - powiedziała cicho. - Chyba że uznasz to za konieczne.

Andrew nakrył ręką jej dłonie. Przez chwilę czuł, że odzyskuje nadzieję i chęć życia. Znów poczuł się młodo i miał wrażenie, że ma przed sobą całe życie.

W restauracji nikt sienie zdziwił, gdy Shannon zapłaciła za lunch. Kiedy sięgnęła do torebki po złoty prostokąt, Andrew znów poczuł się wyjątkowo nieswojo. Dziewczyna, która ich obsługiwała, wzięła prostokąt, rachunek i gdzieś poszła.

- Wydaje mi się, że ten prostokąt to forma pieniądza - zauważył. - A jednak za każdym razem dostajesz go z powrotem w takim samym stanie.

- To rzeczywiście rodzaj pieniądza - uśmiechnęła się Shannon. - Funkcjonuje jednak inaczej, niż myślisz.

Wyjaśniła mu działanie systemu kart kredytowych.

- I to wszystko dzieje się za pośrednictwem poczty? - zdziwił się Andrew.

- Niewiarygodne, prawda?

- W moich czasach poczta była bardzo niepewna. Bywało, że list z Filadelfii do Nowego Jorku szedł siedem dni.

- Tak bywa i dzisiaj. - W oczach Shannon pojawiły się wesołe błyski. - Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Jej dobry humor nie powinien mieć dla niego znaczenia. Shannon nie była ani jego żoną, ani kochanką, a ich znajomość trwała zbyt krótko, aby mógł ją uznać za przyjaciółkę. A jednak widok jej rozpromienionej twarzy sprawił, że w jego duszy zapalił się płomyk, którego nie potrafił i nie chciał ugasić. Zaczął się natomiast zastanawiać, co mógłby zrobić, aby uśmiech z jej twarzy nigdy nie zniknął.

To nie twoja sprawa, pomyślał, gdy wychodzili z restauracji. Shannon należała do świata ludzi zamożnych

i ustosunkowanych. Sam chciałby należeć kiedyś do tego świata, ale dopóki nie stanie się jej równy, nie powinien nawet o niej marzyć.

Gdy szli do samochodu, zaczął gwałtownie kasłać.

- To jest okropne - powiedział, przecierając załamane oczy. - Jeszcze nigdy nie oddychałem takim nieprzyjemnym powietrzem.

- Zanieczyszczenie środowiska - powiedziała Shannon, pobrząkując kluczykami od samochodu. - Tu tego tak nie odczuwam, ale kiedy jestem na Manhattanie, też bez przerwy kaszlę.

- Co jest przyczyną zanieczyszczeń?

- Tak zwana rewolucja przemysłowa.

- Nigdy nie słyszałem o takim powstaniu.

Shannon zaśmiała się, ale nie zabrzmiało to kpiąco.

- To nie było powstanie, Andrew. To zresztą był raczej skutek, a nie przyczyna. Kiedy wrócimy do domu, posadzę cię przy komputerze. Będziesz miał okazję dowiedzieć się czegoś.

- Emilie wspomniała raz o kom... komputerze. To podobno przedmiot, który myśli jak człowiek, lecz jest pozbawiony uczuć i inteligencji.

- Imponujesz mi. O czym jeszcze opowiadała ci Emilie?

- O metalowych ptakach, które przenoszą ludzi, o gadających pudełkach i o ruchomych obrazach z dźwiękiem i muzyką.

- Dużo rozmawialiście ze sobą, prawda? - mruknęła Shannon. Andrew miał wrażenie, że w jej oczach dostrzegł błysk zazdrości, ale to był absurdalny pomysł.

Shannon otworzyła drzwiczki samochodu. Andrew już wsiadał, gdy Shannon schwyciła go za ramię.

- Patrz! - Wskazała ręką w kierunku nieba. - Zaraz zobaczysz metalowego ptaka, o jakim opowiadała ci Emilie.

Andrew zadarł do góry głowę i zmrużył oczy. Nie widział nic oprócz niebieskiego nieba i niewielkiej białej chmurki.

- Słyszysz hałas? - spytała Shannon. - To samolot. Pewnie lada chwila zejdzie poniżej chmur.

Andrew wpatrywał się w niebo z bijącym sercem. Już miał zrezygnować, gdy dostrzegł srebrzysty, smukły kształt, majestatycznie poruszający się po niebie. Miał wrażenie, że to twór wyobraźni, który bez wysiłku utrzymuje się w powietrzu.

- Pewnie leci na Newark - powiedziała Shannon. - To Boeing 747.

- Co takiego?

- Ogromny samolot, który stał się popularny na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Zabiera trzystu ludzi.

- To niemożliwe.

- Powinam cię zabrać na lotnisko - powiedziała. - Codziennie startują i lądują tam setki samolotów.

- Chyba tylko bogaci mogą sobie pozwolić na takie przygody.

- Wcale nie - zaprzeczyła Shannon. - Mogę się założyć, że ogromna większość mieszkańców tego kraju przynajmniej raz leciała samolotem.

Andrew nie mógł tego pojąć. Gdy samolot zniknął

za horyzontem, wsiadł do samochodu i zatrzasnął drzwiczki. Dręczyła go myśl, jak mało wie o tym świecie.

W środku było piekielnie gorąco. Andrew skrzywił się, gdy metalowe zatrzaski pasów oparzyły go w palce. Nie rozumiał, w jaki sposób te pasy mogłyby uratować mu życie w razie katastrofy, ale postanowił dostosować się do przyjętych reguł.

- Piękna pogoda - stwierdziła Shannon, wkładając kluczyk gdzieś pod kierownicę. Samochód nagle ożył.
- Jeśli chcesz, możemy gdzieś pojechać. Czy jest jakieś miejsce, które szczególnie chciałbyś zobaczyć? - Shannon włożyła ciemne okulary. Andrew miał ochotę ściągnąć je z jej nosa, ale się powstrzymał. - Może lotnisko, może Filadelfię?

- Wydaje mi się, że powiedziałaś, że jesteśmy blisko Princeton - odpowiedział po chwili namysłu.

- Tak, jakieś piętnaście kilometrów.

- Chciałbym tam pojechać. - Tyle wydarzeń z jego życia było związanych z tym niewielkim obszarem New Jersey. Oczami wyobraźni widział farmę Josiaha Blakelee, miejsce w pobliżu Milltown, gdzie on, Emilie i Zane spędzili noc.

- Oczywiście - zgodziła się Shannon. - Pokażę ci Nassau Hall, Morven i Bainbridge House...

- Chciałbym zobaczyć Princeton - przerwał jej Andrew - ale nie dzisiaj.

- Dlaczego nie? - zdziwiła się. Podniosła okulary tak, że miała je teraz wysoko nad czołem.

- Muszę naprawić okna i mam jeszcze inne rzeczy do

zrobienia - powiedział. - Jeśli mam spłacić dług, to powinienem się do tego zabrać.

Andrew musiał przypomnieć sobie, że przybył do tego świata, aby odnaleźć cel w życiu, nie zaś po to, aby zaraz się zakochać.

Jutro i na zawsze

9

- Wszystkie potrzebne ci informacje na temat Diabła z New Jersey znajdziesz w dziale folkloru, we wschodnim skrzydle. - Dakota uśmiechnęła się do dziewczynki w biało-zielonych skarpetkach i koszulce ozdobionej rysunkami dinozaurów. Podała jej ulotkę. - Proszę, ten plan pomoże ci znaleźć drogę.

Dziewczynka odeszła. Tuż za nią szła matka, która najwyraźniej była już u kresu wytrzymałości. Widocznie spędziła całe lato z dziećmi. To zjawisko powtarzało się co roku z regularnością zegarka. Od czerwca do połowy sierpnia biblioteka świeciła pustkami, po czym nagle pojawiali się rodzice z dziećmi, którym wyczerpały się już wszystkie pomysły letnich zabaw.

Zdaniem Dakoty nie trzeba było być medium, by rozpoznać beznadziejne przypadki. Historię można lubić lub nie, ale nie można do niej nikogo zmusić. Dla wielu ludzi przeszłość jest równie nudna jak gazety sprzed paru dni. Nic nie można poradzić na brak poczucia upływu czasu. Tylko ktoś, kto słyszy muzykę dziejów, może naprawdę interesować się historią.

Dakota niewątpliwie miała poczucie czasu. Dla niej

nie istniała wyraźna różnica między przeszłością, teraźniejszością i przyszłością. Dotyczyło to szczególnie czasów po wojnie o niepodległość. Każdy dzień życia Dakoty był dziwną mieszaniną faktów z przeszłości i teraźniejszości.

Właśnie dlatego spędziła całe popołudnie zatopiona w lekturze dokumentów z 1776 roku.

Nie 1775 i nie 1777. Interesował ją tylko rok 1776.

Nie interesowały jej również takie wydarzenia, jak ogłoszenie Deklaracji Niepodległości, które pasjonują większość historyków. Zamiast tego poszukiwała wszelkich dostępnych informacji dotyczących człowieka znanego jako Andrew McVie.

- Chyba zwariowałaś - mruknęła do siebie, sięgając po gruby tom dokumentów. - Spotkałaś całkowicie normalnego człowieka, wyróżniającego się wyłącznie sposobem mówienia, i nagle dochodzisz do wniosku, że to przybysz z innej epoki.

Dakota wierzyła w energię kryształów, magię runów i astrologię. Potrafiła dostrzec aurę emanującą z ludzi i odgadnąć cudze myśli. Od czasu do czasu miewała dojmujące poczucie, że choć narodziła się w drugiej połowie dwudziestego wieku, to w istocie nie należy do tego stulecia.

Co innego jednak prawdziwa podróż w czasie. To nawet ona uważała za fantastyczne. Takie igraszki z prawami fizyki nagle obudziły logiczną część jej mózgu i Dakota wróciła na ziemię.

Była nieodrodnym dzieckiem swych rodziców. Jej ojciec, profesor fizyki, dostrzegał wewnętrzną logikę

we wszystkim, poczynając od matematyki, a na ewolucji biologicznej kończąc. Natomiast matka wierzyła, że rzeczywistość jest chaotyczna. Jej zdaniem, prędzej czy później musi się zdarzyć coś niewiarygodnego i należy zachować czujność, aby móc się tym nacieszyć.

Czwórka dzieci odziedziczyła po rodzicach dziwne połączenia ich umysłowych skłonności. Gdy tylko kolejne dziecko zrozumiało, co to rachunek bankowy i kariera, Frederick Wylie powtarzał mu, że musi planować swoją przyszłość. Natomiast Ginny Wylie opowiadała dzieciom o Atlantydzie i podróżach na Marsa.

- Życie jest krótkie - powtarzała często. - Gdy puka przygoda, należy szeroko otworzyć drzwi.

Czemu zatem Dakota szukała nazwiska McVie w każdej poźółkłej, grubej księdze, jaką mogła znaleźć w bibliotece?

- Ponieważ zwariowałam, to oczywiste! - powiedziała głośno.

- Pani Wylie! - Doktor Forsythe, dyrektor muzeum, zmierzył ją surowym spojrzeniem. - Szs...

Szs? Czyżby doktor Forsythe zapomniał, że ona ma już dwadzieścia cztery lata?

Od ukończenia szkoły jeszcze nikt jej tak nie uciszał. Nic dziwnego, że aura Forsytha była taka szara i przygnębiająca. To człowiek z duszą biurokraty. Aura to zabawne zjawisko. Większość ludzi nie wierzy, że istnieje, ale to prawda. Każdy człowiek ma inną, niepowtarzalną barwę, niczym odciski pal-

ców. Dakocie wystarczyło, aby dostrzegła aurę, i już mogła...

- No, właśnie! - Dakota nagle zrozumiała, co ją tak wzburzyło. Od chwili, gdy zobaczyła Andrew przed domem Shannon, nie mogła się uspokoić.

Zamknęła oczy i spróbowała zrekonstruować w myślach dzisiejsze spotkanie. Wyobraziła sobie twarz Andrew i uważnie badała jego rysy. Miała rację. Wokół jego głowy nie widać było nawet śladu aury. Dakota zadowolonyby się choćby śladem złocistej poświaty, jakimś bladym, niebieskim cieniem, czerwonym odbłaskiem. Nic z tego.

To jeszcze nie koniec. Tego mężczyznę otaczało pole sił o niewiarygodnym natężeniu. Gdy uścisnęli sobie dłonie, Dakota miała wrażenie, że dotyka linii wysokiego napięcia. Jej ciałem wstrząsnął potężny impuls.

Ktoś mógłby pomyśleć, że chodzi tu o napięcie seksualne, ale w istocie zjawisko to było dalekie od wszelkiego erotyzmu. To było coś innego, znacznie bardziej subtelnego...

- Pani Wylie!

Dakota podskoczyła. Doktor Forsythe był blisko i wołał ją z odległości kilkunastu centymetrów.

- Boże! -jęknęła, chwytając się za serce. - Czy musi się pan tak podkradać?

- Zadałem pani to samo pytanie już trzy razy. Czy znalazła pani wreszcie spis żołnierzy podlegających generałowi Mercerowi podczas bitwy pod Princeton?

- Nie... to znaczy tak. - Dakota potrząsnęła głową,

aby zrzucić z włosów pajęczyny. - Chciałam powiedzieć, że zaraz go panu przyniosę.

Doktor Forsythe zmarszczył gęste brwi i zmierzył ją gniewnym spojrzeniem.

- Nie płacimy pani za bujanie w obłokach.

Dakota miała ochotę go zwymyślać. Nie płacicie mi tyle, żebym mogła z tego wyżyć. Gdyby nie dorabiała jako medium na festynach i przyjęciach, musiałaby zamieszkać w saunie u Shannon, razem z tym baloniarzem.

Poszperała w papierach zalegających biurko i odnalazła dane, jakich poszukiwał Forsythe. Dzięki temu, że była medium, jakoś radziła sobie z dezorganizacją, chaosem i umiłowaniem rzeczy nieoczekiwanych. Wsadziła papiery pod pachę i poszła do gabinetu dyrektora.

- Proszę - powiedziała, rzucając folder na jego pedantycznie uporządkowane biurko. - Idę już do domu - oświadczyła.

Forsythe zerknął na osiemnastowieczny zegar stojący na kominku.

- Jest dopiero czwarta czterdzieści trzy.

- Boli mnie głowa - odrzekła, nie mijając się z prawdą. - Chcę iść do domu odpocząć.

Miała nadzieję, że uda się jej choć przez dziesięć minut porozmawiać z Andrew w cztery oczy, bez nadzoru Shannon. To jej powinno wystarczyć.

- Sądziłam, że radio bardziej cię zaskoczy - powiedziała Shannon z pewnym rozczarowaniem. Właśnie zakończył się koncert Beach Boys.

- Emilie opowiedziała mi o takich urządzeniach.
- Pewnie też w wolnych chwilach nauczyła cię słów „Doo Wah Diddy”? - spytała kwaśno.
- Tak. To była część planu uratowania generała Waszyngtona.

Shannon zerknęła na niego. Andrew mówił całkowicie poważnie.

- Żartujesz sobie ze mnie?
- Powiadam prawdę. - Na dowód zaczął śpiewać rockowy przebój z lat sześćdziesiątych. Shannon gwałtownie zahamowała. Dokoła rozległo się wycie klaksonów.

- Chryste Panie! - wykrzyknął Andrew. - Czy chcesz nas zabić?

Zawstydzona, Shannon włączyła kierunkowskaz i zjechała na prawy pas.

- Następnym razem ostrzeż mnie, nim zrobisz coś takiego - poprosiła. Miała wątpliwości, czy jej puls kiedykolwiek wróci do normy. - Czy masz jeszcze w zanadrzu wiele takich niespodzianek?

Andrew zaczął śpiewać „Jingle Bells”. Po chwili oboje głośno się śmiali.

- Jesteś wszechstronnie utalentowany, panie McVie.
- Aha - potwierdził z ironicznym uśmiechem. - Lecz moje talenty nie przysłużyły się sprawie. Nim dotarłem na Long Island, Jego Ekscelencja już wyjechał.
- Jego Ekscelencja? - spytała. Dojeżdżali już do zjazdu z autostrady.
- Generał Waszyngton.
- Nazywasz go Jego Ekscelencją? Boże, myślałam,

że celem wojny była likwidacja królewskich tytułów i wszystkiego, co się z nimi łączy.

- Nie potrafię ci tego wyjaśnić.

- Nie mogę uwierzyć, że prowadzę taką rozmowę. Co zrobiłeś, kiedy dowiedziałeś się, że Waszyngton już wyjechał? - dociekała Shannon. Zatrzymali się właśnie na czerwonych światłach.

- Poszedłem do karczmy i wypilem trzy kufle piwa.

- Naprawdę? - zaśmiała się Shannon.

- Tak. - Andrew pokiwał głową.

Nihil novi sub sole...

- A co się stało z Waszyngtonem? Czy naprawdę ktoś usiłował go zabić?

- Kiepsko znasz historię- zauważył Andrew.

- Przyznaję się do winy. To nie był mój ulubiony przedmiot. - Shannon nigdy nie przypuszczała, że historia może stać się dla niej tak ważna.

- Mieszkańcy Crosse Harbor uznali mnie za bohatera i zbawcę Jego Ekscelencji, ale w rzeczywistości to Zane go uratował.

- No i co z tego? - Shannon pstryknęła palcami. - Kogo obchodzi, co jest napisane w jakichś nudnych książkach? Nikt nie zwraca uwagi na takie rzeczy.

- Nie myślisz o swoim miejscu w historii?

Shannon parsknęła śmiechem. Właśnie dojeżdżali do jej domu.

- Moje miejsce w historii? Nie będę nawet maleńkim przypisem, Andrew. Dzisiejszy świat jest znacznie większy od tego, który pozostawiłeś za sobą. Większość z nas żyje i umiera i świat nie zwraca na to najmniejszej uwagi.

Nie była to może zbyt sympatyczna uwaga, ale Shannon uznała, że lepiej będzie, jeśli Andrew zrozumie, gdzie się znalazł.

Z jakiegoś powodu wydawał się zdziwiony, że jego balon i gondola wciąż spoczywają na trawniku z tyłu domu.

- Czyżbyś sądził, że sam wypełni się powietrzem i odleci? - spytała Shannon, patrząc na niego z zaciekawieniem. - Przecież to ty go tu zostawiłeś.

- W przypadku Emilie i Zane'a było inaczej - powiedział i zaczął składać balon. - Po tym, jak wpadli do morza, balon zaraz zniknął.

- Najwyraźniej nie na zawsze - zauważyła. - Inaczej nie byłoby cię tutaj.

- Jednak coś się z nim stało - stwierdził, wpatrując się w czerwoną powłokę. - Wydaje się bledszy. Tak jakby wypłowiał.

- To chyba nic dziwnego. Nagle postarzał się o dwieście lat.

- To musi być coś innego. - Andrew był wyraźnie zaniepokojony. - Nie było nas zaledwie kilka godzin, a zmiany są wyraźnie widoczne.

- Nie widzę żadnej zmiany. - Shannon przez chwilę wpatrywała się intensywnie w balon, po czym wzruszyła ramionami.

- Ja widzę - upierał się Andrew. - Zmiany są oczywiste, natomiast nie mogę pojąć ich znaczenia.

- Ta cała historia jest zupełnie bezsensowna. Dlaczego akurat w tym przypadku miałyby być inaczej?

Shannon pomyślała, że bez balonu Andrew będzie tu musiał zostać na zawsze. Tak się z tego ucieszyła, że poczuła wyrzuty sumienia.

- Bo jest - rozległ się trzeci głos.

Oboje szybko się odwrócili. Pod wierzbą płaczącą stała Dakota.

- Czy ty nie wiesz, że należy pukać? - zirytowała się Shannon.

Dakota zapukała parę razy w pień drzewa.

- Czy wreszcie powiecie mi prawdę, czy mam was dalej błagać?

- Znów zaczynasz? - Shannon miała wprost ochotę ją udusić.

Andrew w dalszym ciągu spokojnie i pedantycznie składał balon, tak jakby nie groził im szybki koniec dotychczasowego trybu życia.

Dakota zbliżyła się do niego, otwarcie wpatrując się w jego twarz. Shannon miała wrażenie, że widzi jej psychiczne macki.

- Dakota! - powiedziała tonem ostrzeżenia.

- Nie masz aury - zwróciła się Dakota do Andrew.
- Nie zorientowałam się od razu, ale właśnie to męczyło mnie od naszego pierwszego spotkania. Rzadko spotyka się człowieka pozbawionego aury.

- Nie wiem, co to takiego aura, proszę pani.

- Musisz go zrozumieć - wtrąciła Shannon. Fakt, że musi ukrywać prawdę przed najbliższą przyjaciółką, wpływał fatalnie na jej nastrój. - On nie zna naszego świata.

- Och, tyle zdążyłam już zauważyć - zaśmiała się

Dakota i rzuciła przyjaciółce ostre spojrzenie. - Jeśli mi powiesz, że jest z Francji, to umrę ze śmiechu.

- Jest Szkotem - zapewniła ją Shannon. Sama się dziwiła, jak łatwo przychodzi jej kłamstwo.

- Nie wierzę ci. - Dakota znów zwróciła się do Andrew. - No, dobrze, wierzę, że nie słyszałeś nic o aurze. Mogę się z tym pogodzić. Połowa ludzi, z którymi pracuję, nie wierzy w istnienie aury. Jednak twój sposób mówienia, ten wypłowiwały balon...

- Czyli zauważyła pani różnicę? - przerwał jej Andrew. Wydawał się niezwykle przejęty. - Dostrzegła pani, że kolor zblakł?

- Oczywiście, że tak - niecierpliwie potwierdziła Dakota. - Jak można tego nie zauważyć?

Andrew wyglądał tak, jakby chciał ją wziąć w ramiona i pocałować.

- No, widzisz - zwrócił się do Shannon. - Nic mi się nie przywidziało.

- Wcale tak nie twierdziłam. - Shannon zmierzyła Dakotę niechętnym spojrzeniem. - Dziś od rana świeci słońce. Nic dziwnego, że tkanina zblakła. Takie rzeczy zdarzają się bardzo często.

Dakota nie podjęła dyskusji.

- Uściśnij moją rękę - powiedziała do Andrew.

- Nie rób tego - wtrąciła Shannon ostro. - Nie zwracaj na nią uwagi.

Dakota wyciągnęła rękę. Jej liczne srebrne i złote pierścionki zamigotały w słońcu.

- Proszę, Andrew. Muszę się dowiedzieć.

Shannon stanęła między nimi.

- W garażu jest mnóstwo miejsca, Andrew. Możesz tam schować powłokę i gondolę.

Andrew z wyraźną ulgą uniknął bliższego kontaktu z Dakotą. Wziął balon i szybko zniknął.

- Do diabła, co się z tobą dzieje? - warknęła Shannon do Dakoty, gdy tylko Andrew oddalił się nieco. - Straciłaś resztki rozumu, czy co?

- Coś ukrywasz - upierała się Dakota. Złość Shannon nie robiła na niej wrażenia. - Zapominasz, że jestem twoją najbliższą przyjaciółką, a poza tym medium. Nie potrafię ci pomóc z twoimi fundacjami i balami na cele dobroczynne, a teraz, kiedy zdarzyło się coś, w czym naprawdę mogę ci pomóc, trzymasz mnie na dystans. Wiem, że on pochodzi z innych czasów. Wiem... - Dakota zaczęła nierówno oddychać i zachwiała się na nogach.

Znowu, pomyślała Shannon. Jak to możliwe? Przecież nawet go nie dotknęła! Chwyciła Dakotę za ramiona i spróbowała podtrzymać.

- Chcę coli - wyjąkała Dakota.

- Cola to lekarstwo na omdlenia? - zaśmiała się Shannon.

- Wcale nie zemdlałam - zaprotestowała Dakota. - Straciłam przytomność, to coś innego.

- Nikt nie traci przytomności ot, tak sobie - odrzekła Shannon. Wzięła Dakotę pod ramię i poprowadziła do domu. - Chyba nie oczekujesz, że podam ci sole trzeźwiące. To wyszło z mody w tym samym czasie co krynoliny, zaraz po wojnie secesyjnej.

- Bingo - mruknęła Dakota ze złośliwym uśmie-

chem. - Miałam jednak na myśli wcześniejszą wojnę.
Wyjaśnij mi więc, dlaczego teraz tracę przytomność?

- Bo jesteś wariatką.

- Nie cierpię, kiedy ktoś tak mówi.

- No, dobrze - wycofała się Shannon. - Jesteś ekscentryczką.

- Jestem wizjonerką - poprawiła ją Dakota. - W rodzinie mojej matki od wielu pokoleń pojawiają się wizjonerzy. Zawsze byli źle rozumiani. Musisz mi uwierzyć, kiedy ci mówię, że odbieram wibracje pochodzące z innej epoki.

Weszły do domu kuchennymi drzwiami.

- Doskonale je naprawił - zauważyła Dakota.

Przez całe lato nikt nie zajął się zepsutymi drzwiami. Jednak to nie była jedyna zmiana, jaką spowodowało pojawienie się Andrew.

- Urodziłaś się pod szczęśliwą gwiazdą - dodała Dakota. - Ze mną to jest tak, że nawet gdyby hydraulik spadł z nieba na moje podwórko, z pewnością powiedziałby, że ma wolny dzień.

- Wciąż masz kłopoty ze zlewem? - spytała Shannon wyjmując z lodówki dwie puszki z wodą sodową.

- Ze zlewem, umywalką, prysznicem, kaloryferami - recytowała Dakota, zwracając oczy do nieba. Potem otworzyła puszkę. - Tak to już jest, kiedy się mieszka w starym domu.

- Moja oferta jest wciąż aktualna - powiedziała Shannon i usiadła przy stole. Spojrzała przyjaciółce prosto w oczy.

- Nie zgodzę się, żebyś płaciła za naprawy w moim domu.

- Czemu nie? Mam tyle pieniędzy, że nie wiem, co z nimi robić. Dlaczego nie miałabym ich wydawać na potrzeby przyjaciół?

- Na razie wydajesz je na niego, prawda? - spytała Dakota.

- Masz na myśli ubranie? - Shannon uniosła brwi.

- Nie udawaj zdziwienia. Chyba nie myślałaś, że nie zwrócę na to uwagi. Facet nagle wygląda jak z żurnala.

- Wydawało mi się, że ta koszula jest wyjątkowo elegancka. - Shannon uśmiechnęła się niewinnie.

- To ty za to zapłaciłaś.

- Dlaczego tak uważasz? - Nie igraj z niebezpieczeństwem, Shannon. Dobrze wiesz, że jej nie oszukasz.

- A jak on mógłby zapłacić? - odparowała Dakota.

- Przecież nie ma pieniędzy.

- A właśnie, że ma.

- Tak, ale nie z tego wieku.

- Strasznie jesteś uparta.

- To nie będzie długo trwało. - Dakota nagle spoważniała i spojrzała przyjaciółce prosto w oczy.

- O czym mówisz? - Shannon poczuła się tak, jakby ktoś ją zaatakował.

Dakota wskazała gestem na dom i ogród. Jej oczy schowane za lekko przyciemnionymi szklami nabrały rozmarzonego wyrazu.

- O nim. O tobie. O tym wszystkim. Nie sędzę, żeby on tu pozostał na długo.

- Mówisz jakieś bzdury.

- Prędej czy później będzie musiał podjąć decyzję. Wtedy będziesz musiała go zwolnić. - Dakota pochyliła się nad stołem i położyła dłoń na ramieniu Shannon.

- Zwolnić go? Przecież on nie jest moim służącym. Może odejść w każdej chwili.

- Ale ty chcesz, żeby został, prawda?

- Moje życzenia nie mają tu żadnego znaczenia. - Shannon czuła coraz silniejszy ból w sercu.

- Co za bajki. Już jesteś w nim zakochana.

Shannon zerwała się z krzesła i wyrzuciła puszkę.

- Niech to diabli! Wszystko przez ciebie!

Dakota sięgnęła po ścierkę i wytarła stół.

- Nie masz się czego wstydić - zauważyła. - Miłość to nic złego.

- Ten człowiek jest zupełnie obcy. Pojawił się na mojej posesji niespełna dwadzieścia cztery godziny temu. Musiałabym oszaleć, żeby zakochać się w kimś, kogo zupełnie nie znam.

- Być może - stwierdziła Dakota z irytującym spokojem. - Pozostaje jednak faktem, że jesteś w nim zakochana, a on nie zostanie tu długo. Obie to wiemy. Prędej czy później dowie się o tym i on.

Shannon poczuła, że traci panowanie nad sobą. Wcisnęła ręce do kieszeni spodni i spojrzała przyjaciółce w oczy.

- Nie wtrącaj się w to, Dakota. Bardzo cię lubię, ale tym razem proszę cię, trzymaj się od tego z daleka.

- Dla ciebie jestem gotowa na wszystko - odpowiedziała Dakota ze smutnym uśmiechem. - Obawiam się

jednak, że tego jednego nie jestem w stanie zrobić. Niezależnie od tego, czy nam się to podoba czy nie, wszyscy troje jesteśmy w to zamieszani.

Jutro i na zawsze

10

W garażu było dość miejsca na trzy takie samochody, jakim jeździła Shannon. Andrew szybko znalazł miejsce na balon i wiklinową gondolę. Gdy wciągał balon do garażu, czuł dziwny niepokój. Dlaczego balon nie zniknął z jego życia, tak jak wtedy, gdy Emilie i Zane przenieśli się w osiemnasty wiek? Ta przyjaciółka Shannon najwyraźniej uważała, że te wydarzenia mają pewne znaczenie. Andrew również sądził, że w tym musi tkwić jakiś ukryty sens. Nakrył balon znalezionej na półce białą płachtą i wyszedł z garażu.

Prawdę mówiąc, był to dla niego bardzo trudny dzień. Odnalazł wprawdzie błyszczący świat ze swych wyobrażeń, ale równocześnie dostrzegł w nim jądro ciemności, rzucające cień na całą rzeczywistość. Widział wokół siebie szalone bogactwa, które wszyscy najwyraźniej uważali za oczywiste i normalne, a jednak pośród tych wspaniałości odkrył przemoc, równie nagłą co bezsensowną.

I nikogo to nie dziwiło. Ani tej wymalowanej damy, ani nawet Shannon, która przekonała się na własnej skórze, że święte więzy małżeńskie wcale nie są święte.

W świecie, z którego pochodził, nie było takich bo-

gactw i luksusów, ale tam człowiek przynajmniej wiedział, kim są jego wrogowie i gdzie można się na nich natknąć.

Tutaj wszędzie dostrzegał dziwną rezygnację i brak woli walki ze złem. Wszyscy uważali, że cuda, wśród których żyją, należą się im; tak jakby latanie w przestworzach lub posiadanie królewskich klejnotów nie było prawdziwym cudem. Andrew miał wrażenie, że ludzie ci zatracili poczucie tego, co dobre i złe, i pozostały im tylko gorzkie przyjemności.

Shannon powiedziała mu zupełnie niedwuznacznie, że przeciętny człowiek nie ma żadnych szans, aby pozostawić po sobie ślad w historii. Jak to możliwe, żeby w ciągu dwóch wieków nastąpiła taka zmiana?

Podczas wyprawy na zakupy Andrew przekonał się, że musi szybko dostosować się do nowej epoki i zacząć polegać na sobie. Zawsze był panem swego losu i nie zwykł czekać na rady i polecenia.

Teraz zrozumiał, co przeżywał Zane, gdy nagle znalazł się w świecie, który nie uznawał jego wartości. Bezwartościowe stały się nagle nie tylko jego pieniądze, ale również osiągnięcia. To była gorzka pigułka.

W trakcie studiów na Harvardzie Andrew przekonał się, jaką potęgę daje wiedza. Nie brakowało mu inteligencji. Sam zdecydował się na podróż w czasie. Teraz wiedział, że musi szybko nauczyć się, jak funkcjonuje ten świat, bo inaczej będzie zawsze ciężarem dla innych.

Początkowo nie rozumiał, dlaczego Shannon koniecznie chce, aby jego historia pozostała tajemnicą. Teraz już rozumiał. Wyczuwał w tym świecie głód, jakiego

nigdy jeszcze nie doświadczył. Nie potrafił określić jego natury, ale miał wrażenie, że cała atmosfera jest naładowana dziwnym napięciem. Czegóż jeszcze chcą ci ludzie, skoro na co dzień mają takie cuda?

Po południu przez kilka godzin naprawiał okna w pomieszczeniu, które Shannon nazywała garażem. Walił młotkiem niczym toporem wojennym. Ilekroć wbijał gwóźdź, miał przed oczami wścibską kasjerkę ze sklepu z ubraniami. Pamiętał jej reakcję, gdy dostrzegła jego zależność od Shannon. Najwyraźniej bardzo ją to ubawiło.

Widocznie również w 1993 roku mężczyzna powinien zapewnić kobiecie jedzenie i ubranie. Ilekroć Shannon sięgała po swój złoty prostokąt, Andrew czuł się jak głupiec i niedołęga.

Shannon nazwała ten przedmiot złotą kartą. Bardzo właściwa nazwa dla rzeczy, będącej równoważnikiem złota. Gdyby jeszcze inne przedmioty miały równie właściwe nazwy! Zamiast prywet, Shannon używała słowa łazienka. Nikt nie nosił butów ze sprzączkami, a mężczyźni i kobiety mieli włosy dowolnej długości. Nie zauważył ani jednego mężczyzny w eleganckiej, pudrowanej peruce.

Ogólnie mówiąc, wszyscy starali się wkładać jak najmniej przyrodziewku. Andrew wątpił, czy kiedykolwiek przyzwyczai się do widoku kobiecych piersi prześwitujących przez cienki materiał różnych dziwnych szatek. Musiał również nawyknąć do samochodów, ciężarówek i metalowych ptaków zwanych samolotami.

Zdawał sobie sprawę, że powinien dołożyć starań,

aby dostosować się do nowej sytuacji. Postanowił, że nie będzie już używał zwrotu „łaskawa pani” i nie będzie pytał o znaczenie niezrozumiałych słów. Lepiej będzie, jeśli stopniowo sam zacznie odgadywać ich sens. Wiedział, że musi jakoś znaleźć dla siebie miejsce w tym świecie, choćby nawet okazał się on większy, szybszy i bardziej niebezpieczny, niż przypuszczał.

- Co to za jedzenie? - Andrew nieufnie przyglądał się trójkątom z ciasta, pokrytym plasterkami kiełbasy i roztopionym serem.

- Pizza - odparła Shannon, trzymając ciasto palcami. Andrew patrzył na nią ze zdziwieniem. Czyżby zapomniała o sztuccach? - To włoska potrawa.

- Włoska? Czy takie zagraniczne potrawy są tu popularne?

Shannon wytarła usta serwetką.

- Równie popularne, jak hot dogi.

- Słodki Jezu! - Andrew spojrzał na nią z przerażeniem. - To już do tego doszło?

Shannon przez chwilę nie mogła zrozumieć, o co mu chodzi. Po chwili parsknęła śmiechem.

- Nie miałam na myśli pieczonych psów, Andrew. Hot dog to... - Zaczęła wyjaśniać, ale zaraz urwała.

- To pewnie nie zabrzmiało zbyt zachęcająco. Hot dog to mielone mięso w kształcie małej kiełbaski, ugotowane i włożone w bułkę. Najczęściej dodaje się do tego musztardę.

- Aha - mruknął. - To jakaś straszna kombinacja.

- Andrew ugryzł kawałek pizzy i przez chwilę walczył

z ciągnącym się serem. - Ale to jest dobre. - Ugryzł następny kęs i spojrzał na blat. - Czy to dotarło tutaj w tym pudle?

- Tak, żeby nie wystygło - wyjaśniła Shannon. - Zamówiłam pizzę przez telefon i po pół godzinie przywieźli ją prosto do domu.

Shannon wzięła do ręki dziwnie wyglądający przedmiot wielkości damskiego pantofelka, z którego wystawał krótki pręt. Andrew z otwartymi ustami przyglądał się, jak Shannon szybkimi ruchami naciska widoczne na nim cyferki. Przypominało mu to grę na klawikordzie. Po chwili z uśmiechem podała mu przedmiot.

- Przyłóż to sobie do ucha - powiedziała, ale zaraz wybuchnęła śmiechem. - Nie, nie tym końcem. Z drugiej strony.

Andrew posłusznie wykonał polecenie. Najpierw usłyszał dziwne brzęczenie, a potem czysty i wyraźny, ludzki głos.

- Dobry wieczór, jest w tej chwili osiemnasta pięć. Temperatura na lotnisku Newark wynosi 28 stopni, wiatr...

Andrew upuścił tajemniczy przedmiot na stół.

- To jakieś czary - powiedział.

- To telefon - wyjaśniła Shannon, najwyraźniej bardzo rozbawiona jego reakcją. - Zapewne jeden z najważniejszych wynalazków.

- To głupi wynalazek - prychnął Andrew. - Jak można ocenić człowieka, z którym rozmawiasz, jeśli nie można spojrzeć mu w oczy?

- Nie powiedziałbyś, że to głupi wynalazek, gdybyś chciał teraz porozmawiać z kimś w Anglii, prawda?

Andrew podniósł telefon i uważnie mu się przyjrzał.

- W jaki sposób takie urządzenie umożliwia rozmowę przez ocean?

- Wiem tylko, że to ma coś wspólnego ze światłowodami i satelitami. To strasznie skomplikowane.

- I to wszystko po to, żeby ludzie dostawali jedzenie w pudełku?

- Jeśli chcesz, można to i tak określić - przyznała.

- Czy ludzie w ten sposób zarabiają na życie?

- I to dobrze - zapewniła go. - Gastronomia to świetny interes.

- Czy nikt już nie siada wieczorem do rodzinnego stołu i nie je normalnej kolacji?

- W dzisiejszych czasach tak wygląda normalna kolacja, Andrew. W ciągu tygodnia wszyscy członkowie rodziny wiecznie się spieszą. Rzadko wszyscy mogą usiąść razem do stołu.

- Czemu się tak spieszą?

- Pracują do późna, chodzą do szkół wieczorowych, na treningi piłkarskie, zbiórki harcerskie, i tak dalej. - Shannon posypała kawałek pizzy czerwonym proszkiem. - A kiedy są w domu, oglądają telewizję.

- Te ruchome obrazy w małym okienku?

Shannon pokiwała głową.

- Tak. Jeśli ktoś nie może wybrać się w podróż po świecie, może go obejrzeć w telewizji. - Shannon przez chwilę się namyślała. - Jeśli chcesz się przekonać, jak dziwny jest nasz świat, to możesz oglądać telewizję.

- Czy nie macie książek?
- Tysiące. Skończ pizzę i pojedziemy do biblioteki.

On jest jak dziecko w sklepie ze słodyczami, myślała Shannon, podczas gdy Andrew zatopił się w „Historii Ameryki”. Siedział przy stoliku w pobliżu okna i pochylał się nad książką tak, jakby chciał ją przed czymś ochronić.

Shannon szczerze mu współczuła. Co tu mówić o szoku kulturowym! Ten biedak przerzucał strony, w krótkim czasie pokonując dystans dzielący elżbietański menuet od współczesnego rapu. Miała wrażenie, że Andrew chce wchłonąć jak najwięcej informacji, aby zabezpieczyć się przed nieznanym. Przypomniała sobie ostrzeżenie Dakoty. To nie będzie trwać długo.

Shannon nie była naiwna. Wiedziała, że nadejdzie chwila, kiedy Andrew ruszy w dalszą drogę. Nikt nie podejmuje podróży przez dwa stulecia po to, aby osiąść w niewielkim miasteczku w New Jersey i żyć z bardzo samotną kobietą.

Do licha, co też mi przyszło do głowy! - obruszyła się w myślach. Wprawdzie mieszkała sama, ale wcale nie była samotna. Przyjaźniła się z Dakotą i ludźmi, którzy pomagali jej prowadzić schronisko. Niemal codziennie poznawała nowe kobiety, którym pomagała pokonać przeszkody dzielące je od szczęśliwszego życia. No i oczywiście każdy mógł jej zazdrościć bogatego życia towarzyskiego. Tylko od niej zależało, ile czasu poświęci na liczne dobroczynne bale i imprezy towarzyskie. Jej zdjęcie regularnie pojawiało się w rubrykach towarzyskich lokalnych gazet.

Wcale nie potrzebuję związku z mężczyzną, pomyślała Shannon. Sama czuła się zupełnie dobrze. Niczego jej nie brakowało. Czy jesteś tego pewna? - pytała samą siebie. Czy w głębi serca nie pragnęła jednak rodziny, kogoś, z kim mogłaby dzielić dni i do kogo mogłaby się przytulić w nocy? Nauczyła się nie pragnąć rzeczy niemożliwych i teraz złościło ją, że znów poddała się takim uczuciom.

Dakota ma rację, skonstatowała, usiłując otrząsnąć się z melancholijnego nastroju. To wszystko nie może trwać długo. Gdy tylko Andrew przyzwyczai się do nowego świata, z pewnością zniknie. Mężczyźni tacy jak on nie spędzają życia na leżaku, popijając whisky i oglądając sprawozdania sportowe.

Andrew to dynamiczny mężczyzna z dynamicznych czasów. Z pewnością wkrótce spróbuje wpłynąć na świat, w którym nagle się znalazł.

A ona pozostanie w swej fortecy, odgradzona od wszystkiego, co mogłoby jej sprawić ból, w tym również od miłości.

Valley Forge. Straszliwa zima w Morristown. Wojna 1812 roku. Abraham Lincoln i niewyobrażalny horror wojny secesyjnej. Trudy odbudowy. Wojna z Hiszpanią.

W miarę jak Andrew czytał, czuł, że zbiera nieustanne razy. Miał wrażenie, że na własnej skórze odczuwa wszystkie okropieństwa kolejnych wojen. To prawda, były również sukcesy - ekspansja na zachód Ameryki, rewolucja przemysłowa - ale Andrew miał wrażenie, że każdy taki sukces został okupiony następnymi wojnami.

Pierwsza wojna światowa i legiony weteranów, poranionych szrapnelami i z nerwami zniszczonymi przez coś, co w książce nazwano gazem musztardowym. Ze ściśniętym gardłem Andrew czytał o drugiej wojnie światowej, podczas której miliony ludzi zostało zamordowanych tylko z powodu swej narodowości lub religii. Choć starał się jak mógł, w żaden sposób nie mógł sobie wyobrazić wojny ogarniającej cały świat.

Rok 1950 i kolejna wojna w Korei, jakimś kraju po drugiej stronie świata. Później wojna wietnamska, wojna w Ziemi Świętej, następnie...

Andrew rzucił książką o ścianę i zerwał się z krzesła.

- Cud, że świat jeszcze istnieje! - ryknął, wychodząc z pustej biblioteki.

- To trochę za dużo do strawienia na raz - odezwała się Shannon. Podeszła do niego i podała mu puszkę zimnej wody sodowej. Andrew przełknął parę łyków, choć w tym momencie stanowczo wołałby kieliszek rumu.

- Jakim cudem przetrwało życie? - spytał, choć wiedział, że na to pytanie nie ma odpowiedzi. - Wszędzie są środki niszczenia. Jak człowiek ma budować życie wiedząc, że wszystko może zostać nagle unicestwione?

- Ludzie są optymistami - odparła wzruszając ramionami. - To optymizm i upór. Czy w twoich czasach wyglądało to inaczej? Życie zawsze było zagrożone. Po prostu musimy żyć tak, jak na to pozwalają warunki.

- Nie tego się spodziewałem - mruknął.

- No to się rozczarowałeś. - W głosie Shannon po-

jawiła się ostra nuta. - Jeśli spodziewałeś się łatwego życia, McVie, to wybrałeś niewłaściwe czasy i niewłaściwe miejsce.

- Aha - powiedział. - Już się o tym przekonałem.

- Czego ty właściwie chcesz? - spytała. - Co, u licha, spodziewałeś się tu znaleźć, czego nie mogłeś znaleźć w swoich czasach?

- Muszę odnaleźć cel - odpowiedział bez namysłu. Sam się zdziwił, dlaczego powiedział prawdę.

Z twarzy Shannon zniknął gniewny grymas. Andrew miał wrażenie, że rozumie, o co mu chodzi.

- Mam nadzieję, że znajdziesz cel w życiu, Andrew - powiedziała łagodnie. - Bez tego życie nic nie jest warte.

- A ty masz cel?

- Tak - powiedziała po chwili namysłu. - Ale cel i szczęście nie zawsze chodzą w parze.

- Szczęście to marzenie głupców. Rozsądny człowiek powinien wiedzieć, do czego dąży.

- I to mówi człowiek, który kiedyś był szczęśliwy.

- Nic o tym nie wiem, pani Shannon.

- Pani? - Shannon uniosła brwi. - Wydawało mi się, że już z tego zrezygnowałeś.

- Dlaczego uważasz, że tak dobrze mnie znasz? - spytał, ignorując jej uwagę. - Może masz takie same talenty jak twoja przyjaciółka?

- Nie, nie jestem medium, jeśli to masz na myśli.

- Shannon pokręciła głową. - Po prostu pamiętam, jak wyglądałeś wtedy, kiedy pokazałeś mi zegarek od Elspeth.

Ze wzruszenia długo nie mógł wykrztusić słowa.

- Jako mąż bardzo ją rozczarowałem - wyznał wreszcie.

Shannon nie odpowiedziała. Oparła się o futrynę i patrzyła na niego swymi wielkimi oczami.

- Myślałem tylko o jednym - ciągnął Andrew. - O pieniądzach. Wszystko inne nie miało znaczenia.

- Przekonasz się, że pod tym względem niewiele się zmieniło. Ludzie wciąż popełniają ten sam błąd.

- Przykro mi to słyszeć. Nikomu nie życzę tego, co przeżyłem, kiedy chowałem Elspeth i Davida.

„Są w ramionach Chrystusa”, powiedział wielebny Samuels, podczas gdy Andrew stał w milczeniu nad grobem. Po cmentarzu hulał grudniowy wiatr. „Już nigdy nie zaznają cierpienia”. Niestety, nie można tego było powiedzieć o nim.

Shannon podeszła do niego. Stała teraz tak blisko, że Andrew czuł zapach jej skóry i ciepło jej ciała.

- Jestem pewna, że Elspeth wiedziała, że ją kochasz.

- Miłość to jeszcze za mało, zwłaszcza w mroźną zimową noc.

- Czy twoja żona była niewierna?

- Nić - odrzekł. - Choć miała dostateczne powody, żeby szukać pociechy z kimś innym. Dla mnie liczyło się tylko prawo. Elspeth żyła samotnie w obcym mieście. Robiła to tylko ze względu na moją karierę.

- Co się z nimi stało? Jak...?

- Pożar - powiedział wprost. - Właśnie wracałem z Filadelfii. Zmarli zaledwie kilka godzin przed moim przybyciem. - Jego głos się załamał. Andrew opu-

ścił wzrok. Własne nogi, obute we włoskie buty, wydały mu się zupełnie obce. - Wtedy porzuciłem praktykę i dołączyłem do zwolenników wojny o niepodległość.

Andrew opowiedział jej o zorganizowanej siatce szpiegowskiej, o swych ryzykownych akcjach i pochwałach, jakie zbierał.

- Wcale nie zasłużyłem na to wszystko - powiedział. W tym momencie pragnął zapomnienia, jakie znajdował w alkoholu. - Człowiek, który ryzykuje życiem, zasługuje na pochwałę, jeśli życie ma dla niego jakieś znaczenie. Jeśli tylko szuka śmierci, zasługuje wyłącznie na pogardę.

Shannon położyła dłoń na jego ramieniu. Andrew przez chwilę miał wrażenie, że to dotknięcie ukoiło jego udręczone serce. To tylko ci się zdaje, upomniał się w myślach. Po prostu musisz się rozładować.

Shannon się zarumieniła. Andrew zmierzył ją podejrzliwym spojrzeniem. Czyżby odczytywała jego najskrytsze myśli? To jednocześnie go uradowało i zaniepokoiło. Zawsze trzymał swoje uczucia na wodzy i uważał, że mężczyzna nie może zdradzać żadnej słabości.

A jednak ta kobieta widziała go odartego z bogactwa, władzy i wiedzy, zredukowanego do pozycji dziecka uczącego się życia w nowym świecie. Mimo to dostrzegła jego wartość.

- Nie jestem taki, jak myślisz, Shannon - powiedział zduszonym głosem.

- Nie jesteś też taki, jak ci się wydaje - szepnęła.

- Zapomnij o tym wszystkim, Andrew. Myśl teraz o przyszłości.

Spojrzał na jej dłoń, leżącą na jego ramieniu. Shannon uśmiechnęła się i chciała cofnąć rękę, ale Andrew nakrył ją swoją dłonią.

Spojrzała mu w oczy.

Podniósł drugą rękę i przeczesał palcami jej włosy. Były takie miękkie, jedwabiste, pachnące.

Fortuna była dla mnie łaskawa, gdy sprowadziła mnie do ciebie, łaskawa pani, powiedział sobie w duchu.

- Cieszę się, że tak myślisz, Andrew.

Podrzucił gwałtownie głowę.

- Nie powiedziałem niczego, co uzasadniałoby taką odpowiedź.

- Owszem. Słyszałam bardzo wyraźnie.

- Nic nie powiedziałem.

- A jednak słyszałam twój głos. To już nie pierwszy raz.

- Świat to dziwne miejsce - powiedział w zadumie.

- Bardzo trudno zrozumieć wiele zdarzeń.

- Wcale nie chcę tego zrozumieć. To magia.

Andrew odczuwał coraz silniejsze pragnienie, aby przytulić ją do siebie.

- Od pierwszej chwili myślałem, że to przeznaczenie sprowadziło mnie tutaj. Wszystko, co zrobiłem w życiu, prowadziło do ciebie.

- Och, Boże - szepnęła, opierając czoło o jego pierś.

- Kiedy cię zobaczyłam, pomyślałam, że właśnie zaczyna się moje życie.

Andrew objął dłońmi jej twarz i uniósł do góry. Pa-

trzymała na niego szeroko otwartymi oczami. Rozchyliła lekko wargi i cicho westchnęła. Andrew pomyślał, że gdyby Wszechmogący wezwał go do siebie w tej chwili, to umarłby wiedząc, czego spodziewać się w raju. Nie mógł sobie wyobrazić większej nagrody niż dotknięcie jej warg.

Jutro i na zawsze

11

To niemożliwe, myślała Shannon, zamykając oczy. W prawdziwym życiu takie rzeczy się nie zdarzają.

- Owszem - szepnął Andrew. Czuła na skórze jego ciepły oddech. - Jesteśmy tego dowodem.

Andrew najwyraźniej czytał w jej myślach, tak samo jak ona w jego. Łączyła ich tajemnicza więź i Shannon nie mogła nic na to poradzić. Mimo to nie czuła obaw. Jej kapitulacja miała charakter zmysłowy; polegała na rezygnacji z kontroli w celu osiągnięcia czegoś ważniejszego - czegoś głębokiego, prawdziwego i trwałego.

Andrew dotknął ustami jej warg. Shannon chłonęła zapach jego skóry, rozkoszowała się budzącymi się w jej ciele reakcjami. Czuła na twarzy jego szorstkie palce, ale dotykał ją tak delikatnie, że pomyślała, że zaraz umrze z nadmiaru czułości. Jeszcze nigdy nie czuła, że komuś na niej zależy, że ktoś dba o jej przyjemność. Dopiero Andrew... Wiedziała o tym instynktownie, tak samo jak odgadła, że zmierzają w kierunku czegoś, co radykalnie odmieni jej życie, i to w sposób, którego nie mogła sobie wyobrazić.

Pragnęła wkraść się do jego serca i uwolnić go od

cierpienia. Chciała znaleźć drogę do jego umysłu i poznać jego sekrety. Jednak nade wszystko pragnęła spędzić noc w jego ramionach.

Jedna noc całkowicie wystarczy. Tak musi być. Nic nie trwa wiecznie. Ani młodość, ani uroda, ani bogactwo. Z pewnością nie szczęście. Jednak Shannon wolała starzeć się ze świadomością, że w tym jednym przypadku posłuchała głosu serca, niż że nie zechciała skorzystać z nadarzającej się szansy na szczęście.

Andrew całował ją coraz mocniej. Czuła się zauroczona jego zapachem, pieszczotami i pocałunkami. W pewnym momencie wydawało się jej nawet, że słyszy dzwony.

Niestety, było w tym trochę prawdy.

- Ktoś dzwoni do drzwi - szepnęła.

Andrew znów ją pocałował. Shannon z trudem zdobyła się na to, aby wysunąć się z jego objęć.

- Spodziewasz się gości? - spytał, czule gładząc jej włosy.

- Nie. Niezależnie od tego kto to jest, powiem, żeby przyszedł jutro.

- Bardzo rozsądny pomysł.

- Wiedziałam, że ci się spodoba. - Uśmiechnęła się. Czuła się młoda, znów pełna nadziei i skłonna do flirtu.

- Zaraz wracam.

Przepłynęła przez korytarz w romantycznym zamroczeniu. Właśnie odpięła łańcuch, gdy ponownie rozległ się dzwonek.

- Już zwątpiłam, czy jesteś w domu - powitała ją

stojąca w progu przystojna czarnoskóra kobieta. -
Dzwoniłam już dwa razy.

- Byłam w bibliotece - wyjaśniła Shannon, uściskała ją i zaprosiła do środka. Karen Naylor była prawniczką i reprezentowała pensjonariuszki jej schroniska. - Jesteś tu z powodów towarzyskich czy zawodowych, Karen?

- Niestety, to drugie. Dziś będziemy mieli komplet w starym domku.

- Ile? - spytała Shannon, sięgając po notes, który trzymała na półce w pobliżu drzwi.

- Sześć osób - powiedziała Karen. - Matka z babką i czworgiem dzieci. Matka jest właśnie u lekarza. Później Jules przywiezie ich wszystkich do schroniska.

- W jakim wieku są dzieci?

- Jedenaście, osiem, pięć lat i półtora roku.

- Pewnie przydałaby się kołyska.

- Dobry pomysł. To maleństwo źle sypia.

- Ciekawe, dlaczego nie jest to dla mnie niespodzianką? - rzekła Shannon półgłosem. Tak wiele kobiet nie chciało zdecydować się na rozwód ze względu na dzieci, które w rzeczywistości fatalnie znosiły ciągłe awantury. - Dzwoniłaś do Dakoty? Pewnie będzie chciała wstąpić do schroniska jutro po pracy. - Dakota walczyła o to, aby dzieci ze schroniska nie były analfabetami. Dzięki niej liczne młode matki i dzieci dowiedziały się, jaką radość może sprawić czytanie.

- Zostawiłam jej wiadomość - odpowiedziała Karen.

- Wydaje mi się, że dziś Dakota ma jakieś przyjęcie. Możesz spróbować złapać ją jutro rano.

- Lepiej sprawdzę, czy w schronisku wszystko jest w porządku. - Shannon odzyskała energię. - Mam całą stertę nowych pism, trochę kaset wideo i ubrania dla dzieci w doskonałym stanie. - Spojrzała na Karen. - Czy są wśród nich dziewczynki?

- Trzy - poinformowała ją Karen. - Będą w siódmym niebie.

Shannon pospiesznie coś zanotowała i spojrzała na zegarek.

- Do licha, co ty tu robisz o tej godzinie? Mogłaś przecież zadzwonić.

- Wiem, ale chciałam ci podrzucić pewne dokumenty. Musisz je przeczytać.

- To poprawki do mojego testamentu? - zainteresowała się Shannon.

- Tak. Testament i statut twojej nowej fundacji.

- Jestem pewna, że to doskonała lektura na dobranoc. - Shannon wzniosła oczy do góry.

- Musisz je przeczytać - nalegała Karen. - To naprawdę ważne. Muszę mieć całkowitą pewność, że wiesz, co podpisujesz.

- Powiedziałam ci, czego chcę, a ty twierdzisz, że wszystko jest tak, jak chciałam. Po co mam czytać? Ufam ci.

- Nie ufaj mi. - Teraz Karen wzniosła oczy, jakby szukała pomocy z nieba. - W ważnych sprawach nie można nikomu ufać.

- Cenna uwaga - uśmiechnęła się Shannon.

Karen zmierzyła ją uważnym spojrzeniem.

- Wyglądasz jak kot, który zjadł właśnie kanarka.

- Naprawdę? Nie mam pojęcia dlaczego.

- A może on jest tego przyczyną? - Karen wskazała ręką w kierunku drzwi, w których właśnie pojawił się Andrew. - Przedstaw nas, dziewczyno. - Karen promiennie się uśmiechnęła. - Gdzie go trzymałaś? - szepnęła do Shannon. - Jest cudowny.

- To mój stary przyjaciel - odrzekła Shannon, wzywając Andrew gestem. - On, hm, wczoraj mnie odwiedził. Zaprosiłam go, żeby został nieco dłużej.

Karen wyciągnęła do niego rękę.

- Karen Naylor - przedstawiła się z uśmiechem.

Andrew zignorował wyciągniętą rękę Karen. Shannon w duszy jęknęła. Cholerna Dakota i jej utraty przytomności. Ten biedak pewnie już do końca życia będzie obawiał się uściskać komuś dłoń. Miała ochotę dać mu sółkę w bok, ale zrezygnowała z tego pomysłu. Jeszcze tego brakowało, aby Karen również osunęła się na podłogę. Karen była raczej chłodną intelektualistką. Gdyby Shannon oświadczyła jej, że Andrew właśnie dotarł tu z osiemnastego wieku, zapewne postarałaby się umieścić ich oboje w szpitalu dla umysłowo chorych.

Odkaszlnęła.

Karen przestała się uśmiechać, ale nie opuściła ręki.

Przywitaj się z nią, powtarzała w myślach Shannon. Nie rób mi wstydu.

Andrew spojrzał na nią. Był wyraźnie zaskoczony przebiegiem zdarzeń. Z wyraźną niechęcią uniósł rękę i uściskał dłoń Karen. Cała operacja trwała ułamek sekundy.

- Andrew McVie - powiedział.

- Jaki cudowny akcent - zauważyła Karen. Wydawała się zakłopotana sytuacją, w jakiej się znalazła. - Skąd pan pochodzi?

- Z Bostonu.

- Ze Szkocji - równocześnie powiedziała Shannon. - To znaczy, w ogóle ze Szkocji, ale teraz mieszka w Bostonie.

- Aha. - Karen spoglądała na przemian to na nią, to na jej towarzysza. - Co zatem sprowadza pana do New Jersey?

- Andrew ma paromiesięczny urlop - wtrąciła Shannon.

Andrew uniósł lekko brwi. Karen tak samo.

Co ty wyprawiasz, jęknęła w duszy Shannon. Pozwól mu mówić.

- Mam kilkumiesięczny urlop - potwierdził Andrew.

Karen przygryzła wargę, tak jakby chciała powstrzymać się od śmiechu. Kto mógłby ją za to winić? To wszystko zakrawało na farsę.

- A gdzie pan pracuje? - pytała dalej Karen. Tym razem Shannon zdołała ugryźć się w język.

- Jestem prawnikiem.

Oczy Karen wyraźnie się rozszerzyły. Shannon miała ochotę zapaść się pod ziemię.

- Jest pan adwokatem?

- Tak - potwierdził Andrew.

- Zawsze chciałam poznać adwokata z Wielkiej Brytanii - ucieszyła się Karen. - Czy jest pan zwykłym adwokatem, radcą królewskim czy też mecenasem? A może wszystko pokręciłam?

- Jestem adwokatem.
- A jaka jest różnica między adwokatem i mecenasem?
- Nie wiem.
- No, dobrze, muszę już iść do domu. - Karen zakończyła przesłuchanie, chwyciła swoją skórzaną torbę i wyciągnęła z niej dużą, białą kopertę. - Proszę, przeczytaj uważnie te dokumenty - powiedziała, podając Shannon kopertę. - Później umówimy się na spotkanie w biurze. Musisz to podpisać.

Karen uściskała Shannon, kiwnęła głową w kierunku Andrew i wyszła.

Andrew jeszcze nigdy nie widział Shannon tak rozgniewanej.

- Do diabła, co ty wyprawiasz? - krzyczała. - Jak mogłeś tak potraktować Karen?
 - Nie zrobiłem niczego niewłaściwego - odparł zirytowany.
 - Zachowywałeś się wyjątkowo nieuprzejmie.
 - Odpowiedziałem na jej pytania.
 - Nie chciałeś podać jej ręki.
 - To prawda - przyznał. - Nie miałem takiego zamiaru.
 - Dlaczego nie? - pieniała się Shannon. - Z Dakotą się przywitałeś.
 - I wiesz, czym się skończyło.
 - Ale tobie wcale nie o to chodziło! - zawołała. - Nie chciałeś uścisnąć jej ręki, bo jest Murzynką.
- Andrew nie mógł zaprzeczyć.

- Jesteś rasistą!

- Pochodzę z innego świata - warknął. - W moim świecie czarni niewolnicy nie podają ręki swoim właścicielom.

- Ty bałwanie! Niewolnictwo zostało zniesione już ponad sto lat temu! Przyjmij do wiadomości, że Karen jest prawnikiem, podobnie jak ty.

Ten pomysł był tak niewiarygodny i dziwaczny, że Andrew wybuchnął śmiechem.

- Mówisz bzdury.

- Mówię prawdę, Andrew. Karen jest prawnikiem.

- Nie wierzę.

- Skończyła Harvard.

- Wymyślasz to, żeby mnie sprowokować.

- Czy trudniej jest ci zaakceptować fakt, że prawnikiem jest kobieta, czy to, że jest nim Murzynka?

- Prawdę mówiąc, i jedno, i drugie wydaje mi się niemożliwe.

- Przynajmniej jesteś szczery - westchnęła. - To jednak nie zmienia faktu, że twoje poglądy są całkowicie nie do przyjęcia.

- Czy w 1993 roku wolno myśleć tylko w jeden określony sposób?

- Nie, masz pełną wolność przekonań. Jednak jeśli chodzi o podstawowe prawa jednostki, przyzwyczajeni ludzie akceptują tylko jeden sposób myślenia.

- Zatem uważasz, że moje poglądy są nieprzyzwoite.

- W tej sprawie tak - potwierdziła patrząc mu w oczy.

- Elspeth i ja nie mieliśmy niewolników.

- To bardzo szlachetnie z waszej strony - stwierdziła z wyraźną ironią. - Czy jednak próbowaliście przekonać innych, żeby uwolnili swoich?

- Nie do mnie należy uczenie innych, jak mają żyć.

- Nawet wtedy, jeśli wybrany przez nich sposób życia oznacza zniewolenie innych ludzi?

- Większość niewolników żyła w dobrych warunkach.

- Och, daj spokój! - Shannon była zupełnie zdegradowana. - Może wyjaśnisz mi przyczyny wojny domowej, czy też jeszcze nie dotarłeś do tego miejsca w swojej lekturze?

- Było wiele innych powodów. - Andrew przeczytał o wojnie w bibliotece i dobrze pamiętał wszystkie istotne fakty.

- Ale najważniejsza była sprawa zniesienia niewolnictwa.

- Zachowujesz się tak, jakbym to ja dźwigał na swoich barkach odpowiedzialność za niewolnictwo.

- Jesteś za nie odpowiedzialny - zaperzyła się Shannon. - Tak samo jak wszyscy, którzy pozwolili na istnienie tego systemu. Mielicie okazję, żeby znieść niewolnictwo przy uchwalaniu Deklaracji Niepodległości, ale ważniejsze dla was były pieniądze.

- Gdy toczy się walka o niepodległość kraju, nie ma czasu na takie dysputy. Znam tę deklarację i wiem, jak powstała. Gdyby Jefferson i Adams nie poszli na kompromis z dżentelmenami z Południa, to dziś nie byłoby Stanów Zjednoczonych.

- To łatwa wymówka - prychnęła Shannon. - Ale ja

w nią nie wierzę. Z pewnością istniało jakieś rozwiązanie.

- W życiu konieczne są kompromisy - powiedział Andrew. - Czy nie miałaś jeszcze okazji się o tym przekonać?

- Owszem, ale ty chyba osiągnąłeś w tym prawdziwe mistrzostwo.

- Czy mogłabyś mówić jaśniej, Shannon? Nie rozumiem, o co ci teraz chodzi.

- Wciąż nie rozumiesz? Pomyśl o mnie. Mężczyźni traktują kobiety tak samo jak Murzynów. Jak traktowałeś Elspeth? Czy uważałeś ją za swą własność? Swoją partnerkę? Swoją niewolnicę?

- Elspeth była moją żoną, co miało swoje konsekwencje - stwierdził tak, jakby się usprawiedliwiał, choć wcale nie miał takiego zamiaru. Czemu właściwie miałyby usprawiedliwiać coś, co było całkowicie oczywiste?

- Powiem ci, jakie to miało konsekwencje. Aż do początku tego stulecia mężczyzna był właścicielem żony. Jeszcze niedawno mógł zrobić ze swą własnością niemal wszystko. Mógł bić żonę, gwałcić ją, nawet ją zamordować i nikt, dosłownie nikt, nie kiwnąłby nawet palcem.

Andrew chciał ją przytulić i uspokoić, ale wiedział, że to nie jest dobry pomysł. Shannon nie pragnęła jego pieczyoty, lecz czegoś zupełnie innego, na co trudno było mu się zdobyć.

- Przysięgam uroczyście, że nigdy nie uderzyłem Elspeth ani żadnej kobiety - oświadczył. - Nigdy nie wyraziłem jej krzywdy.

- Wiem - szepnęła Shannon. - Wierzę ci.
Delikatnym ruchem ujął jej dłoń.
- To dlaczego patrzysz na mnie w ten sposób?
- Codziennie spotykam kobiety, które potrzebują pomocy.
 - Rozumiem, że czujesz się solidarna z innymi uczciwymi kobietami, które cierpiały z winy swych mężów.
 - Tak - powiedziała, ściskając jego dłoń. - Mam do czynienia z kobietami i dziećmi wszystkich ras i wszystkich religii. Jeśli... jeśli masz tu być ze mną, to musisz przyjąć do wiadomości, że to są ludzie równi tobie i mnie.
 - Wiele wymagasz.
 - Wiem - przyznała. - Ale ty jesteś uczciwym człowiekiem.
 - To śmiałe przypuszczenie jak na tak krótką znajomość - uśmiechnął się Andrew.
 - Mimo to nie mam wątpliwości. - Shannon pogłaskała go po policzku. Andrew miał wrażenie, że odczuwa muśnięcie skrzydeł anioła. - Jesteś lepszym człowiekiem, niż myślisz. Wierzę, że nauczysz się akceptować Karen i innych, do niej podobnych.
 - Nie mogę tego zagwarantować.
 - Ja mogę.
 - Nie możesz wiedzieć więcej o mnie niż ja.
 - Nauczyłam się polegać na intuicji. - Shannon spojrzała na niego wojowniczo. Dostrzegą w nim godność i szlachetność, o których Andrew już zapomniał, choć dałby wiele, aby je odzyskać. - Spróbujesz, prawda?
 - Postaram się - przytaknął.

- To dobry początek. - Kiedy się uśmiechnęła, Andrzej odniósł wrażenie, że oblało go ciepło promieni słonecznych.

- Aha - powiedział. - To początek.

Nie wiedział, jaki będzie koniec, ale miał nadzieję, że nie nastąpi zbyt szybko.

Jutro i na zawsze

12

Domki należące do schroniska znajdowały się niedaleko, po przeciwnej stronie lasu rosnącego na posiadłości Shannon. Pierwotnie były przeznaczone dla gości, gdyż pierwszy właściciel tego terenu bardzo sobie cenił prywatność. Shannon od razu zdecydowała, że będą one służyć ważniejszym celom.

Z pomocą Andrew załadowała do bagażnika jedzenie i ubranie dla dzieci. Nie prosiła go o pomoc, zaproponował ją sam. Shannon bardzo się z tego ucieszyła. Ich poprzednia rozmowa była z pewnością równie trudna dla niego, jak i dla niej. Shannon liczyła się z tym, że Andrew może się obrazić i odejść. Fakt, że zamiast tego postanowił jej pomóc, znaczył dla niej bardzo wiele.

Gdy usiadła za kierownicą, Andrew zajął miejsce obok.

- To może długo potrwać - ostrzegła go. - Czasami mija kilka godzin, nim załatwi się wszystkie sprawy.

- Dobrze.

Shannon wyjechała za bramę i ruszyła leśną drogą, która prowadziła do schroniska. Po kilku minutach zatrzymali się przed jednym z domków.

- Jeszcze nie przyjechali - stwierdziła Shannon. - Mam czas, żeby wywietrzyć i zanieść do kuchni jedzenie.

Andrew obrzucił domek krytycznym spojrzeniem.

- Drzwi do naprawy - powiedział.

- Karl niezbyt dobrze radzi sobie z naprawami - powiedziała Shannon.

- Karl?

- Mój człowiek do wszystkiego. On i Mildred zajmują się schroniskiem.

- Nie widziałem nigdzie ani Karla, ani Mildred.

- Są na wakacjach - wyjaśniła. - Pojechali odwiedzić krewnych w Szwecji.

- Okna też są w nędznym stanie - zauważył Andrew.

- Dlaczego zatrudniasz kogoś, kto robi tak mało, żeby zasłużyć na zapłatę?

- Mam miękkie serce - odpowiedziała. Wyjęła z bagażnika dwie torby z jedzeniem i ruszyła do kuchni. Andrew wszedł za nią do niewielkiego przedpokoju. - Karl i Mildred pracowali dla poprzedniego właściciela. Niedługo powinni przejść na emeryturę. Trudno by mi było teraz ich zwolnić.

Ledwo zdążyli wyładować bagażnik, gdy przed dom zajechała furgonetka. Jules zaparkował tuż obok samochodu Shannon.

Do tego nie można się przyzwyczaić, myślała Shannon patrząc, jak dwie kobiety pomagają wysiąść dzieciom. Jeśli ktoś potrafi, to chyba nie jest człowiekiem.

- Będziesz miała komplet - oświadczył Jules, podczas gdy babka zbierała z tylnego siedzenia koce. - Mam jeszcze dwa kursy.

- Jeszcze dwa? Co, u licha, się dzisiaj dzieje?
- Pełnia księżyc. Gorący weekend. Sama możesz zgadywać.
- Są jeszcze małe dzieci?
- Tym razem nastolatki. Dwie rodziny, jedna z dwój-
giem dzieci, druga z jednym.
- Mamy za mało jedzenia - zmartwiła się Shannon.
- Kiedy tylko ich rozlokuję, pojedę do domu i opróżnię
spizarnię.
- Ja to zrobię - zaproponował Andrew, gdy Jules po-
jechał po następne rodziny.
- Przyznaję, że robisz błyskawiczne postępy, ale je-
szcze nie pozwolę ci prowadzić samochodu.
- Nie potrzebuję samochodu - odrzekł. - Pójdę pie-
chotą.
- Jest ciemno choć oko wykol. Zabłądzisz.
- Powiedz mi, czego potrzebujesz, a ja już sobie po-
radzę.

Shannon wyliczyła potrzebne produkty, powiedziała mu, jak obejść alarm i gdzie jest spizarnia. Miała nadzieję, że Andrew znajdzie drogę, nim minie następne dwieście lat.

Prawdę mówiąc, Andrew był gotów ruszyć na koniec świata, byle tylko uniknąć widoku pełnych smutku oczu kobiet i dzieci.

W swoim życiu widział już niemało okropieństw. Kiedyś trzymał za rękę młodego chłopca, który umierał na łące w pobliżu Lexington, trafiony kulą z muszkietu angielskiego żołnierza. Gdy odniósł matce pamiątki po

chłopcu, dowiedział się, że pochowała już dwóch synów.

Żadne z dotychczasowych doświadczeń nie przygotowało go jednak na widok tych dwóch kobiet, które tu przyjechały. Starsza wydawała się zupełnie zrezygnowana. Zachowywała się tak, jakby oczekiwała, że z każdego kąta może jej coś grozić. Wygląd młodszej zdradzał, co musiały przeżyć. Grube bandaże zupełnie skrywały jej lewe oko, a prawe otaczały sinozielone plamy. Długi szereg szwów przecinających jej policzek był jawnym dowodem brutalności, jakiej doświadczyła z ręki mężczyzny, który przysiągł jej wierność i miłość na całe życie.

Andrew szybko szedł przez las, wykorzystując umiejętności, o których sądził, że nie będą mu już przydatne. Aby trafić do celu, nie potrzebował drogi. Charakterystyczne kępy drzew, skały i gwiazdy nad głową wskazywały mu kierunek. Nieoczekiwanie jednak natknął się na pewne trudności.

W tym stuleciu noc nie przynosiła takich ciemności, do jakich przywykł. W jego czasach nocne ciemności były tak nieprzeniknione, że gwiazdy wydawały się bliższe - prawie można je było dotknąć. Teraz otaczała go szarość, tak jakby ktoś przesłonił księżyc gęstą zasłoną.

Brakowało mu również nocnej ciszy. Mimo że był w lesie, słyszał nieustanny szum, którego źródła nie potrafił określić. Instynkt podpowiadał mu, że nie jest to szum wiatru ani cykanie owadów, lecz jakieś zjawisko nienaturalne.

Na tyłach domu Shannon było zupełnie jasno, tak jakby popołudniowe słońce oświetlało podwórze i odbijało się w prostokątnym stawie. Andrew wiedział już, że to elektryczność umożliwiła te cuda, wykorzystując tę samą siłę, która generowała błyskawice podczas letnich burz. Czy to właśnie elektryczność była źródłem nieustannego szumu, który towarzyszył mu dzień i noc? Prawdę mówiąc, Andrew gorąco pragnął choć godziny zupełnej ciszy, do której nawykł.

Korzystając ze wskazówek Shannon udało mu się wejść do domu tak, aby nie uruchomić ryczącej skrzynki.

- Oto osiągnięcie - mruknął, kierując się do spiżarni. Po drodze zastanawiał się, czy jego życie będzie już zawsze składać się z takich małych triumfów, po których nic nie pozostanie.

Piętnaście lat temu, dzień po skończeniu studiów, Pat Conner poślubiła Jacka Delaneya. Wszyscy uważali, że tworzą idealną parę. Jack zaczynał właśnie karierę menedżera, Pat pragnęła mieć męża i dzieci. To ostatnie udało im się osiągnąć bardzo szybko. Pierwsze dziecko pojawiło się na świecie już dziesięć miesięcy po ślubie.

Wydawało im się, że zrealizują amerykański ideał: dzieci i kariera, piękny dom w modnej dzielnicy, duży samochód i pies rasy golden retriever oraz mnóstwo innych luksusów, na które nigdy nie starczało pieniędzy.

W każdym razie im.

- On nas znajdzie - powiedziała Pat, popijając ciepły

rosół, podczas gdy dzieci szybko jadły hot dogi. - Powiedział, że jeśli kiedyś spróbuję uciec, to nas znajdzie i wszystkich pozabija.

- Kochanie, on i tak nas wszystkich zabijał, dzień po dniu - odpowiedziała Terri, jej matka. Spojrzała na Shannon, która usiłowała nie zwracać uwagi na ciemne plamy na jej twarzy. - Proszę jej powiedzieć, że postąpiła słusznie i że on nas tu nie znajdzie.

- Jesteś bezpieczna - powiedziała Shannon, ściskając drżącą dłoń Pat. - Tutaj nic wam nie grozi.

- Nie znasz Jacka - odpowiedziała Pat, zerkając nerwowo na dzieci. - Wszędzie ma kumpli.

- Podobnie jak mój mąż - odrzekła Shannon.

- Twój? - Pat wydawała się zupełnie zaskoczona.

- Tak - uśmiechnęła się Shannon. - Też to przeżyłam i wiem, co czujesz.

- Ale ty... To znaczy... - Pat szerokim gestem wskazała na całą posiadłość. - Nie sądziłam, że to może przydarzyć się komuś takiemu jak ty...

- Myliłaś się. Przemoc zdarza się wśród wszystkich grup społecznych i nie zależy od warunków ekonomicznych.

- To ja ją zmusiłam do ucieczki - wtrąciła Terri. - Ostatniej nocy, po tym jak... Jeśli on jeszcze raz dotknie moje dziecko albo wnuki, to go zabiję.

- Nie mów tak, mamo. - Głos Pat załamał się niebezpiecznie. - To mój mąż.

- To ostatni sukinsyn.

- Nic nie rozumiesz. - Pat spojrzała na Shannon, jakby oczekiwała od niej wsparcia. - On nie chce nas

krzywdzić... Ma dużo kłopotów w pracy. Grozi mu bezrobocie i... - Urwała i podniosła do ust filiżankę.

- No, widzisz? - powiedziała Terri do Shannon. - Najpierw on chce ją zabić, a później ona go żałuje. Nie wiedziałam, co robić. W końcu uznałam, że jedyną naszą szansą jest ucieczka.

- Mieszkasz z nimi?

- Od lutego. Mój mąż umarł i Pat zaprosiła mnie do siebie.

- Postąpiłaś słusznie - zapewniła ją Shannon. - Najważniejsze, że wyciągnęłaś ją z tego domu, póki nie doszło do najgorszego.

- Sama potrafię decydować o własnym życiu - wtrąciła Pat. - Chcę tylko dać mu czas, żeby odpoczął. - Spojrzała na dzieci, które kończyły właśnie hot dogi i zabierały się do lodów. - Jemu jest ciężko. Dzieci strasznie hałasują i potrzebują tylu rzeczy... - Pat zaczęła płakać.

- Wszystko w porządku. - Shannon objęła ją. - Tutaj nic ci się nie stanie. Jesteście bezpieczne.

- Tak się boję - łkała Pat. - Nie wiem, co mam zrobić, dokąd pójść.

- Wszystko we właściwej kolejności - powiedziała Shannon. - Najpierw musicie się wszyscy wyspać. Jutro rano będziemy miały dość czasu, żeby zastanowić się nad przyszłością.

Andrew ukrył się w cieniu. Widział wyraz jej twarzy i słyszał czuły ton głosu. W tym momencie pomyślał, że w życiu nie spotkał lepszego człowieka niż Shannon.

Podczas wojny zwykli mężczyźni i zwykłe kobiety zyskują rozgłos dzięki heroicznym czynom, o których można przeczytać w podręcznikach historii. W rzeczywistości jednak nietrudno zachować się heroicznie, gdy tego wymaga sytuacja.

Znacznie rzadziej można spotkać się z heroizmem w zwykłym, codziennym życiu, które często wystawia nas na nie lada próby. Właśnie taki heroizm wykazywała Shannon. Dostrzegała cierpienie i starała się przynieść ulgę cierpiącym. Widziała nierówność i próbowała ją zrekompenzować. Andrew znał niewielu ludzi, którzy gotowi byli przyjmować do swego domu obcych ludzi potrzebujących pomocy.

Nie zapominaj o tym, pomyślał Andrew. To jej naturalne zachowanie. Jeśli uważasz, że żywi dla ciebie coś więcej niż życzliwość, to jesteś idiotą.

- Wspaniale zająłeś się dziećmi - powiedziała Shannon, gdy w kilka godzin później wracali do domu.
- Widzę w nich złość - zauważył Andrew.
- Dziwi cię to? Ich ojciec stłukł ich matkę na kwaśne jabłko i groził im rewolwerem. To chyba mogłoby każdego rozgniewać.
- To coś więcej. Ich złość jest w znacznej mierze skierowana przeciw matce.
- Czy ci to powiedziały? - Shannon zerknęła na niego przez ramię. Zatrzymała się przed garażem i uchyliła okno, żeby uruchomić mechanizm otwierający bramę.
- Nie musiały nic mówić. Zauważyłem.
- Ja nic takiego nie zauważyłam.

- Ty czasami dostrzegasz pewne cechy kobiet, które dla mnie są niewidoczne - rzekł Andrew i wzruszył ramionami.

- Mówisz o jakichś „męskich sprawach”? - spytała. Wyłączyła silnik i spojrzała mu w oczy.

- Jakich męskich sprawach? - Andrew zmarszczył brwi.

- Wiesz przecież. - Machnęła niecierpliwie ręką. - Męska więź, takie rzeczy.

- Jaka męska więź?

- Dałabym ci egzemplarz Roberta Blya, ale obawiam się, że zaraz byś wskoczył do balonu i tyle bym cię widziała.

- Mów jaśniej, Shannon. Nie rozumiem, co chcesz powiedzieć.

Shannon ciężko westchnęła. Nie wiedziała, jak ma mu wyjaśnić, czym są książki z poradami psychologicznymi, jak wytłumaczyć amerykańską wiarę w psychoterapię.

- Wielu Amerykanów spędza dużo czasu na rozmyślaniach o własnym życiu - zaczęła. - Całkiem sporo bystrych autorów zarobiło dużo pieniędzy pisząc książki z poradami, jak dostrzec jaśniejsze strony życia. - Andrew patrzył na nią tak dziwnym wzrokiem, że Shannon musiała się roześmiać. - Oczywiście, jeśli ktoś nie lubi takich poradników, zawsze może po prostu iść do psychoterapeuty.

- Nie znam tego słowa.

- Świat bez Freuda? To musiał być raj. - Shannon zastanawiała się nad definicją psychoterapeuty. - Psy-

choterapeuta to ktoś, komu się płaci za to, że wysłuchuje opowieści o czyichś problemach.

- Ludzie płacą za to, żeby móc komuś opowiedzieć o swoich kłopotach? - Andrew otworzył usta ze zdziwienia.

- Tak - potwierdziła. - Później psychoterapeuta proponuje pewne rozwiązania.

- To samo można osiągnąć pijąc piwo z przyjaciółmi - zauważył Andrew. Był wyraźnie rozbawiony.

- Przypuszczam, że tak - zgodziła się Shannon. Wsiadła z samochodu i ruszyła w kierunku domu. - Problem polega na tym, że obecnie nie mamy czasu dla przyjaciół. Jesteśmy zbyt zajęci, bo często pracujemy na trzech etatach, żeby spłacić długi hipoteczne, podatki...

- Aha - jęknął Andrew. - Człowiek przez pół życia pracuje dla Korony.

- No, teraz nie musimy już martwić się o Koronę, ale Wuj Sam również chętnie sięga po swój udział.

- Wydawało mi się, że nie utrzymujesz kontaktów z rodziną.

- Wuj Sam nie jest członkiem mojej rodziny. Jest wujem wszystkich obywateli Stanów Zjednoczonych.

- Shannon wyjaśniła mu, że jest to takie niby pieszczotliwe określenie amerykańskiego rządu. - To wysoki mężczyzna z siwymi włosami i brodą, który nosi dziwne biało-czerwono-niebieskie ubranie i bardzo przypomina naszą flagę.

- To kolory flagi angielskiej - oburzył się Andrew.

Shannon otworzyła drzwi i weszli do kuchni.

- Nie wiem, jak ci mam to powiedzieć, Andrew, ale

Anglia to obecnie nasz najbliższy sojusznik i przyjaciel - poinformowała go, zapalając jednocześnie światło.

- Czy Anglia wciąż jest najpotężniejszym krajem na świecie?

- Nie - zaprzeczyła. - To my jesteśmy najsilniejsi.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- To był dla mnie wyjątkowo pouczający dzień.

- Owszem - przyznała, myśląc o wszystkich wydarzeniach tego burzliwego dnia. - „Pouczający” to trafne słowo.

Kiedy spojrzeli sobie w oczy, Shannon poczuła na plecach dreszcz oczekiwania.

- No cóż - powiedziała, prostując ramiona. - Jest późno, a jutro mam mnóstwo roboty w schronisku. - Włączyła alarm przy drzwiach i ruszyła na górę. - Zobaczymy się rano.

- Odprowadzę cię do sypialni.

Kiwnęła głową. Bardzo się cieszyła, że Andrew uważa to za konieczne.

W milczeniu skierowali się ku schodom. Szli razem na górę dopiero drugi raz, a jednak Shannon miała wrażenie, że jest to część długiego łańcucha wydarzeń, który połączył ich ze sobą. Wiedziała, oczywiście, że to tylko romantyczna bzdura, a jednak...

- W tym domu jest siedem sypialni - powiedziała, gdy zatrzymali się przed jej drzwiami. - Wybierz sobie tę, która ci się najbardziej podoba.

- Będę spał tutaj, tak jak poprzedniej nocy.

- Nie musisz tego robić, Andrew. - Shannon poczu-

ła, że się rumieni. - Jestem całkowicie bezpieczna. Proszę, śpij wygodnie w łóżku.

Andrew nie odpowiedział, tylko w milczeniu wpatrywał się w nią tymi swoimi orzechowymi oczami. Nie wiele brakowało, a Shannon straciłaby panowanie nad sobą.

- Dobranoc - powiedziała, kładąc rękę na klamce. Serce biło jej tak mocno, że prawie nie słyszała własnego głosu. - Do zobaczenia rano.

Andrew wciąż milczał. Shannon poczuła, że ogarnia ją gorąca fala. Dlaczego tak na mnie patrzysz? Czy mnie pocałujesz?

- Tak - powiedział, przyciągając ją do siebie.

Wciągnęła w płuca powietrze przesycone jego zapachem.

Andrew objął dłońmi jej twarz.

Shannon myślała, że zaraz umrze z wyczekiwania.

Andrew zastanawiał się, czy można po prostu umrzeć z rozkoszy.

To był zwykły pocałunek.

Zetknęli się wargami. Ich oddechy połączyły się ze sobą.

To za mało... a jednak to było wszystko.

Największym cudem było to, że oboje o tym doskonale wiedzieli.

Jutro i na zawsze

13

Następnego ranka, gdy przybyła czarnoskóra prawniczka, Andrew był zajęty naprawą okna w łazience dla gości.

- Dzień dobry - pozdrowiła go, nie podając ręki.
- Czy Shannon jest w domu?

- Rozmawia z tymi kobietami w schronisku - odpowiedział, nie przerywając pracy. Czuł się niezręcznie, a tego nigdy nie lubił.

- Świetnie to robisz. - Karen przeciągnęła dłonią po framudze. Andrew czuł, że Murzynka uśmiecha się do niego, ale nie odpowiedział jej tym samym. - Czy stolarstwo to twoje hobby?

Andrew kiwnął głową, pracowicie zeskrobując starą farbę.

- Ja biegam - powiedziała.

Pozostawił tę dziwną informację bez odpowiedzi.

- Nie lubisz mnie, prawda? - spytała nagle Karen.

- Tego nie powiedziałem.

- Nie musiałeś, Mc Vie. Twoje milczenie jest dostatecznie wymowne. Idę poszukać Shannon. Powodzenia.

Andrew poczekał, aż jej samochód zniknie za zakrę-

tem, po czym rzucił skrobaczkę na ziemię. Ta kobieta zachowuje się dziwnie. Nie stara się mu pochlebić, ale również nie traktuje go jak kogoś gorszego. Prawdę mówiąc, rozmawia z nim tak, jakby byli sobie równi, i to najbardziej wyprowadziło go z równowagi.

Przypomniał sobie czasy studiów na Harvardzie, po czym spróbował sobie wyobrazić kobietę przemierzającą sale słynnej uczelni w poszukiwaniu wiedzy. Fakt, że ta kobieta była Murzynką, nie ułatwiał mu zadania.

Shannon uznała go za rasistę, lecz nie mógł się z tym zgodzić. W jego czasach wszyscy wierzyli, że granica dzieląca pana i niewolnika ma charakter absolutny. Nawet jeśli niewolnik zyskiwał wolność, jego sytuacja niewiele się zmieniała.

Teraz wszystko to uległo zmianie. Potomkowie niewolników - zarówno mężczyźni, jak i kobiety - bywali prawnikami i lekarzami. Odnosili sukcesy, robili kariery.

I to wszystko w świecie, który Andrew chciał uważać za własny.

Przyszło mu nagle do głowy, że w tym świecie może być za mało miejsca, aby wszyscy mogli odnosić sukcesy. Być może niektórzy zostają z boku i popadają w zapomnienie?

Ten świat wyglądał zupełnie inaczej, niż Andrew sobie wyobrażał. Marzył o świecie, w którym mężczyźni żyją niczym królowie, a kobiety dożywają czterdziestki zachowując urodę. Spodziewał się, że w tym świecie natychmiast odnajdzie utracone poczucie sensu życia.

- I gdzie jesteś teraz, Andrew? - mruknął pod nosem. Zamiast robić karierę, naprawiał drzwi i zeszkrobywał

starą farbę z okien. Pracował fizycznie dla kobiety z grzywą miękkich włosów i ogromnymi oczami koloru morskiej wody.

Kobiety, której duchowe piękno w pełni dorównywało urodzie fizycznej.

Gdyby żyli w osiemnastym wieku, Andrew wiedziałby, jak ją zdobyć. Był wtedy szanowanym człowiekiem, najzacniejsi obywatele Bostonu szukali jego przyjaźni i pozdrawiali go na ulicach.

W tamtych czasach zasługiwał na kobietę taką jak Shannon.

Jednak tamte czasy już się skończyły i wątpił, czy kiedykolwiek odzyska dawną pozycję społeczną.

Tej nocy przybyły jeszcze trzy rodziny. Każda kobieta mogła długo opowiadać o przeżytych cierpieniach. Pochodziły wprawdzie z zupełnie odmiennych grup społecznych, ale ich przeżycia były podobne. Shannon po raz kolejny uświadomiła sobie, jak pożyteczne jest jej schronisko.

O godzinie dziewiątej miała już za sobą dłuższą rozmowę telefoniczną z kierownikiem szkoły zawodowej w Bridgewater, gdzie zadzwoniła, aby ktoś przyszedł naprawić klimatyzację w schronisku. Musiała również rozstrząsać głośną kłótnię między dziećmi Pat Delaney. Karen Naylor wstąpiła do schroniska, aby dowiedzieć się, czy któraś z kobiet jest zainteresowana wszczęciem postępowania sądowego przeciw mężowi, ale napotkała zdecydowany opór. Karen pracowała dla schroniska ochotniczo i często była równie jak Shannon sfrustrowa-

na niechęcią zmaltretowanych kobiet do wystąpienia z oskarżeniem wobec mężów.

- Widziałam twojego przyjaciela - powiedziała Karen, gdy wróciły do domu napić się kawy. - Zeskrobywał farbę z okna.

- Andrew bardzo lubi fizyczną pracę - oświadczyła Shannon bez namysłu.

- Prawnik, który lubi fizyczną pracę? Przyznasz, że to mało prawdopodobne.

- Cóż mogę powiedzieć? - Shannon uśmiechnęła się niewyraźnie. - To renesansowy człowiek.

- Czy to coś poważnego?

- Czemu zawdzięczam te pytania? - Shannon uniosła brwi.

- Już od dawna nie widziałam takiego zachowania.

- Karen odsunęła filiżankę i westchnęła. - Zapomniałam, jak to smakuje.

- Myślę, że nie chciał być nieuprzejmy.

- Może i nie, ale doskonale mu się udało.

- Sama nie wiem, jak cię mam przeproszać.

- To nie twoja wina, Shannon. - Karen poklepała ją po ramieniu. - Nie możesz zmienić całego świata, choćbyś nie wiem jak chciała.

- Robię, co mogę - uśmiechnęła się Shannon.

- Skoro już o tym mowa - Karen otworzyła terminarz - to mam czas o pierwszej. Może byś przyszła do biura podpisać dokumenty dotyczące twojej fundacji?

- spytała, mierząc ją uważnym spojrzeniem. - Mam nadzieję, że je przeczytałaś?

- Zaraz to zrobię.

- Będziesz o pierwszej?
- Obiecuję.

- Pani Wylie, chciałbym z panią porozmawiać.

Dakota wyrzała zza wielkiej sterty książek, za którą ukrywała się od rana.

- Słucham, doktorze Forsythe?
- Spóźniła się pani dziś do pracy piętnaście minut.

Wie pani, co myślę o spóźnieniach.

- Przykro mi, ale budzik nie zadzwonił.
- Wczoraj wyszła pani wcześniej do domu.
- Bolała mnie głowa - wyjaśniła po krótkim namyśle. Nie mogła sobie przypomnieć, co wczoraj powiedziała. Pamiętała tylko, że koniecznie chciała wyjść wcześniej, żeby porozmawiać z Andrew w cztery oczy.

- Nie mogę rozmawiać z panią, kiedy kryje się pani za tymi wszystkimi książkami - zniecierpliwiał się doktor Forsythe.

Dakota zdobyła się na pogodny, niedbały śmiech. Wstała z krzesła i otrzepała kurz z szerokiej spódnicy.

- Czemu pan sądzi, że się ukrywam? - spytała. - Kataloguję książki, to wszystko.

- Pani Payton przyjeżdża dziś do biblioteki, żeby przekazać swoją darowiznę. Chcę, żeby była pani świadkiem przy podpisywaniu dokumentów.

- O której? - Dakota zmarszczyła czoło.

- O trzeciej. - Doktor Forsythe zmierzył ją surowym spojrzeniem. To nie wróżyło nic dobrego. - Mam nadzieję, że to nie koliduje z pani planami, pani Wylie.

Owszem, ale tym razem Dakota wolała o tym nie mówić.

- Jestem umówiona na lunch, ale postaram się wrócić na trzecią.

- Nie jest pani obowiązkowym pracownikiem, pani Wylie - upomniał ją marszcząc brwi. - Na pani miejscu zastanowiłbym się nad swoim postępowaniem. W listopadzie czeka panią ocena. Nie chciałbym być zmuszony do radykalnych kroków.

Czegóż innego można się było spodziewać po człowieku, którego aura ma kolor spłowiałego materaca? Gdy Forsythe wreszcie poszedł do swojego gabinetu, Dakota znów schowała się za stertą książek. Oczywiście, ta rozmowa nie powinna była jej zaskoczyć. Ostatniej nocy przyśniło się jej, że doktor Forsythe będzie próbował przeszkadzać, no i wszystko się potwierdziło.

Wobec tego powinny się potwierdzić jej inne sny. Zamknęła oczy i spróbowała sobie wyobrazić książkę, której szukała. To był cienki, niewielki tom w granatowej okładce, bez obwoluty. Brakowało karty tytułowej i połowy strony jedenastej, ale nazwisko Andrew McVie pojawiało się w drugim zdaniu pierwszego akapitu na 127 stronie.

Dakota miała wrażenie, że widzi tę książkę i czuje jej zapach, a jednak nie mogła jej znaleźć. Z trudem panowała nad sobą. Rzadko się zdarza znaleźć dowód, że chłopak przyjaciółki przywędrował z innej epoki. Nawet dla medium jest to nie lada osiągnięcie. Dakota nerwowo czytała tytuły książek: „Apteki w kolonialnym New

Jersey", „Artyści czasów wojny o niepodległość", „Deklaracja Niepodległości: wezwanie do broni", „Zapomniani bohaterowie"...

- „Zapomniani bohaterowie" - szepnęła i szybkim ruchem zdjęła książkę z półki. Gdy tylko jej dotknęła, poczuła nerwowe podniecenie. Przycisnęła tom do piersi. Nie miała wątpliwości, że znalazła to, czego szukała. Nie musiała nawet zaglądać na 127 stronę. Miała wrażenie, że została podłączona do sieci wysokiego napięcia.

Dakota nie potrafiła jednak zrozumieć, dlaczego Andrew McVie tak silnie na nią oddziałuje. Wydawał się pod każdym względem przeciętnym człowiekiem. Przeciętna uroda, przeciętny wzrost, przeciętna karnacja. W normalnych okolicznościach nie spojrzalaby na niego dwa razy. A jednak gdy dotknęła jego ręki, przeżyła dokładnie to samo co teraz.

Głęboko odetchnęła i otworzyła książkę na stronie 127. Pierwszy akapit, drugie zdanie. „Zimą 1779-80 roku Andrew McVie, bostonski prawnik, który zajmował się szpiegostwem, dokonał wyczynu nie mającego sobie równych w dotychczasowej historii wojny o niepodległość. W zuchwałej, samotnej wyprawie przeciw wojskom brytyjskim w pobliżu Jockey Hollow, McVie uratował życie dwóch najważniejszych członków siatki szpiegowskiej".

- Niech to diabli - mruknęła Dakota. Dół strony był urwany, ale to nie miało znaczenia. I tak już znała prawdę.

Shannon dotarła do biura Karen punktualnie o pierwszej. Pół godziny później wszystkie dokumenty były już podpisane, opieczętowne i poświadczane.

- No, dobrze - powiedziała Shannon, zakręcając pióro. - Chciałabym teraz uzyskać jasną odpowiedź. Jeśli nagle przyjdzie mi ochota kupić sarong, przenieść się na Borneo i jeść wyłącznie orzechy kokosowe, to schroniska i tak przetrwają, prawda?

- Nie tylko przetrwają - zapewniła ją Karen, podając dokumenty sekretarce do skopiowania - ale będą w świetnej kondycji. Zrobiłaś nadzwyczajną rzecz, Shannon. Nie jestem pewna, czy w pełni to rozumiesz.

- To przecież tylko pieniądze. - Shannon wzruszyła ramionami. - Ile brylantów może nosić jedna kobieta? Są pewne granice.

- Nie, moje dziecko - pokręciła głową Karen. - Wierz mi, że takiej granicy nie ma. Jesteś wyjątkiem.

Shannon machnęła lekceważąco ręką. Nie zwracała uwagi na komplementy.

- Jak wygląda teraz sytuacja z rezerwowymi schroniskami? Na ostatnim balu dobroczynnym słyszałam mnóstwo obietnic, ale nie jestem pewna, czy cokolwiek z tego wyszło.

Shannon rozpoczęła budowę nowych schronisk w Gloucester, Monmouth, Middlesex i Warren, ale to nie wystarczało. Z radością patrzyła, jak rozwija się jej przedsięwzięcie, ale związane z tym potrzeby były nieustającym źródłem zmartwień.

Karen odczytała długą listę darczyńców. Tylko nie-

które z tych nazwisk pojawiały się w rubrykach towarzyskich miejscowych gazet.

- Rozumiesz, co chcę powiedzieć? - spytała, opierając się wygodnie w fotelu. - Nie warto zawracać sobie głowy bogaczami w wielkich domach.

- Jeszcze się przekonamy podczas najbliższego bankietu.

- Zamierzasz ich przycisnąć? - uśmiechnęła się Karen.

- Jak dobrze naoliwiona, precyzyjna prasa - odpowiedziała Shannon.

- Chyba wiesz, że nie musisz tego robić. Właśnie w tym celu powołaliśmy fundację.

- Fundacji łatwo odmówić - powiedziała Shannon.

- Znacznie trudniej powiedzieć nie w trakcie bezpośredniej rozmowy.

- Ciekawa jestem, dlaczego to wszystko robisz? Niedawno zastanawiałam się nad tym i zdałam sobie sprawę, jak mało o tobie wiem.

- Ktoś musi to robić.

- To nie jest żadne wyjaśnienie - nalegała Karen.
- Masz jakieś osobiste pobudki.

- Czytałaś za wiele kryminałów, Karen - uśmiechnęła się Shannon. - Czasami rzeczy wistość jest taka, jak się wydaje.

- Nie w twoim przypadku - odparła Karen. - Ty coś ukrywasz.

- Pójdę już do domu. - Shannon uśmiechnęła się i wstała.

- Czy to poważne? To, co jest między tobą a Andrew McVie? - spytała Karen z dziwnym wyrazem twarzy.

- Dlaczego myślisz, że w ogóle coś między nami jest?

- Mieszka z tobą. O ile wiem, dotąd zawsze mieszkałaś sama.

- Potrzebował dachu nad głową.

- Od kiedy to prowadzisz schronisko dla zbłąkanych Szkotów?

Shannon westchnęła.

- Wiem, że są z nim pewne problemy, ale to przyzwyczajony człowiek.

- Jestem tego pewna - powiedziała Karen, lecz nie wydawała się przekonana.

- Andrew musi po prostu nauczyć się pewnych rzeczy o stosunkach między ludźmi różnych ras.

- Czy nie dotyczy to nas wszystkich? - spytała Karen oschle. - Ilekroć myślę, że nastąpił już pewien postęp, natykam się na kogoś takiego jak on i uświadamiam sobie, jaką drogę mamy jeszcze do pokonania.

- Będę nad nim pracować - zapowiedziała Shannon, sięgając po torebkę i teczkę z dokumentami.

Karen wstała zza biurka i odprowadziła ją do drzwi.

- Uważaj na siebie - powiedziała, serdecznie całując ją na pożegnanie. - Jesteś dla mnie źródłem nadziei, że kiedyś będzie lepiej.

Andrew otworzył drzwi białej szafki w kuchni i przez chwilę wpatrywał się oszołomiony na nagromadzoną tam żywność. Zimne mleko w wysokim, niebieskim pudełku, kostki masła owinięte w lśniący papier, jajka w specjalnym pojemniku, w którym spoczywały niczym

w gnieździe. Na szklanym talerzu leżały dwa ogromne befsztyki, owinięte w coś miękkiego i przezroczystego. Andrew pochylił się i pociągnął za pojemnik z napisem „warzywa”. W środku znalazł ich tyle, że starczyłoby na wyżywienie całej armii.

Shannon powiedziała, że może częstować się wszystkim, na co ma ochotę, ale w obliczu takiej obfitości Andrew nie potrafił się zdecydować. Prawdę mówiąc, z przyjemnością zamieniłby całą zawartość szafki na kufel piwa, bochenek chleba i barani udziec.

Gdzieś w tym domu musi być chleb, pomyślał. W jego świecie nawet najbiedniejszym rodzinom nie brakowało chleba. W głębi lodówki, za dużą metalową puszką z napisem V-8, znalazł wreszcie torbę z pieczywem.

Gąbczasty, słodki chleb niezbyt mu smakował, ale przynajmniej miał czym napełnić żołądek. Zjadł pięć kromek i popił zimnym, wodnistym mlekiem. Miał właśnie wrócić do pracy, gdy zadzwonił telefon.

Andrew spróbował sobie przypomnieć, co robiła w takich przypadkach Shannon, ale nim się ruszył, telefon przestał dzwonić i w pokoju rozległ się jej głos.

- Przykro mi, ale nie mogę w tej chwili podejść do telefonu. Proszę zostawić swoje nazwisko i numer telefonu, a z całą pewnością oddzwonię. Dziękuję.

Andrew chciał coś powiedzieć, ale z aparatu dobiegł jakiś pisk, a potem rozległ się kobiecy głos.

- Mówi Terri ze schroniska. Godzinę temu dzieci poszły na spacer po lesie i jeszcze nie wróciły. Czy mogłabyś przyjechać i pomóc nam ich szukać? Przepra-

szam za kłopot, ale zupełnie nie wiemy, co robić. Bardzo dziękuję.

- Ja je znajdę - rzucił głośno Andrew. Odpowiedziało mu milczenie. Nie miał wątpliwości, że znajdzie dzieci. Przecież poprzedniej nocy bez trudu dotarł do domu przez las. Teraz, w pełnym świetle, nie powinien mieć żadnych trudności.

Kilka minut później wchodził już do lasu koło olszyny. Doskonale pamiętał rosnącą w odległości kilkuset metrów grupę sosen oraz zwęglony przez uderzenie pioruna modrzew. Bez trudu znalazł miejsce, gdzie wylądował balon. Przystanął tam na chwilę i uważnie rozejrzał się wokół.

Zwrócił się w stronę schroniska i uważnie przyjrzał się ściółce w poszukiwaniu śladów dzieci. Nie zajęło mu to wiele czasu. Z łatwością dostrzegł zdeptane liście i skrawek pomarańczowego papieru z dziwnym napisem „Baton”. Papierek słodko pachniał i Andrew odgadł, że to pewnie któreś z dzieci rzuciło go na ziemię.

Prawdę mówiąc, to było łatwe zadanie. Andrew dziwił się trochę, dlaczego matki ze schroniska same nie potrafiły znaleźć dzieci. Wokół widać było przecież mnóstwo śladów. Odcisk buta, zdeptana trawa, miedziana moneta na ścieżce. Gdy dosłyszał wysokie, dziecinne głosy, przyspieszył kroku. Już po chwili dotarł na łąkę i ujrzał całą czwórkę. Dzieci siedziały z ponurymi minami na zwałonym pniu sosny.

- Och - mruknął niechętnie jeden z chłopców. - Przysłali po nas tego faceta, który tak śmiesznie mówi.

- Wydawałoby się, że powinniście być zadowoleni

z mojego widoku - powiedział Andre w, z trudem zachowując spokój w obliczu tak bezczelnego zachowania.

- Jesteś gliniarzem? - spytała jedyna dziewczyna w całej grupie.

- Jestem prawnikiem - wyjaśnił Andrew.

Dzieci spojrzały po sobie i parsknęły śmiechem. Niezbyt mu się to spodobało. W ich śmiechu brzmiała jakaś nieprzyjemna, agresywna nuta.

- Co byś powiedział, jak byś zobaczył prawnika na dnie oceanu? - spytał najstarszy chłopiec patrząc mu w oczy.

- Dobry początek! - skomentował czarnoskóry chłopak, siedzący przy tamtym. Obaj roześmiali się i zaklaskali.

- Uważacie śmierć prawnika za temat do śmiechu? - spytał Andrew, zastanawiając się nad charakterami tych dzieci.

- Nie bądź taki drętwy - odezwała się dziewczyna.
- To tylko żart.

- Myślałem, że w żartach chodzi o powiedzenie czegoś śmiesznego.

- A to nie było śmieszne? - Czarnoskóry chłopak zmarszczył się gniewnie.

- Nie - zaprzeczył Andrew. - W tym nie było nic śmiesznego. - Czuł, że sztywnieje.

- Przeczytałem to w książce - odezwał się pierwszy żartowniś. - Tam było chyba ze sto kawałów o prawnikach.

- Czemu właściwie prawnicy budzą taką złość? - spytał Andrew.

Dzieci spojrzwały po sobie, a później na niego.

- Prawnicy są chciwi - powiedziała dziewczyna.

- To źli ludzie - dodał jeden z chłopców. - Mój wuj jest prawnikiem - oświadczył najstarszy, ale pozostałe dzieci znów nieprzyjemnie się roześmiały.

- Dobry prawnik stara się utrzymać porządek w cywilizowanym świecie - powiedział Andrew i usiadł na pieńku.

- Tom Cruise grał prawnika w „Firmie” - stwierdziła dziewczyna.

- Tom Cruise to frajer - oświadczył czarnoskóry. Pozostali zdecydowanie go poparli.

- Wcale nie - zaprotestowała dziewczyna.

- Wasze mamy się niepokoją - wtrącił Andrew i wstał. Ta rozmowa była dlań zupełnie niezrozumiała.

- Pora wracać i je uspokoić.

- Tam jest nudno - powiedział najstarszy. - Mają tylko jeden telewizor.

- Nie ma nawet Nintendo - poskarżył się czarny chłopiec.

- Chciałam wziąć moją Barbie - odezwała się dziewczynka, którą pozostali zwali Angełą - ale mamie tak się spieszyło, że nie zdążyłam jej zapakować.

Mimo to dzieci posłusznie ruszyły za nim w stronę schroniska. Andrew nie wiedział, co to takiego Nintendo i Barbie, ale potrafił odgadnąć, kiedy ktoś jest przerażony. Jego zdaniem, pod maską chamstwa i wesołości, dzieci skrywały strach.

Pomyślał o Davidzie. Jak czułby się jego syn, gdyby codziennie był świadkiem przemocy w stosunkach mię-

dzy rodzicami? Andrew nie mógł sobie wyobrazić takiego ciężaru na kruchych ramionach dziecka.

- Jak nas tu znalazłeś? - spytała Angela. Musiała niemal biec, żeby za nim nadążyć. - Derek i Charlie wyciągnęli nas do lasu i zabłądziliśmy. Już myśleliśmy, że nigdy nie wrócimy do domu.

- To nie było trudne - powiedział Andrew. - Trzeba tylko umieć szukać śladów.

- Tu wszystko wygląda tak samo - odezwał się Derek, ten czarny chłopak. - Wszędzie rosną drzewa.

- Ale każde jest inne - roześmiał się Andrew. - Sosny, świerki, olchy, brzozy...

- Poznają choinki na Boże Narodzenie - powiedział Derek - ale pozostałe wyglądają tak samo.

Choinka na Boże Narodzenie? Andrew nie mógł zrozumieć, co ma wspólnego choinka z narodzinami Chrystusa.

Charlie, najstarszy, pozostał nieco z tyłu. Szedł razem ze Scottem, najmłodszym z całej czwórki.

- Kogo to wszystko obchodzi? - spytał wojowniczym tonem. - Tylko harcerze uczą się takich bzdur.

- Gdybyś potrafił znaleźć drogę w lesie, nie bałbyś się, że zabłądzisz - odrzekł Andrew.

- Wcale się nie bałem.

- Owszem. - Andrew zachował spokój.

- Bały się tylko te szczeniaki - Upierał się Charlie.
- Ja nie.

- A właśnie, że też się bałeś - odezwał się Scott.

- Nie bałeś się, tylko chciałeś do mamy - zakpiła Angela.

- To nic dziwnego, że ktoś się boi, kiedy nie wie, jak trafić do domu. - Andrew przerwał dalszą kłótnię. - Im ktoś lepiej zna okolicę, tym mniej się boi.

- Ja boję się ciemności - zwierzyła się Angela. Spojrzała na Andrew i uśmiechnęła się do niego. - Ostatniej nocy tata zbił mnie pasem, bo zobaczył, że śpię przy świetle.

Andrew zauważył na jej ramieniu długą, siną pręgę, ginącą pod krótkim rękawem bluzki. Oczami wyobraźni zobaczył małą dziewczynkę, kulącą się pod razami ojca. Cóż to za świat, w którym rodzice maltretują dzieci? Zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem korzenie zła nie sięgają jego czasów.

Myślał również, czy może coś zrobić, aby uratować przed biciem takie dziewczynki jak Angie lub kobiety takie jak Shannon.

Mała Angela popatrzyła na niego i po chwili namysłu chwyciła go za rękę. Na szczęście szli w milczeniu. Wzruszenie tak ścisnęło go za gardło, że z pewnością nie zdołałby się odezwać.

Jutro i na zawsze

14

Gdy Shannon wróciła do domu z biura Karen, czuła się znużona i rozstrojona. Nie żałowała bynajmniej, że podpisała dokumenty gwarantujące przyszłość schroniska. Świadomość, że jej majątek posłuży szlachetnemu celowi, była dla niej źródłem prawdziwego zadowolenia.

Tu chodziło o coś znacznie bardziej elementarnego, zwykłego. Shannon wyjątkowo silnie odczuwała upływ czasu. Miała wrażenie, że w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin przeżyła całe życie. Wydawało się jej, że wszystko, co ostatnio zrobiła i powiedziała, miało większe znaczenie niż cała reszta jej życia.

Przede wszystkim, choć było to sprzeczne z logiką, jeszcze niedawno miała dojmujące poczucie bliskości z Andrew. Chwilami sądziła, że jakaś dziwna więź łączy ich dusze. Potem, zupełnie nagle, przestała słyszeć w sercu jego głos. Czy to właśnie miało tak wyglądać? - zastanawiała się w myślach. Czy mieli stopniowo oddalać się od siebie, aż wreszcie Andrew odejdzie na zawsze i zacznie własne życie?

Ciężko wzdychając obeszła dom, żeby wejść do środ-

ka tylnymi drzwiami. Już kładła rękę na klamce, gdy jakiś ruch zwrócił jej uwagę. Obejrzała się przez ramię i w rogu podwórka zobaczyła go. Stał po przeciwnej stronie basenu i rąbał drzewo. W pewnej odległości od niego siedziała czwórka dzieci ze schroniska. Jednak Shannon widziała tylko jego.

Stała nieruchomo, jakby zmieniona w słup soli. Był absolutnie wspaniały. Shannon nie mogła myśleć o niczym innym. Żadne inne słowo nie mogło lepiej opisać jego wyglądu, gdy, obnażony do pasa, rąbał drewno do kominka. Ukryła się w cieniu wierzby i stamtąd obserwowała, jak przy każdym zamachu siekierą poruszają się mięśnie jego pleców i ramion.

To nie jest złudzenie, pomyślała, podczas gdy głęboko w jej sercu odezwała się nagła tęsknota. Czuła, jak w środku jej ciała powstaje gorąca fala. Zacisnęła powieki.

Nigdy nie spodziewała się, że dane jej będzie coś takiego przeżyć. A jednak... Właśnie poznawała odwieczną, magiczną siłę, nakazującą połączenie się z innym człowiekiem, poddanie się temu, co niesie przyszłość. Albo - w tym przypadku - przeszłość. Shannon uśmiechnęła się lekko.

Musi być jakiś sposób, żebyśmy zostali razem, pomyślała, nie spuszczać z niego wzroku. Była bogata, miała wysoką pozycję społeczną i wpływy. Jeśli tylko Andrew zgodzi się na to, mogłaby mu stworzyć warunki, o jakich nigdy nawet nie marzył.

Jej rozmyślania przerwał niespodziewany pisk hamulców. Tylko żeby to nie był kolejny alarm, pomyślała

idąc szybko w kierunku podjazdu, aby sprawdzić, kto przyjechał. Czasami mijało kilka tygodni, podczas których schronisko stało puste, po czym nagle zaczynało się piekło, tak jak ostatniej nocy.

Gdy minęła róg domu, zobaczyła, jak Dakota wyskakuje ze swego rozklekotanego mustanga z 1972 roku. W ręce trzymała jakąś książkę.

- Gdzie on jest? - zawołała na widok Shannon.

- Na podwórku.

- Doskonale - ucieszyła się Dakota. - To bardzo ważne. Tym razem nie mam czasu na omdlenia.

- Bardzo zabawne - skrzywiła się Shannon, jednak słowa Dakoty zaniepokoiły ją trochę.

- Porozmawiajmy w domu - zaproponowała Dakota, podejrzliwie rozglądając się wokół. - Wolałabym, żeby nikt nas nie słyszał.

Shannon wpuściła ją frontowymi drzwiami. Poszły do kuchni.

- No, co to za książka? - spytała, opierając się o blat.

- Strona 127 - odpowiedziała krótko Dakota, podając jej tom. - Pierwszy akapit, drugie zdanie.

Shannon spojrzała na grzbiet tomu. „Zapomniani bohaterowie”. Miała nadzieję, że Dakota nie zauważy drżenia jej rąk.

- Otwórz - nalegała Dakota, niezwykle podekscytowana. - Tam jest coś, o czym powinnaś wiedzieć.

- Może to kolejna z twoich książek o człowieku, który uratował świat za pomocą pąka kwiatu? - zakpiła Shannon. W duszy wiedziała, że to z pewnością dotyczy Andrew.

- Przychodzę do ciebie z informacjami, które mogą zmienić twoje życie, a ty sobie żartujesz. - Dakota wydawała się urażona.

Shannon już miała otworzyć książkę, ale nagle zmieniła zamiar i podała ją przyjaciółce.

- Nie chcę tego czytać.

- On jest z przeszłości - powiedziała Dakota, nie biorąc książki do ręki.

- To absurd. - Shannon położyła książkę na stole przed Dakotą.

- Strona 127. - Dakota zerwała się z krzesła i zaczęła podskakiwać w miejscu.

- Nie wiem, jak ci mam to powiedzieć, ale ludzie nie mogą podróżować w czasie. To zdarza się tylko w filmach.

- Zdarza się też naprawdę - uroczyście oświadczyła Dakota. - Po prostu o tym nie wiemy.

- Aha - zaśmiała się Shannon. - A w supersamach pracują Marsjanie.

- Po pierwsze, nic nie wiesz o supersamach. - Dakota pogroziła jej palcem. - Po drugie, jeśli czegoś nie rozumiesz, to jeszcze nie powód, żebyś to wyśmiewała.

- Siadaj. - Shannon wskazała jej krzesło i postanowiła grać rolę dobrej gospodyni. - Strasznie dziś gorąco. Napijesz się mrożonej herbaty?

- Sprytna jesteś, ale nic z tego.

- Nie dasz mi więc spokoju?

- W żadnym wypadku.

- I tak wiem, co tam znalazłaś- stwierdziła Shannon biorąc do ręki książkę i przerzucając strony. - Jakaś zwa-

riowana aluzja do człowieka ze szkockim akcentem, który... - Nagle urwała, odetchnęła głęboko i spojrzała na pierwszy akapit na 127 stronie.

„Zimą 1779-80 Andrew McVie, bostoński prawnik, który zajmował się szpiegostwem, dokonał wyczynu nie mającego sobie równych w dotychczasowej historii wojny o niepodległość. W zuchwałej, samotnej wyprawie przeciw wojskom brytyjskim w pobliżu Jockey Hollow, McVie uratował życie dwóch najważniejszych członków siatki szpiegowskiej”.

- Shannon? - Dakota dotknęła jej ramienia. - Dobrze się czujesz?

- Nie - szepnęła Shannon, osuwając się na podłogę.

- Chyba nie. - Wprawdzie wierzyła, że Andrew przybył tu z osiemnastego wieku, ale teraz miała przed sobą dowód. A to pewna różnica.

- Czy zaraz zemdlejesz? - spytała Dakota.

- Ja nie mdleję. To twoja specjalność.

- Twoja aura wyraźnie przybladła. - Dakota przykucnęła obok Shannon.

- Daj spokój z moją aurą.

- Wiedziałaś o tym, prawda?

- O aurze?

- Nie, o Andrew McVie. Powiedział ci, może nie?

- Andrew McVie to nie takie znowu rzadkie nazwisko.

- Shannon odzyskała zdolność myślenia. - Z pewnością nawet w tamtych czasach żyło wielu ludzi o tym nazwisku.

- Spójrz na ilustrację na następnej stronie. Jeśli to nie ten McVie, to gotowa jestem zmienić się w moją kryształową kulę.

Shannon niespokojnie przewróciła kartkę i ujrzała re-produkcję osiemnastowiecznego obrazu zatytułowanego „Bitwa pod Princeton”.

- Nie widzę tu nic interesującego.

- Tutaj. - Dakota wskazała palcem postać w rogu obrazu. - To on.

Shannon spojrzała na wskazane miejsce. Dakota miała rację. Ta sama mocno zaciśnięta szczęka i muskularna sylwetka.

- Podobno każdy ma swojego sobowtóra.

- Przeczytałaś podpis pod ilustracją? - spytała Dakota. - Podobno jego nazwisko pozostawało tajemnicą do końca wojny, dzięki czemu mógł kontynuować działalność i dokonywać Bóg wie jakich wyczynów.

Shannon poczuła, że przestaje myśleć. Zamiast mózgu miała w głowie galarete.

- Wiesz, właśnie dlatego zemdlałam - ciągnęła Dakota. - Ten facet ma niewiarygodnie silne pole. Zupełnie tak, jakby dźwigał na barkach dwa wieki.

- Nie wolno ci nikomu o tym mówić. - Shannon chwyciła ją za rękę. Przestała już udawać, że nic nie wie o swym nowym przyjacielu.

- No wiesz! - oburzyła się Dakota. - Co ty sobie o mnie myślisz?

- Tylko nie mów tym swoim kumplom od parapsychologii ani doktorowi Forsythowi.

- Skoro już o tym mowa, to co powiesz o „National Enquirer”? Zapłaciliby mi chyba za to parę tysięcy, jak myślisz? - Dakota uniosła głowę. - Obrażasz mnie, Shannon. Nie jestem taką oportunistką.

- Wiem, że nie, ale to bardzo ważne. - Shannon oparła głowę na dłoni. - Jeśli prasa się o tym dowie, będzie to dla niego wyrok śmierci. Pożrą go żywcem.

- Zgadzam się z tobą. - Dakota przysunęła głowę do ucha Shannon i spytała szeptem: - Powiedz mi, jak on się tu pojawił?

- Pamiętasz ten balon, który wczoraj schował do garażu?

Dakota kiwnęła głową.

- Przyleciał nim.

- Nabierasz mnie.

- Nie, wcale nie. Wylądował w lesie podczas festynu, dokładnie tak, jak ci powiedziałam.

- Ależ to niemożliwe. - Dakota zmarszczyła brwi. - Pierwszy lot balonem na gorące powietrze odbył się w 1783 roku... i to było we Francji, albo gdzieś w Europie.

- Nie mogę ci tego wyjaśnić. Wiem tyle, co ci powiedziałam. - Shannon przez chwilę się wahała, po czym postanowiła wyznać jej wszystko. - Andrew mówił, że zaprzyjaźnił się z jakąś parą, która odbyła podróż w czasie, tyle że w przeszłość.

- Jak się nazywali?

- Nie pamiętam. Radcliffe albo Rutledge. Wydaje mi się, że ona miała na imię Emilie.

- To niesamowite! - Dakota chwyciła Shannon za rękę i spróbowała postawić ją na nogi. - Chodź, pokażemy mu książkę. Umieram z ciekawości, jak zareaguje. Ten człowiek to żywa historia...

- Nie!

- Nie? Musisz mu o tym powiedzieć. Czy nie chciałabyś zobaczyć swojego nazwiska w jakiejś książce historycznej i przekonać się, że wpłynęłaś na bieg zdarzeń?

Shannon nie dała się przekonać.

- Już rozumiem - odgadła Dakota. - On nie umie czytać, tak? Nie martw się, nauczę go. Jeden uczeń więcej nie zrobi mi różnicy.

- On był... To znaczy, on jest prawnikiem. Potrafi czytać.

- To dlaczego nie chcesz pokazać mu książki?

- Dlatego. - Shannon wskazała palcem datę.

- Zima 1779-80 - przeczytała Dakota. - Cóż z tego?

- Andrew wyruszył w podróż w sierpniu 1776 roku - wyjaśniła Shannon.

- Czas to pojęcie względne - powiedziała po chwili Dakota.

- Bez przesady - warknęła Shannon. - Oprócz tego Andrew chyba pamiętałby, że dokonał jakichś heroicznych czynów wśród zimowych zamieci w środku wojny?

- Ale tu jest to napisane czarno na białym - odrzekła Dakota. - Jak to wyjaśnisz?

- To ty jesteś medium. Miałam nadzieję, że jakoś to wytłumaczysz.

- A może on ma powrócić do swoich czasów?

Shannon poczuła w sercu ostry ból.

- Daj mi tę książkę - zażądała. Wyrwała ją z rąk Dakoty i pospieszyła do biblioteki.

- Co ty wyprawiasz? - Dakota pobiegła za nią. - Przecież ta książka należy do muzeum.

- Już nie.

- Shannon! I tak mam dość kłopotów z Forsythem. Nie powinnam nawet wynosić tej książki z biblioteki. Forsythe już myśli, że się obijam. Kiedy dowie się, że brakuje książki, wylecę z pracy.

- Zapłacę za nią. - Shannon skierowała się do przeciwległego rogu biblioteki i wspięła się na drabinę. - „Żywoty” Plutarcha. To odpowiednie miejsce. - Wcisnęła „Zapomnianych bohaterów” za wspomniany tom. Sądząc po grubej warstwie kurzu, od lat nikt nie sięgnął po życiorysy bohaterów antyku. Tym razem Shannon była rada, że Karl i Mildred nie wykonują swoich obowiązków tak, jak powinni.

Zeszła z drabiny zadowolona. Dopiero wyraz twarzy Dakoty przypomniał jej o rzeczywistości.

- Nie możesz mi tego zrobić - jęknęła Dakota.

- Wystawię ci czek - rzekła Shannon wyzywającym tonem. - Nawet dwa. Kupię ci dom na Bermudach. Mogę zrobić wszystko, byłeś tylko siedział cicho.

- Wyglądasz inaczej niż zwykle.

- Nie czuję się tak jak zwykle.

- Twoja aura znów się zmienia - zauważyła Dakota.

To dlatego, że robię coś dla siebie, pomyślała Shannon. Czekałam całe życie na kogoś takiego jak on i nie mogę teraz dopuścić, by odszedł.

- Nie powiesz mu, prawda?

- Nie będę musiała - odrzekła Dakota, kładąc rękę na ramieniu przyjaciółki. - To nie może trwać długo, Shannon. Jego przeznaczenie jest inne. Nie tu jest jego przyszłość.

- Mylisz się. - Shannon odsunęła się od przyjaciółki.
- Sami decydujemy o naszym przeznaczeniu. On chce żyć tutaj. To jego wybór, Dakota, nie mój.

- Nic z tego nie będzie. - Scott spojrział na Andrew i pokręcił głową. - Potrzebny jest elektryczny śrubokręt.

- Będzie, będzie - mruknął Andrew, przyglądając się rynnom. Nie miał pojęcia, co to takiego elektryczny śrubokręt, ale nie zamierzał o to pytać dzieci, które bacznie śledziły każdy jego ruch. Trzydziestoparoletni mężczyzna nie powinien prosić dziecka o radę.

Próby wciągnięcia ich do pracy fizycznej spełzły na razie na niczym. Andrew był zdziwiony. Dzieci wołały siedzieć i patrzeć, tak jakby jego celem było dostarczenie im rozrywki. Przypomniał sobie urządzenie z małym okienkiem do oglądania ruchomych obrazów. Dotychczas niezbyt go ono pociągało.

- Gdzie masz okulary ochronne? - spytał Charlie, najstarszy z całej czwórki. - W telewizji mówili, że trzeba je zawsze nosić.

- Nic się nie znają - sprzeciwiła się Angela. - Mój kuzyn ma w piwnicy piłę elektryczną i nigdy nie widziałam, żeby nosił okulary.

- To dlatego, że jest idiotą.

- Wcale nie.

- A właśnie, że tak.

- Nie.

- Chryste! - Andrew podniósł głos. - Skończcie z tą nieustanną kłótnią i lepiej mi pomóżcie.

Cała czwórka spojrzała na niego. Wszyscy otworzyli

usta ze zdziwienia, ale nikt się nie ruszył. Andrew wskazał palcem Charliego.

- Ty potrzymasz drabinę, a ty - wskazał Angelę - przyniesiesz gwoździe. Pozostali niech ułożą drzewo w sagi.

- Nie wiem, jak się układa drzewo - poskarżył się Derek.

- To proste - stwierdził Andrew.

- Czy w tym drzewie nie ma pajaków? - spytał niepokojnie chłopiec.

- Nie mam absolutnej pewności, ale to świeżo ścięte drewno. Pajaki chyba nie zdążyły go znaleźć.

- No, dobra - zgodził się Derek. - Zrobię to.

- Właściwa decyzja - odrzekł Andrew, przygryzając wargę, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Sam również nie przepadał za pajakami.

Derek wydawał mu się bardzo sympatyczny. Kolor jego skóry nie miał dla Andrew żadnego znaczenia.

Jak jednak wyglądałaby sytuacja, gdyby Derek był dorosły i rywalizował z nim o miejsce w świecie? Jak wtedy by go traktował?

Zaczął się zastanawiać nad swoim stosunkiem do Karen, tej przyjaciółki Shannon. Czy zachował się wobec niej w taki, a nie inny sposób tylko dlatego, że była czarnoskóra kobietą, czy też zadziałał tu inny czynnik, mianowicie poczucie, że to on nie spełnia kryteriów sukcesu przyjętych w tym społeczeństwie? Andrew wołał nie rozważać konsekwencji tej hipotezy.

Dzieci zabrały się do roboty z energią, choć bez większego entuzjazmu. Andrew był szczerze zdziwiony ich

wyglądem. Chłopcy mieli na sobie workowate spodnie sięgające do pół łydki i ogromne buty z luźno wiszącymi sznurowadłami. Na głowach nosili dziwne czapki z daszkiem, odwróconym do tyłu. Angela miała na sobie krótkie, zielone spodnie i koszulę z krótkimi rękawami, stanowczo na nią za dużą.

Choć z jednej strony dziwił go ich wygląd, to z drugiej zauważył, że w istocie w ciągu tych dwustu lat niewiele się zmieniło w zachowaniu dzieci. W dalszym ciągu właściwie reagowały na zdecydowanego przywódcę i dyscyplinę.

- Czy tak dobrze? - zawołał Derek. Taszczył właśnie kolejny pieniek. W końcu podwórka widać już było niewielki sag.

- Jak najbardziej - odrzekł Andrew, wchodząc na drabinę.

- Zabawnie mówisz - odezwał się Charlie. - Jesteś Anglikiem?

- Urodziłem się w Bostonie. - Andrew nie pamiętał, by jako dziecko czuł się równie swobodnie w obecności dorosłych, jak te dzieci. Nigdy by sam nie zaczął rozmowy z mężczyzną, który mógłby być jego ojcem.

- Dziwnie mówicie w Bostonie.

- Dziwnie mówicie w New Jersey - odparł Andrew, sięgając po gwoździe.

- Nie, my mówimy normalnie.

- To kwestia perspektywy.

- Co takiego? - wtrąciła Angela.

- Perspektywa to sposób patrzenia na rzeczy - wyjaśnił Andrew. Zauważył, że Derek próbuje wziąć dwa

pieńki na raz. - Weź jeden - krzyknął do niego. - Lepiej iść dwa razy niż tak się męczyć.

Derek kiwnął głową i posłuchał rady. Andrew pomyślał o Davidzie. Jego syn był bardzo podobny do Dereka, tak samo jak on chętnie słuchał poleceń.

Zawsze potrzebował aprobaty.

I na tym polega problem, pomyślał. Spędzili razem tak mało czasu, tylko sześć lat. Co gorsza, większą część tego okresu Andrew zmarnował, goniąc za pieniędzmi. Często nie widywał syna przez kilka tygodni. Gdy wreszcie mieli okazję porozmawiać, często nie mógł się nadziwić, jak bardzo syn się zmienił.

Poczuł w oczach łzy i kilkakrotnie szybko zamrugał. Potrafił dokonać niemożliwej podróży w czasie, ale nigdy nie znalazł wolnej chwili, aby okazać synowi, że go kocha i jest z niego dumny.

- Bardzoście mi pomogli - powiedział do dzieci. - Serdecznie wam dziękuję.

- Nie ma za co - odpowiedział chłopak trzymający drabinę. - W tamtym miejscu jest trochę krzywo. Będziesz musiał poprawić.

Andrew przyjrzał się rynnie.

- Masz rację - powiedział.

- Myślałem, że wolałbyś to wiedzieć - uśmiechnął się chłopak.

- Zawsze lepiej jest wiedzieć - odpowiedział Andrew i zabrał się do wyciągania gwoździ.

- Nie o wszystkim - westchnął chłopiec. - Mama mówi, że to, o czym się nie wie, nie może człowieka zranić.

- Twoja mama się myli - powiedział z przekonaniem Andrew, myśląc o małym chłopcu, który pozostał w jego sercu.

Właśnie to, o czym człowiek nie wie, może go zranić najboleśniej.

Jutro i na zawsze

15

Dakota zabrała dzieci do schroniska kilka minut przed piątą. Shannon zawsze podziwiała talent, z jakim przyjaciółka nawiązywała kontakt z dziećmi nie traktując ich z góry, co było szczególnie trudne w stosunkach z dziećmi z rozbitych rodzin. Wiedziała, że jeszcze tego wieczoru Dakota nie tylko ustali umiejętności dzieci w zakresie czytania, ale również zdobędzie ich serca.

Przez parę minut Shannon błądziła bez celu po domu. Włączyła telewizor, aby posłuchać dziennika, ale zabrakło jej cierpliwości. Nie mogła skoncentrować się na gazecie i nie miała ochoty słuchać muzyki. Przez cały czas myślała o książce ukrytej w bibliotece. Jak mogłaby myśleć o czymś innym, podczas gdy toczyła się ostra walka między jej sercem i sumieniem?

Usiadła w końcu na stopniu w holu i oparła głowę na rękach. Oczami wyobraźni widziała Andrew, jak stoi obnażony do pasa, oświetlony ostrymi promieniami słońca. Czy chcesz, aby tak wyglądało jego życie, Shannon? Czy ma spędzać dni naprawiając rynny i rąbiąc drzewo?

Przecież jest tu dopiero od kilku dni, przekonywała

samą siebie. Nie możesz oczekiwać, że od razu rozpoczniesz nowe życie i karierę. Takie rzeczy wymagają czasu, nawet w bardziej sprzyjających okolicznościach. Oczywiście Andrew nie mógł powrócić do zawodu prawnika, ale z pewnością dałoby się znaleźć dla niego odpowiednie zajęcie, ważne i dające zadowolenie. Takie, które pozwoliłoby jej zatrzymać go na zawsze.

Przecież praca fizyczna nie jest niczym złym. Niektórzy nawet twierdzą, że to bardziej honorowe zajęcie niż prawo.

No, ale kiedyś Andrew skończy wszystkie naprawy w jej domu. Shannon przez chwilę wyobraziła sobie siebie w roli Penelopy; zamiast pruć każdej nocy tkaninę, musiałyby wybijać okna i obrywać rynny. Wtedy rano Andrew miałby co robić.

Jesteś bogata. Możesz założyć jakieś przedsiębiorstwo; wtedy Andrew byłby dyrektorem. Miałby poważną pracę i...

- Jesteś idiotką - mruknęła do siebie i przeczesła palcami włosy. Kogo właściwie usiłowała nabrać? Andrew był dumnym człowiekiem. Taka sytuacja prędzej czy później musiałyby doprowadzić do katastrofy.

Na dodatek nie miał żadnego dowodu tożsamości - jedyne prawo jazdy, jakie posiadał, w rzeczywistości należało do Emilie Crosse, która pozostała w 1776 roku. Wszystkie dokumenty mające z nim związek pochodziły sprzed dwustu lat.

Zastanów się, Shannon. Musi być jakieś rozwiązanie. Sama zdołała zacząć życie od początku, choć trochę jej w tym pomogło FBI. Uwolniła się z okowów potworne-

go małżeństwa i znalazła sposób, aby inne kobiety mogły skorzystać z jej doświadczenia. Z pewnością uda się jej znaleźć miejsce w świecie również dla tak nadzwyczajnego mężczyzny jak Andrew McVie.

Jednak cokolwiek zdołała wymyśleć, poczynając od posady dyrektora generalnego, a na fizycznej pracy kończąc, czy mogło to wytrzymać porównanie z byciem bohaterem w świecie, który Andrew pozostawił za sobą?

- Dakota się myli - powiedziała, wstając ze stopnia. Andrew powiedział jej przecież, że według Emilie i Zane'a wszystkie wzmianki historyczne na jego temat pochodzą sprzed lata 1776 roku. Odkrycie Dakoty musi być pomyłką... lub przypadkowym zbiegiem okoliczności.

Bardzo możliwe, że ktoś przywłaszczył sobie nazwisko Andrew McVie i dokonał jednego bohaterskiego czynu, który został odnotowany w jednej historycznej księdze. To jeszcze niczego nie dowodziło.

Shannon wiedziała, że teraz Andrew McVie należy do jej świata. Miała zamiar zrobić wszystko, co leżało w jej mocy, aby go nie stracić.

O szóstej po południu wyszła na dwór.

- Zamierzam rozpalić pod rusztem i upiec soczysty stek, według dietetyków strasznie niezdrowy - zawołała do Andrew. - Lubisz mięso mocno wypieczone czy krwiste?

- Jest jeszcze widno - odrzekł, ścierając ręką pot z czoła. - Będę pracować do zmroku.

- Robota nie zając, nie ucieknie - zażartowała patrząc, jak Andrew dopasowuje deskę.

- Nie. - Andrew wałnął młotkiem, jakby chciał podkreślić swoje słowa.

- Czy coś się stało, Andrew?

- Dziwne pytanie - odrzekł i wbił następny gwóźdź.

- Nic się nie stało.

- Wydajesz się nieswój - stwierdziła, ale nie była wcale pewna, czy to wrażenie nie wynika z jej poczucia winy.

- Zbliża się wieczór - odpowiedział. - Mam jeszcze dużo roboty.

- Powiedz mi, jeśli zmienisz zdanie. Natychmiast rzucę stek na ruszt.

Andrew nie zmienił zdania. Shannon właściwie na to nie liczyła. Wystarczyło, że zobaczyła, jak zacisnął zęby.

Coś się jednak zmieniło, myślała później siedząc na patio, jedząc stek i obserwując go przy pracy. Przez minione dwa dni chodził za nią jak cień, był przy niej niemal bez przerwy. Teraz nagle się zmienił i Shannon nie wiedziała dlaczego. Z pewnością nie dowiedział się o książce, którą znalazła Dakota. Shannon nie na darmo ukryła ją w bibliotece tak, aby nikt ciekawski nie mógł do niej zajrzeć.

Nabiła na widelec liść sałaty i uniosła go do ust. Przez cały czas myślała o Andrew. Teraz pojawiła się między nimi jakaś bariera, poczucie obcości, którego wcześniej nie było.

Nagle Shannon wyprostowała się, a widelec zawisł w połowie drogi między talerzem a jej ustami. Uświadomiła sobie właśnie, że nie słyszy w sercu jego głosu. A, to na tym polega różnica. Zniknęło gdzieś niemal misty-

czne poczucie jedności, które spowodowało, iż zapomniała o ostrożności. Teraz nie mogła wyzwolić się od myśli, że wkrótce grozi im rozstanie.

Ta cholerna Dakota i jej parapsychologia. Shannon odsunęła talerz i utkwiała wzrok w drzewach. Gdyby rzeczywiście tak dobrze potrafiła odgadywać przyszłość, to grałaby na loterii, a nie pracowała w bibliotece i nosiła ubrania ze sklepu z używanymi rzeczami.

Wspaniale, Shannon. Powoli stajesz się nie tylko oszustką, ale również jędzą.

Bardzo lubiła Dakotę i wiedziała, że nigdy nie używa swoich talentów do własnych celów. Zbyt wiele razy przekonała się o trafności jej przewidywań, by teraz uznać ją za wariatkę.

Jednak tym razem Dakota musiała się pomylić. Shannon była gotowa na wszystko, byle tylko zachować nadzieję, że tym razem szczęście się do niej uśmiechnie. Los sprawił, że w jej życiu pojawił się Andrew, ale Shannon nie zamierzała pozwolić, żeby los teraz go jej odebrał.

Ani w tym świecie, ani w żadnym innym.

Andrew skończył pracę o zmierzchu. Zebrał narzędzia i chciał zanieść je do garażu, ale w tym momencie znów pojawiła się Shannon. Miała na sobie krótkie, białe spodenki i żółte boletko, odsłaniające talię. Była boso. Mimo zmroku Andrew widział jej jasną, gładką skórę.

Poczuł unoszący się w wilgotnym powietrzu zapach jej perfum i potu, który rozbudził w jego ciele gwałtowny głód.

- Pewnie jesteś głodny - powiedziała, odprowadzając go do garażu.

- Tak - przyznał. - Zapach pieczonej wołowiny każdego by skusił.

- Przygotowałam też sałatę i kukurydzę - dodała przyglądając się, jak Andrew chowa narzędzia do szafki.

- Kiedy skończysz, stek już będzie gotów.

- Jesteś bogatą kobietą - powiedział mierząc ją ostrym spojrzeniem. - Dlaczego sama zajmujesz się pracami domowymi?

- Nie jest tak zawsze - odrzekła. - Na ogół gotuje Mildred. Czy mówiłam ci już o Mildred i Karlu?

- Tak - przyznał. - Mimo to nie mogę sobie wyobrazić, żeby tak zamożna kobieta wykonywała pracę służących dla kogoś obcego.

- Lubię gotować, Andrew. Zwłaszcza kiedy jest ktoś, kto może to docenić.

Już mieli wyjść z garażu, gdy Shannon zatrzymała się jak wryta.

- Chryste Panie! - wykrzyknął Andrew.

- Balon - szepnęła. - Co u licha...

Kawałek tkaniny, którą Andrew przykrył balon, zsunął się na podłogę, odsłaniając bardzo niepokojący widok. Jedwabna powłoka wyblakła tak, że stała się niemal biała. Wiklinowy kosz rozpadał się na kawałki. Wyglądał tak, jakby wyjątkowo źle zniósł podróż przez wieki.

Andrew pomyślał, że teraz jego decyzja stała się naprawdę nieodwracalna. Bez balonu i jego magicznego ognia był skazany na życie do końca swych dni w świecie Shannon.

- Biedny Andrew. - Shannon położyła rękę na jego ramieniu. Miał wrażenie, że to dotknięcie wywołało pożar rozchodzący się po jego ciele. - Będziemy musieli tu zorganizować twoje życie.

- Tak - powiedział. - Podjąłem decyzję wsiadając do gondoli i niczego nie żałuję.

- Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz żałował.

Czy będziesz tak myślała za miesiąc, dziewczyno? Czy też będziesz chciała, żebym sobie poszedł, podczas gdy ja będę marzył o tym, by pozostać?

Shannon spojrzała mu w oczy. Jej twarz wyglądała tak, jakby od środka rozświeciła ją radość. Andrew nie wiedział, dlaczego Shannon tak na niego patrzy, ale nie miał wątpliwości, że będzie pamiętał ten widok aż do śmierci.

Jadł tak samo, jak robił wszystko: z apetytem i przyjemnością. Gdy skończył, Shannon posprzątała ze stołu i zaproponowała, aby wypili kawę i zjedli deser w salonie.

- Nie wydajesz się entuzjastą telewizji - zauważyła, gdy pokazała mu kilka kanałów.

- To nie to samo co książka - odpowiedział. - Nie pozostawia miejsca na wyobraźnię, jest zbyt łatwe.

- W dzisiejszych czasach istotnie cierpimy na niedostatek wyobraźni - przyznała Shannon. - Większość ludzi chce rozrywki jak najprostszej i najłatwiejszej do strawienia. - Zmieniała kanały, aż wreszcie trafiła na serial „Kocham Lucy”. - No, to musisz obejrzeć. Inaczej nigdy nie zrozumiesz amerykańskiej kultury.

Był to typowy odcinek. Ricky przygotowywał rewie w teatrze „Tropicana”, a Lucy koniecznie chciała w niej wystąpić.

- Nie rozumiem jego sprzeciwów - stwierdził po pewnym czasie Andrew. - Dlaczego nie chce się zgodzić?

- Słyszałeś, jak ona śpiewa? - uśmiechnęła się ironicznie Shannon. - Nie ma za grosz talentu.

- Nie widzę, żeby Ricky Ricardo był obdarzony szczególnymi umiejętnościami muzycznymi - odpowiedział Andrew po chwili namysłu.

- Sądzę, że „Babalu” to arcydzieło. - Shannon uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Lucy to ładna dziewczyna - zauważył i w jego orzechowych oczach pojawiły się wesołe iskierki. - Byłaby cenną zdobyczą dla każdego mężczyzny.

- Znów męski szowinizm! Najwyraźniej uważasz, że kobieta jest tylko dodatkiem do mężczyzny. Skończ z tym! Kobiety są wolne, niezależne i nie potrzebują opieki mężczyzn.

- Moje poglądy ukształtowały się w osiemnastym wieku. Nie będę za to przepraszał.

- Jeśli zamierzasz żyć w dwudziestym, to będziesz musiał je nieco skorygować. - Shannon przyglądała się, jak Andrew z apetytem je ciastko. Poczwała rozkoszny dreszcz podniecenia. Co się z tobą dzieje, Shannon? - pomyślała. Jedno spojrzenie i już jesteś podkręcona.

- Podkręcona? - spytał Andrew.

- Co, podkręcona? - zdziwiła się Shannon.

- Czy ty też nie znasz znaczenia tego słowa?

- To znaczy... Ja... - Shannon urwała i ciężko westchnęła. - Można podkreślić gaz w piecu, siłę głosu w radiu...

- Miałaś co innego na myśli.

- Skąd możesz wiedzieć, co miałam na myśli? Zresztą, nie przypominam sobie, żebym coś takiego powiedziała.

- Powiedziałaś - upierał się Andrew. - Wyraźnie słyszałem.

- Nie sądzę.

- Tak, Shannon - powiedział ciepłym głosem. - To były twoje słowa. Słyszałem je w sercu.

- Myślę, że nie powinniśmy o tym rozmawiać. - Shannon obawiała się, że znów przestaną słyszeć swoje myśli. Zaledwie kilka godzin temu myślała już, że ta magiczna więź uległa zerwaniu. Potem, nagle, gdy stali w słabo oświetlonym garażu, uświadomiła sobie jego myśli równie wyraźnie co własne i miała wrażenie, że ktoś zwrócił jej serce. Jak mogła mieć wątpliwości, że podjęła słuszną decyzję chowając książkę, którą znalazła Dakota?

Wiedziała już, że Andrew chce z nią zostać.

W jej czasach, w jej świecie.

Gdy ludzie są tak dobrani, że znają swoje myśli, to niewątpliwie czeka ich wspólny los.

- Ty również tego doświadczyłaś - powiedział Andrew. - Poznają to po twoim spojrzeniu, po tym, co mówisz.

- To zdarzyło się już pierwszego wieczoru - przyznała, patrząc gdzieś w bok. - Wczoraj nie słyszałam twoich myśli, aż do...

- Wiem - przerwał jej Andrew. - Ze mną było tak samo.

- Nigdy czegoś takiego nie przeżyłam - powiedziała, patrząc mu w oczy. Dostrzegąca w nich coś więcej niż tylko pragnienie. Coś głębszego, wspanialszego.

- Nawet z mężem?

- Kochałam Bryanta, ale to było coś innego. - Shannon pokręciła głową. Jej miłość do męża wynikała w znacznej mierze z własnej naiwności i sugestii rodziny. Gdy nastąpiło zderzenie z brutalną rzeczywistością, Shannon uznała, że to jej wina. - Z pewnością kochałeś Elspeth.

- Z całego serca - odpowiedział po prostu. - Ale kiedy Elspeth odchodziła z tego świata, to już mnie nie kochała.

- Nie możesz tego wiedzieć. - Shannon gorąco pragnęła ukoić jego cierpienia, tak jak on koił jej ból.

- Owszem, mogę. Kiedy widziałem ją po raz ostatni, powiedziała mi, że jej miłość do mnie wygasła i pozostało tylko poczucie obowiązku. - Andrew urwał i odkaszlnął. - Była dobrą kobietą. Zasługiwała na coś więcej niż mogłem jej ofiarować.

- W ciągu tych dwustu lat świat niewiele się zmienił - westchnęła Shannon. - Wciąż popełniamy te same błędy. I wciąż mamy nadzieję na szczęśliwe zakończenie.

- Jak w bajkach? - spytał. Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

- Czy to źle? Gdzie jest napisane, że to, czego pragniemy, nie może się ziścić? Chciałeś dokonać podróży

w czasie i udało ci się. A ja... - Urwała. Na jej policzkach pojawiły się wypieki.

- A ty czego pragniesz, Shannon? - Andrew chwycił ją za rękę.

- Ciebie - szepnęła. - Tylko ciebie.

Jutro i na zawsze

16

Słowa.

Proste słowa, najprostsze.

A jednak te słowa sprawiły, że otworzył się przed nim cały świat.

Gdy objął Shannon, jego serce przepełniła radość. W porównaniu z nim była tak niewielka, jej ciało tak delikatne i kruche, że walczyły w nim dwa sprzeczne uczucia: jednocześnie chciał ją chronić przed wszelkimi niebezpieczeństwami, jakie niesie świat, i posiadać tu, teraz, na podłodze, tak jakby...

Z trudem odsunął ją od siebie.

- Andrew? - Shannon patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami koloru morskiej wody. Andrew widział, jak drżą jej miękkie, różowe wargi. Czy ona nie wie, jak takie spojrzenie działa na mężczyznę? - Czy coś się stało?

- Tak - wykrztusił z trudem. - Wywierasz na mnie niezwykle wpływ.

- Cieszę się.

- To cię nie obraża? - Słowa Shannon zdziwiły go. Spodziewał się zupełnie innej reakcji.

- To sprawia mi przyjemność - odrzekła tajemniczym głosem. - Ty też wywierasz na mnie niezwykły wpływ.

- Nie chciałybym cię przestraszyć.

- Wiem - szepnęła głaszcząc go po policzku. - Myślę, że wiedziałam o tym od samego początku.

- W moim świecie wiedziałbym, co mam robić, ale tu... - Andrew potrząsnął głową. - Obawiam się, że reguły zalotów bardzo się zmieniły.

- Zalecaj się do mnie, Andrew. Zalecaj się tak, jak byś to robił w swoim świecie.

Andrew chwycił jej dłoń. Czuł pod palcami jej delikatne kości.

- To byłyby długie i powolne zaloty. - Pochylił głowę i uniósł jej rękę do ust. - Dużo byśmy razem spacerowali - przycisnął usta do jej dłoni - i spotykali się w towarzystwie innych ludzi. A zimą siadywalibyśmy razem przy kominku.

Oczy Shannon wyraźnie pociemniały.

- Ale jest też lato... Co zrobiłbyś latem?

- To.

Miał wrażenie, że Shannon została dla niego specjalnie stworzona. Zdawał sobie sprawę, że teraz ona może łatwo przekonać się, jaką przyjemność sprawia mu kontakt z nią. Objął jej talię. Dotykał teraz palcami pasa nagiej skóry, która ekscytowała go już od ich pierwszego spotkania przy prostokątnym stawie. Zaczął się obawiać, że straci panowanie nad sobą.

- Powolne zaloty... - powiedziała Shannon rozmazonym tonem. - Co to znaczy powolne? Jak długo miałyby trwać?

- Wiele miesięcy - odrzekł. Shannon zaplotła ręce na jego szyi. - Mężczyzna może zabiegać o swoją panią rok lub dłużej, nim wreszcie...

- To za długo. - Shannon pocałowała go w szyję.
- Dziś żyjemy znacznie szybciej.

- To prawda - przyznał. - Miałem już okazję się przekonać.

- Życie jest krótkie - dodała. - To jedna z niewielu rzeczy, jakie udało się nam zrozumieć.

- Gdyby moje życie dobiegło teraz kresu, umarłbym szczęśliwy, bo jestem z tobą, Shannon.

- Mogę się założyć, że mówisz to wszystkim dziewczynom. - Shannon muskała ustami jego brodę.

- Nie jestem pochlebcą. Mówię to, co myślę i co czuję.

- Wiem. - Shannon położyła palec na jego ustach.
- Słyszałam już wszystko, co masz do powiedzenia. Teraz chcę, żebyś był cicho i mnie pocałował.

Jej słowa miały taki skutek, jakby dolała oliwy do ognia. Andrew wahał się jeszcze chwilę, świadom własnej siły.

- Jestem... jestem namiętym człowiekiem - powiedział wprost. - Nie chciałem ci sprawić bólu. - Wolał umrzeć w celibacie niż zrobić jej krzywdę.

- Wiem, że nic mi nie zrobisz. - Shannon wydawała się zdziwiona jego słowami.

- Czasami sam nie zdaję sobie sprawy z własnej siły - dodał. Przypomniał sobie, co przeżyła Shannon w małżeństwie.

- W porę ci przypomnę - obiecała.

- Od dawna nie byłem z kobietą - powiedział obejmując dłońmi jej twarz i patrząc jej w oczy. - Mogę cię rozczarować.

- To niemożliwe - zapewniła go gwałtownie. - Już dałeś mi więcej niż kiedykolwiek marzyłam.

Andrew pocałował ją w usta. Wiedział, że w istocie to ona bierze jego ciało, duszę i serce.

Gdzieś w tle grał telewizor, ale Shannon nie słyszała ani słowa.

Andrew chwycił ją na ręce i nie przerywając pocałunku zaniósł do sypialni na piętrze. Drzwi były uchylone. Pchnął je czubkiem buta i wszedł do środka. Shannon poczuła, jak jej ciałem wstrząsa kolejny dreszcz podniecenia. Andrew szybko podszedł do szerokiego łóżka przy oknie i już po chwili leżeli razem na miękkim materacu.

Całował ją tak długo, jakby nie mógł nasycić się jej smakiem i zapachem. Shannon przysunęła się do niego i wodziła dłońmi po jego plecach, w dół, do pasa, aż wreszcie wsunęła ręce pod koszulę i znalazła ciepłą, gładką skórę.

Czy można się upić dotknięciem ciała mężczyzny? Shannon czuła pod palcami jego mięśnie, pot i ciepło; wiedziała, że igra z ogniem i może się poparzyć.

Andrew objął ją dłońmi w pasie. Upajał się jej zapachem, jedwabistą skórą i świadomością, że od raju dzieli go teraz tylko cienka tkanina i wysiłek woli, konieczny, aby jej natychmiast nie zerwać.

Leżeli obok siebie, ich oddechy mieszały się ze sobą, serca biły w podobnym, gwałtownym tempie. Gdy

Shannon przeciągnęła palcami po jego plecach, Andrew pomyślał z przestraszeniem, że długo tego nie wytrzyma.

- Nie - mruknął odsuwając się od niej. - Jeszcze chwila i będzie koniec, nim naprawdę zaczniemy.

Shannon wyciągnęła do niego rękę. Przyzywała go oczami i uśmiechem. Westchnął, przewrócił ją na wznak i spróbował rozpiąć jej spodnie.

- To zatrzask - powiedziała stłumionym głosem. Andrew patrzył, jak Shannon sama rozdziela dwie części materiału.

- A to? - spytał, dotykając palcami niewielkiej, metalowej płytki tuż poniżej zatrzasku.

- Ekspres - powiedziała uwodzicielskim głosem. - Musisz pociągnąć w dół.

- Ekspres - powtórzył. Teraz widział jej koronkowe majtki. - Nowy wynalazek?

- Nie taki znów nowy.

- To zdumiewające. - Andrew pochylił się nad nią. Poczuła na brzuchu jego usta i język. Dotknął zębami koronki. - Oto świat cudownych wynalazków.

Shannon uniosła biodra, ułatwiając mu zdjęcie spodni. Ogarnął spojrzeniem jej zgrabne nogi i biodra, przesłonięte teraz tylko cienką koronką, pod którą widział ciemne włosy pokrywające jej łono. Dotknął je dłonią i poczuł wilgotne ciepło. Wyobraził sobie, jak wchodzi w nią i słyszy krzyk rozkoszy.

Shannon rozpięła jego koszulę. Pieściła go dłońmi i ustami, przyciskała policzki do jego skóry. Andrew czuł ciepło jej gwałtownego oddechu. Najwyraźniej wi-

dok i dotknięcie jego ciała sprawiały jej przyjemność, co tylko zwiększało jego radość.

Na szczęście bluzka Shannon była zapięta na zwykłe guziki. Gdy ją rozpiął, znów ujrzał koronki, tym razem zasłaniające piersi. Przez ciekawą tkaninę widział ciemne kręgi brodawek. Drżącymi palcami przesunął po krawędzi materiału.

- Jak to się nazywa? - spytał, wkładając palec pod ramiączko.

- Stanik - powiedziała. - To w celu...

- Cel jest oczywisty - przerwał jej. - Nawet dla mnie.

Mniej oczywiste było, jak zdjąć z niej stanik.

- Masz jakieś kłopoty?

- To piekielnie zagadkowe - odrzekł, przeciągając dłońmi pod elastyczną materią.

- Większość piętnastoletnich chłopców wie, jak rozpiąć stanik - powiedziała z niewinnym uśmiechem.

- Chcesz powiedzieć, że dziecko jest zręczniejsze ode mnie? - Andrew był lekko zirytowany.

- Jesteś zaradnym człowiekiem - powiedziała. - Jestem pewna, że sobie poradzisz.

Gdy wreszcie znalazł zapięcie, Shannon zaśmiała się cicho. Jej śmiech sprawił mu nieopisaną przyjemność.

- No, widzisz? Mówiłam, że jesteś zaradny - powiedziała z wyraźnym zachwytem.

- Aha. - On również był zachwycony. Stanik był jeszcze ciepły, nawet zachował kształt jej ciała. Andrew wpatrywał się w nią i czuł, że jego pragnienie przekracza wszelkie granice. Była niewielka, ale tak wspaniale zbu-

dowana, jakby jakiś artysta stworzył ją ze swych marzeń o pięknie. Nigdy dotychczas nie śmiał marzyć o takiej urodzie.

Wstał z łóżka, zdjął buty i skarpetki, po czym rozpiął spodnie. Na widok własnych majtek poczuł się skrępowany. Nie przywykł jeszcze do takiej bielizny. Czuł się znacznie bardziej sobą nago, w łóżku.

- Proszę, łaskawa pani - powiedział, wyciągając do niej rękę.

Shannon uśmiechnęła się. Wiedziała, że to miało być czułe zaproszenie. Zbliżyła się do niego bez wahania, bez odrobiny nieśmiałości. Najwyraźniej pragnęła tego, co miało zaraz nastąpić, równie gorąco jak on. Jeszcze nigdy nie spotkał kobiety, która by z taką radością przyjmowała miłość.

To było coś więcej niż zwykłe pożądanie. To był głód, który przenikał całe jej ciało. Nie mogłaby się przed nim ukryć, nawet gdyby chciała. Nagle runęły wszystkie bariery, jakie zbudowała wokół swego serca.

Andrew, nie mogę już dłużej, pomyślała. Teraz, proszę, teraz.

- Jesteś pewna?

Shannon nie mogła wykrztusić słowa.

- Nie stanie się nic, czego sama nie zechcesz - powiedział, pochylając się nad nią. - Musisz zdecydować.

- Tak - szepnęła, wyciągając do niego rękę. - Tak. Tak.

Objęła dłońmi jego twarz. Chciała, aby wiedział, że należy tylko do niego, że podróż w czasie jest niczym w porównaniu ze znalezieniem miłości, gdy ktoś już stracił nadzieję.

Andrew rozchylił jej uda. Uniosła biodra, otoczyła go nogami i odpowiedziała na jego namiętność z taką pasją i radością, o jaką nigdy siebie nie podejrzewała.

Shannon ofiarowała mu swoje ciało, ale jednocześnie pozwoliła mu odnaleźć własną duszę. Andrew wiedział, kiedy to się stało. Gdy się połączyli, Shannon otworzyła szeroko oczy i przyglądała mu się z uśmiechem. Uśmiechała się tak, jakby zebrał z nieba wszystkie gwiazdy i złożył u jej stóp.

Andrew miał w życiu wiele kobiet. Wiedział, że euforia, jaką można znaleźć w ich ramionach, nigdy nie trwa długo. O świcie znów uświadamiał sobie, że jest, był i będzie sam do końca swoich dni.

Tym razem było inaczej. Kochali się przez całą noc, a gdy zbliżał się świt, z radością przyglądał się śpiącej w jego ramionach kochance.

Jej gęste rzęsy rzucały cienie na policzki. Potargane włosy miękko spływały na ramiona. Nagle Shannon przekreśliła się na drugi bok i Andrew zobaczył jasną bliznę. Ten widok sprawił mu ból.

W jego czasach świat był znacznie twardszy. Mężczyźni często korzystali z ręcznych argumentów, nawet we własnym domu. Andrew miał nadzieję, że dwudziesty wiek będzie pod tym względem lepszy. Przekonał się jednak, że choć ludzie nagromadzili niesłychane bogactwa, nie potrafili sobie poradzić z mroczną częścią swojej natury.

Pochylił się i musnął wargami bliznę. Wciągnął w płuca zapach skóry Shannon. Nawet te ponure myśli nie zdołały jednak stłumić radości, jaką mu dawał sam

fakt, że ona istnieje, leży obok niego i ofiarowuje mu swe cudowne ciało. Czyż kogokolwiek mógłby spotkać większy honor?

Shannon głęboko spała. Jej piersi poruszały się miarowo w rytm oddechu. Po chwili Andrew również zasnął. Nie śnił, bo jakież sen mógłby dorównać wspaniałością temu, co właśnie przeżył?

Po jakimś czasie coś go przebudziło. Sam nie wiedział, co to było, ale jakaś siła nakazała mu wstać z ciepłego łóżka i podejść do okna. Odsunął firankę i wyjrzał na zewnątrz. Jak na tak późną porę, było dziwnie ciemno. Głęboki cień kładł się na całym podwórku.

Poczuł w sercu dziwny niepokój. Gdy spojrział na niebo, dostrzegł nad drzewami dziwne chmury. Dobrze pamiętał takie pasma jasnych i ciemnych chmur oraz ciche pogwizdywanie wiatru. Wydawało mu się, że coś go woła, tak jak kiedyś syreny kusiły żeglarzy.

- Latarnia - mruknął i znów poczuł lęk. Ostatnio widział takie chmury wtedy, gdy zdecydował się opuścić swój stary świat.

Stał nieruchomo. Chmury powoli przesuwały się na wschód. Miał wrażenie, że coś go woła, ale nie odpowiedział.

- Andrew? - usłyszał cichy głos Shannon. - Wracaj do łóżka.

- To jedyne miejsce, w którym naprawdę chcę być - powiedział z przekonaniem i odwrócił się od okna.

Jutro i na zawsze

17

Dakota właśnie wychodziła, gdy zadzwonił telefon.

- Nie mogę teraz rozmawiać, mam - powiedziała przytrzymując słuchawkę ramieniem. - Jeśli jeszcze raz spóźnię się do pracy, Forsythe wyjdzie z siebie.

- Miałam sen - oświadczyła Ginny Wylie tonem, jakim wygłaszała ważne oświadczenia.

- Masz jeszcze jakieś nowiny? - mruknęła pod nosem Dakota, zerkając na stojący na lodówce budzik.

- Dakota? Co powiedziałaś?

- Naprawdę muszę iść, mam. Może zadzwonię do ciebie podczas lunchu.

- To nie zajmie nam dużo czasu - powiedziała Ginny z beztroską pewnością kobiety, która nie musi się troszczyć o swoje miejsce w życiu. - Wyruszysz w podróż.

- Już wyruszyłam do pracy, gdybyś mnie nie zatrzymała.

- Wcale nie muszę cię o tym informować - obraziła się matka. - Chciałam ci tylko powiedzieć coś, co mogłabyś przemyśleć.

Chciałabym mieć telefon komórkowy, pomyślała Dakota. Przynajmniej zdążyłabym do pracy.

- Spotkałaś jakiegoś mężczyznę - ciągnęła Ginny. - To spotkanie zmieni twoje życie.

- Mężczyznę? - Dakota opadła na krzesło. Ciarki przebiegły jej po grzbiecie, jednak zmusiła się do uśmiechu. - Jedyнным mężczyzną w moim życiu jest doktor Forsythe, a obie wiemy, jakimi uczuciami mnie darzy.

- Nie jest przystojny w klasyczny sposób, ale... wygląda niezwykle - dodała Ginny. - Pochodzi z jakiegoś odległego miasta. Dakota? Jesteś tam?

- Słucham, mamó. - Dakota wolała nie wstawać z krzesła. Czuła, że ma miękkie kolana. - Czy ten mężczyzna ma jakieś imię?

- Adam - odpowiedziała Ginny. - Nie, chyba Andrew.

- To przyjaciel Shannon - szepnęła Dakota, czując nagle zawroty głowy.

- To chyba coś więcej niż zwykły przyjaciel, prawda?

- Naprawdę, muszę już iść do pracy, mamó.

- Przecież mówimy o twojej przyszłości.

- Nie sędzę.

- Jak najbardziej - upierała się matka. - Kiedy on będzie wracał do siebie, pojedziesz z nim.

Dakota wyprostowała się i parsknęła śmiechem.

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć, mamó, ale tym razem twój radar zupełnie zawiódł.

- Skąd on pochodzi? - spytała matka. - Z Chicago? O ile wiem, nie cierpisz Chicago.

- To gorzej niż Chicago.

- Denver?

- Gorzej niż Denver.

- Nie odbieram żadnych sygnałów, Dakota - powiedziała matka po chwili milczenia. - Dlaczego?

- Święty Boże! - zawołała Dakota. - Czy wiesz, która godzina? Muszę pędzić. Porozmawiamy później.

Odłożyła słuchawkę i pobiegła do drzwi. Miała nadzieję, że zdąży, nim matka ponownie zadzwoni. Właśnie miała przekręcić klucz w zamku, gdy rozległ się dzwonek telefonu. Ginny nigdy łatwo nie rezygnowała.

Czy tym razem miała rację?

Dakota zamknęła oczy i próbowała wyobrazić sobie siebie z Andrew. Na próżno. Przed oczami widziała tylko pustkę. Andrew należał do Shannon i nic nie mogło tego zmienić.

Ale wiesz, że twoja przyszłość jest z nimi związana, pomyślała Dakota.

- Oczywiście, że tak - powiedziała głośno, co nigdy nie było dobrą oznaką. - To jednak nie znaczy, że mam im nieustannie towarzyszyć. - Jako jedyna samotna przedstawicielka rodziny, Dakota miała wiele okazji, aby czuć się jak piąte koło u wozu. Wolała nie myśleć, że tak miałyby pozostać na zawsze.

Dakota nie miała wątpliwości, że Andrew przybył tu tylko na krótko. Jednocześnie jednak czuła absolutną pewność, że jego życie jest ściśle związane z przyszłością Shannon.

Gdzie zatem jest miejsce dla ciebie?

- Nie wiem - powiedziała na głos. Podeszła do swojego starego mustanga, stojącego tuż obok bramy. Za-

pewne pozostawała jej tradycyjna rola przyjaciółki lub medium.

Co najwyżej mogła tu spełnić funkcję katalizatora.

Na myśl o tym stanęła w miejscu. Katalizator? To bez sensu. To nie ona przecież doprowadziła do ich spotkania i oczywiście nie miała zamiaru robić nic, co mogłoby ich rozdzielić. Dotychczas jedynie parę razy straciła przytomność na jego widok i znalazła w bibliotece starą książkę, która najwyraźniej wyprowadziła Shannon z równowagi.

Mimo wszystko Dakota nie mogła pozbyć się wrażenia, że coś się stanie. Zawsze miała nadzieję, że czekają w życiu coś ciekawszego niż nuda codziennej egzystencji. Czy może właśnie teraz nadeszła pora na wielką przygodę?

- Aha - mruknęła wsiadając do samochodu. - Na pewno.

Jedyna przygoda, na jaką mogła liczyć, to wycieczka do biura pośrednictwa pracy. Wystarczy, że pojawi się w pracy później niż doktor Forsythe.

- Sprzedaliśmy już trzy miliardy - odczytał Andrew wielki transparent zawieszony nad wejściem do McDonalda. Jechali autostradą kilka kilometrów na północ od Princeton. - Trzy miliardy czego? - zwrócił się do Shannon.

- Hamburgerów - wyjaśniła, skręcając na parking i podjeżdżając do okienka.

Andrew wciąż patrzył na nią pytającym wzrokiem.

- Kotleciki z mielonej wołowiny, smażone na ruszcie i podane w okrągłej bułce.

- Do czego to służy?
- Do jedzenia. Jedliśmy hamburgery w pierwszej restauracji, nie pamiętasz? - zaśmiała się Shannon i usta-wiła się w kolejce tuż za wielkim chryslerem pełnym dzieci. - Czy zapomniałam ci powiedzieć, że je się to z sałatą, ogórkiem i specjalnym sosem?
- Owszem, zapomniałaś.
- Po chwili zatrzymali się przed wielką tablicą z me-nu.
- Witamy w McDonalddie. Co dla państwa? - spytał ktoś przez głośnik.
- Chryste Panie! - wykrzyknął Andrew i pochylił się w stronę Shannon, aby lepiej się przyjrzeć urządzeniu.
- Czy maszyny mogą zastąpić każdego?
- Prawie - przyznała Shannon.
- Co państwo zamawiają? - ponaglił ich głośnik.
- Dwa hamburgery, sałatę, duże frytki i dwie mrożo-ne herbaty.
- Proszę podjechać do okienka numer jeden.
- Czy tam dostaniemy prawdziwe jedzenie? - spytał podejrzliwie Andrew.
- Najlepsze, klasyczne amerykańskie potrawy - od-powiedziała Shannon z ironicznym uśmiechem.
- To zdumiewające.
- Nie, pomyślała. Najbardziej zdumiewające jest to, że siedzisz koło mnie.
- No, i jak ci smakuje? - spytała, gdy Andrew prze-łknął pierwszy kęs hamburgera.
- Myślę, że zjadłbym jeszcze jednego - odrzekł, się-gając po frytki.

- Kolejny amator tych świństw - skrzywiła się Shannon. - Kto by przypuszczał?

- Chyba się rozmyśliłem. - Andrew spojrział podejrzliwie na hamburgera. - Nie należy jeść świństw.

- Nie bierz moich słów tak dosłownie. Myślałam, że wolałybyś normalny posiłek przy rodzinnym stole.

Andrew z apetytem jadł hamburgera. Shannon patrzyła na niego z przyjemnością. Ostatniej nocy kochała ją z takim samym zapałem i radością. Shannon dożyła niemal trzydziestki nie wiedząc, że jest zdolna do odczuwania takiej rozkoszy, jaką znalazła w jego ramionach.

Gdy wychodziła za mąż, była dziewicą, zarówno fizycznie jak i emocjonalnie. Bryant szybko pozbawił ją wszelkich złudzeń i nadziei. Shannon łatwo uwierzyła, że nie jest dostatecznie kobieca, ładna i zmysłowa, aby go zadowolić. Dużo czasu minęło, nim zrozumiała, że to nie jej wina.

Udało się jej odzyskać szacunek dla siebie, ale mimo to nigdy nie myślała, że erotyzm będzie odgrywać istotną rolę w jej życiu. Powtarzała sobie, że nie może żałować tego, czego nigdy nie miała, ale mimo to nie potrafiła pozbyć się uczucia pustki.

Aż do ostatniej nocy.

Poczuła, że się czerwieni. Szybko odwróciła głowę w stronę okna. Na jej ustach błąkał się lekki uśmiech. Wystarczyło, że wyobraziła sobie, iż słyszy jego głos powtarzający jej imię i czuje dotknięcie dłoni na udach, a już ogarniało ją podniecenie.

Teraz rozumiała wreszcie, na czym polega tajemna siła, która zmienia rozsądnych ludzi w głupców, a głu-

pców w poetów. Zerknęła kątem oka na swego nowego przyjaciela. Obserwował ją. W jego orzechowych oczach odbijały się słoneczne promienie. Pomyślała, że nigdy nie widziała wspanialszego mężczyzny, i to obdarzonego wielkim sercem.

Andrew pamiętał Princeton jako niewielkie miasteczko wśród gęstych lasów i rozległych pól. Ku jego zdumieniu, pod tym względem niewiele się zmieniło. Wprawdzie wokół nie widać już było tylu pól, a las również odsunął się od miasta, ale Princeton nie straciło swego dawnego charakteru. Wciąż pozostawało niewielkim miastem skupionym wokół uniwersytetu, kipiącym życiem intelektualnym i artystycznym.

Gdy Shannon skręciła w Nassau Street, Andrew nagle przypomniał sobie o wszystkim, co przeżywał kilka tygodni temu - czy też może przed dwustu laty?

- Kiedyś tu była tawerna - powiedział, wskazując na róg Nassau i University Place. - Tu spotykali się członkowie siatki szpiegowskiej.

- Rozumiem, ale trudno mi uwierzyć, że widzisz Princeton takie, jakie jest dziś i jakie było dwieście lat temu.

- Na tym rogu stali Emilie i Zane. Wtedy właśnie Emilie powiedziała mi, że w jej świecie kobiety chodzą na uniwersytety, rządzą państwami i robią to samo co mężczyźni. Nie mogłem w to uwierzyć. - Pokręcił głową. Nawet teraz, gdy już przekonał się o tym na własne oczy, trudno mu było to przyjąć do wiadomości. - Bardzo była obrażona moimi wątpliwościami.

Shannon nagle zatrzymała samochód.

- Coś się stało?

- Kochałeś ją - powiedziała. - Prawda?

- Nie, Shannon, to nie była miłość, tylko zadurzenie.

- Ale wtedy myślałeś, że ją kochasz.

- Emilie była inna niż kobiety, jakie znałem - powiedział. Nie mógł oszukiwać Shannon, choć to pewnie ułatwiłoby sytuację. - Opowiadała mi o cudach, w jakie trudno było uwierzyć. Łatwo pomylić fascynację z prawdziwą miłością.

- A co powiesz o mnie? Czy nie... Czy jesteś ze mną dlatego, że jestem pierwszą kobietą, jaką tu spotkałeś, czy też dlatego, że tak chcesz?

- Jestem z tobą, ponieważ nie chcę być z nigdzie indziej, ani w tym świecie, ani w innym.

- A co zrobiłbyś, gdybyś mógł wrócić do swojego świata? - Na twarzy Shannon pojawił się dziwny cień.

- To pytanie nie ma sensu, ponieważ nie mam możliwości powrotu.

- A gdybyś miał? - nalegała. Położyła rękę na jego dłoni. - Poznałeś już ten świat. Gdybyś mógł, to czy wróciłbyś do swego?

- Zostałbym z tobą - odparł. W głębi serca czuł, że to prawda. - Zawsze i wszędzie. - Andrew pochylił się nad niską barierą, którą Shannon nazywała oparciem pod łokieć, i pogłaskał ją po policzku. Żałował, że nie może sprawić, by zapomniała o wszystkim, co przeżyła w trakcie małżeństwa.

Być może wtedy uwierzyłaby, że mogą być ze sobą szczęśliwi.

Shannon zaparkowała koło sklepu, po czym razem poszli w kierunku Nassau Hall. Gdyby nie to, że Dakota pracowała w bibliotece muzeum historycznego, Shannon nigdy nie zwróciłaby uwagi na bogate ślady historii, jakie można było znaleźć w całym stanie New Jersey. Teraz, idąc u boku Andrew, patrzyła na wszystko z zupełnie innego punktu widzenia.

Na niektórych domach przy głównych ulicach wciąż wisały tabliczki z datą budowy: 1752, 1768, 1772. Gdy podeszli do starego, dwupiętrowego budynku, Andrew ze wzruszeniem dotknął mosiężnej kołatki.

- William Strawbridge był kiepskim kupcem, ale gorącym patriotą - powiedział. - Wiele razy przekazywał różne wiadomości, choć ryzykował przy tym losem całej rodziny.

Stockton i Witherspoon nie były dla niego nazwami ulic, lecz nazwiskami żywych ludzi. Dobrze pamiętał Stocktona i jego żonę Annis, która zakopała srebra w lesie, aby nie padły łupem brytyjskich maruderów. Podobnie uczyniła Rebeka. John Witherspoon przybył do Ameryki ze Szkocji, został prezydentem stanowej uczelni i jedynym duchownym, który podpisał Deklarację Niepodległości. Dla niego to byli ludzie, których dobrze znał. Pamięć o nich przetrwała przez dwieście lat.

I o nim pamiętalibyśmy, gdyby pozostał w swym świecie, pomyślała Shannon.

Nie. Nie powinna tak myśleć. Nie ona ponosiła odpowiedzialność za to, że wsiadł do balonu na gorące powietrze i poleciał w wiek dwudziesty. Przybył tu z własnej woli i z własnej woli pozostał.

- Możemy pojechać do Morven lub Drumthwacket
- zaproponowała, gdy szli w kierunku uniwersytetu. Mi-
jali właśnie stację, gdzie zatrzymywała się dwuwagono-
wa kolejka łącząca Princeton z główną linią kolejową.
- Wydaje mi się, że Morven zostało zbudowane jeszcze
przed wojną o niepodległość.
- Nie - pokręcił głową. - Nim stąd pojedziemy,
chciałbym zobaczyć jeszcze jedno miejsce.
- Co tylko zechcesz - powiedziała, zdobywając się
na beztroski uśmiech. Usiłowała zapomnieć o wyrzu-
tach sumienia.
- Chodzi mi o farmę Josiaha Blakelee.
- Nigdy o niej nie słyszałam. Czy była gdzieś bli-
sko?
- Tak - powiedział. - Parę kroków od centrum mia-
steczka.
- Wątpię, czy jeszcze istnieje. Sam widziałeś, co się
tu dzieje. Większość pól poszła pod zabudowę.
- Ta twoja przyjaciółka Dakota - powiedział An-
drew. - Czy ona nie pracuje w jakimś historycznym sto-
warzyszeniu?

Dakota nie mogła uwierzyć własnym oczom.

W kilka minut po powrocie z błyskawicznego lunchu ujrzała, jak do jej biurka zbliżają się Andrew i Shannon, na której twarzy widać było wyraz ponurej rezygnacji. Andrew miał na sobie dżinsy i białą, bawełnianą koszulę, uwydatniającą jego potężne ramiona. Musiała przyznać, że wygląda doskonale, zwłaszcza z kucykiem. Dakota zawsze lubiła mężczyzn z kucykiem.

Natomiast Shannon wyglądała tak, jakby nie miała najmniejszej chęci na tę wizytę.

Wiem, że nie masz ochoty tu z nim przychodzić, pomyślała Dakota. Trudno. To los połączył ich troje. Choć całość wydawała się dość niewydarzona, żadne z nich nie mogło nic na to poradzić.

Czy potrzebny jest lepszy dowód? Shannon z całą pewnością nie miała ochoty tu przychodzić, a jednak... Dakota widziała, jak zbliżają się do niej. Pomyślała nagle, że przypominają jej ogary na tropie. Patrzyła na przemian to na jedno, to na drugie. Nie, Shannon z pewnością nie powiedziała mu o książce ukrytej za dziełem Plutarcha. Wobec tego przyszli tu w innym celu, choć najwyraźniej Shannon nie miała na to wielkiej ochoty. O co też może chodzić?

- Cześć - powiedziała. - Co za niespodzianka!

- Dzień dobry, pa... Dakota. - Andrew uśmiechnął się do niej. - Ładnie dziś wyglądasz.

- Widzę, że masz dobry gust - odpowiedziała z uśmiechem i spojrzała na swoją meksykańską bluzkę.

- Kosztowała pięćdziesiąt centów w sklepie z używanymi rzeczami na Somerville - dodała. Z radością stwierdziła, że jakoś nie traci przytomności.

- Nie składamy ci towarzyskiej wizyty - wtrąciła Shannon. W jej oczach pojawiły się ostrzegawcze błyski. - Potrzebujemy informacji na temat farmy sprzed wojny o niepodległość, która leżała tuż za miastem.

- Trafiliście do właściwej osoby - odrzekła swobodnie Dakota. - Do kogo należała farma?

- Do Josiaha i Rebeki Blakelee - powiedział Andrew.

- Dokumenty są w archiwum - stwierdziła Dakota.
- Tu mam mikrofilmy. - Obróciła się na krześle i włączyła czytnik. - Zobaczmy, co my tu mamy - mruknęła przeglądając kolejne strony. - Farma Blakelee zajmowała tereny od granic miasta do Griggstown, ale według dokumentów, w 1778 roku przeszła w ręce wierzycieli. ~ Dakota znów obróciła się w ich stronę. - W latach pięćdziesiątych ziemia została sprzedana pod zabudowę. Część została dołączona do parku narodowego.

Andrew wydawał się bardzo przygnębiony. Shannon szczerze mu współczuła.

-- A oni,.. - Urwał i odkasznął. - A co się stało z rodziną?

- Tu nic o nich nie ma, ale jeśli ci zależy, mogę sprawdzić w archiwum.

- Byłbym szczerze zobowiązany - odpowiedział.

Dakota zerknęła na Shannon, która bezbłędnie odczytała znaczenie tego spojrzenia. Musisz popracować nad jego językiem. Żyjemy w 1993 roku. Nikt już nie dba o kurtuazję poza zbłąkanymi przybyszami z przeszłości, którzy nie nauczyli się jeszcze obowiązujących reguł.

- Jedną chwileczkę - powiedziała. - Archiwum jest na dole. Możecie poczekać tam. - Wskazała skórzaną kanapę i fotele pod ścianą. W tym momencie zauważyła, że Shannon i Andrew trzymają się za ręce. Najwyraźniej zbliżyli się bardziej, niż przypuszczała.

Och, Shannon, myślała mijając okna, przez które widać było utrzymany w kolonialnym stylu ogród doktora Forsytha. Czy ty naprawdę myślisz, że to może trwać?

Schowała się za filar i zerknęła na nich. Siedzieli na kanapie tuż obok siebie. Dakota zacisnęła powieki, przez chwilę modliła się, aby się okazało, że nie ma racji, po czym znów otworzyła oczy. Niestety, gdy spojrzała na Andrew, przekonała się, że nic się nie zmieniło.

W dalszym ciągu nie emanowało od niego żadne światło. Otaczały go wyłącznie promienie słońca, przenikające przez szyby okna. W tym świecie był elementem przypadkowym i przejściowym, pozbawionym wszelkiego znaczenia.

Zdumiewające, że nikt prócz niej nie zdołał tego zauważyć. Przecież ten człowiek ciągnął za sobą niezwykły bagaż historii. Losy tysięcy ludzi były związane z życiem tego jednego człowieka z innych czasów.

Czy ludzie ci nigdy się nie pojawią, jeśli on zdecyduje się pozostać w dwudziestym wieku? Czy będzie tak, jakby nigdy nie mieli szansy pojawić się na świecie, żyć i kochać? Dakota poczuła, że kręci się jej w głowie, i oparła się o filar. To już po raz drugi tego dnia musiała walczyć o zachowanie przytomności.

Shannon go kocha, to oczywiste. Wystarczy na nich popatrzeć. Dakota nie zazdrościła jej. Wręcz przeciwnie - jej zdaniem Shannon zasługiwała na wszystko co najlepsze. Cóż jednak dobrego może wyniknąć z lekceważenia historii?

A może w książce jest błąd?

Dakota dopiero teraz pomyślała o tej możliwości. No tak, trudno to wykluczyć. W życiu widziała wiele książek zawierających błędy, czasami nawet bardzo poważne. Uczeni nie są nieomylni, nawet jeśli za takich pra-

gnęliby uchodzić. Trudno coś twierdzić o przeznaczeniu na podstawie jednej książki.

Miłość to potężna siła, myślała Dakota schodząc do podziemia. Modliła się, aby okazała się silniejsza niż narastające w niej poczucie, że wkrótce tych dwoje będzie musiało się rozstać.

Jutro i na zawsze

18

- Długo jej nie ma - zauważył Andrew.
- Wiem - mruknęła Shannon, bębniąc palcami w oparcie kanapy. - Może wpadła na doktora Forsytha i kazał jej zrobić coś innego.
- Doktor Forsythe?
- To jej szef. Można powiedzieć, że Dakota ma z nim dość napięte stosunki.
- Ona patrzy na nas tak, jakby wszystko wiedziała. To niezwykle irytujące.
- Taki los, gdy ktoś się przyjaźni z medium. Trudno mieć sekrety.
- Ona nie wie, jak się tu pojawiłem, prawda?
- Wie o balonie - powiedziała Shannon i poruszyła się nerwowo. Co innego ukrycie książki, co innego jawne kłamstwa. - Ona... wydaje mi się, że coś podejrzewa.
- Tak - powiedział Andrew. - Tak właśnie myślałem. Zawsze tak dziwnie na mnie patrzy.

Nie w pełni miał rację. Dakota wiedziała o wszystkim z wyjątkiem tego, że stali się kochankami. Zresztą, biorąc pod uwagę jej zdolności, należało przypuszczać, że odgadła również i to.

Shannon wstała i poprawiła spodnie.

- Wydaje mi się, że Dakota może być zajęta jeszcze długo. Może zostawimy jej wiadomość, że musieliśmy iść i żeby wstąpiła do nas, kiedy skończy uczyć dzieci ze schroniska?

Doskonały pomysł. Niestety, spóźniony.

Shannon i Andrew byli w połowie drogi do drzwi, gdy nadbiegła Dakota z plikiem dokumentów.

- Przepraszam, że tak długo musieliście czekać - powiedziała zdyszana. - Jakiś idiota odłożył to na półkę z geodezją, zamiast do rejestrów zgonów.

Andrew wyraźnie zadrżał. Shannon spojrzała na niego zdziwiona, ale natychmiast wszystko zrozumiała. To byli przecież jego przyjaciele; jeszcze kilka dni temu był na weselu ich córki.

- Musiałam sporo poszperać - ciągnęła Dakota, jak gdyby nic się nie zdarzyło. - Najwyraźniej rodzina Blakelee powróciła do Princeton w 1785 roku i żyli tam do śmierci. Josiah zmarł w 1799 roku, Rebeka dwa lata później.

Andrew kiwnął głową. Widać było, jak konwulsyjnie zaciska szczęki.

- Interesuje nas jeszcze jedno małżeństwo, które przez jakiś czas żyło na ich farmie - powiedziała Shannon, wiedząc, że Andrew nie zdobędzie się na zadanie tego pytania. - Nazywali się Emilie i Zane Rutledge.

- Już kiedyś słyszałam to nazwisko, tylko kiedy i gdzie? - zastanawiała się Dakota. Spojrzała na Shannon, która wyraźnie się zarumieniła. - Poczekajcie pięć minut. Sprawdźę, co mogę dla was zrobić.

Gdy Dakota pospieszyła do piwnicy, Andrew chwycił Shannon za rękę.

- To było bardzo szlachetne z twojej strony.

- Chyba zwariowałam - zaśmiała się nerwowo Shannon. - Wypytyuję o losy mojej rywalki.

- Nie masz żadnej rywalki - zapewnił ją Andrew.

- Żadna kobieta nie może się z tobą równać.

Słowa Andrew szczerze ją wzruszyły. Wspięła się na palce i szybko pocałowała go w usta.

- Wiedziałam, że ty nie zapytasz, więc musiałam to zrobić ja - oznajmiła. Sama nie wiedziała, czy to była szlachetność, czy skutek wyrzutów sumienia.

Dakota nie mogła znaleźć żadnych informacji na temat Emilie i Zane'a Rutledge, ale gdy Andrew wspominał, że panieńskie nazwisko Emilie brzmiało Crosse, natychmiast przypomniała sobie o wielu innych dokumentach.

- Crosse Harbor - powiedziała, podając mu kilkanaście kartek. - Wygląda na to, że Emilie i Zane mieszkali w Filadelfii, a w Crosse Harbor mieli letni dom.

- Jak to się stało, że to miasto nazwano od jej panieńskiego nazwiska? - spytała Shannon.

- Kto wie? - Dakota wzruszyła ramionami. - Być może była jedną z pierwszych emancypantek. Zresztą, wiele kobiet z tamtych czasów chciało w jakiś sposób uwiecznić swoje rodowe nazwisko. To nic dziwnego-

Poznając Emilie, pomyślał Andrew. Spojrzał na Shannon i poczuł, że coś ściska go w gardle. Emilie była najwspanialszą kobietą, jaką znał, nim spotkał Shannon.

Gdy spojrzała na niego, wiedział, że odczytała jego myśli i zrozumiała, co przeżywa. Wziął do ręki kopie dokumentów i zaczął czytać:

„Rodzina Rutledge to jedna z najważniejszych rodzin Pensylwanii”. Poczł pieczenie w oczach, ale zdołał powstrzymać łzy. „Jej założycielami byli Zane Rutledge i jego żona, Emilie Crosse, którzy mieli pięcioro dzieci: Sarah Jane, Andrew...”

- Nie mogę teraz czytać - powiedział, po czym złożył papiery i schował je do kieszeni koszuli. Mają syna, myślał. Dali mu moje imię...

Czuł na sobie uważne spojrzenia obu kobiet, ale nie wiedział, jak ma im wyjaśnić swoje zachowanie.

- Musimy już iść - powiedziała Shannon. - Wiesz, jaki tłok jest o tej porze na autostradzie.

- Gdybyście poczekali, pewnie mogłabym znaleźć więcej informacji o tej rodzinie - powiedziała Dakota. Najwyraźniej chciała, aby jeszcze zostali.

- Nie - powiedział Andrew. Zabrzmiało to bardziej szorstko, niż zamierzał. - To nie jest konieczne. Wiem już wszystko, czego chciałem się dowiedzieć.

Dakota odprowadziła ich do drzwi.

- Zobaczymy się później. Przywiozę do schroniska całą stertę książek z serii „Ulica Sezamkowa”. Mama kupiła je na wyprzedaży.

- "Ulica Sezamkowa"? - zdziwiła się Shannon. - Nie sądzisz, że te dzieciaki są już na to nieco za duże?

- Kiedy ktoś nie umie czytać, może równie dobrze zacząć naukę od bajek, jak i od Szekspira. Ważne jest tylko, żeby zaczął się uczyć.

Andrew pomyślał, że na swój sposób Dakota jest kimś równie nadzwyczajnym jak Shannon. Obie poświęciły się sprawie, która wykraczała poza ich osobisty interes. Sam kiedyś tak żył i teraz mógł tylko się zastanawiać, czy one wiedzą, jakie to szczęście mieć cel w życiu. Dakota stała w drzwiach i patrzyła, jak Shannon i Andrew idą ulicą, trzymając się za ręce.

- Ty tchórze - szepnęła do siebie. Shannon nie mogła się zdobyć na powiedzenie mu prawdy, bo była w nim zakochana, Dakota jednak nie miała takiej wymówki. Gdy patrzył na Shannon takim zachwyconym wzrokiem, Dakota czuła do niego sympatię, ale poza tym nie była pewna, czy go nawet lubi. Jak można dobrowolnie porzucić czasy, w których liczyły się działania pojedynczego człowieka, w których każdy mógł wpłynąć na dzieje narodu?

Jej zdaniem Andrew nie powinien był porzucać swego prawdziwego życia. Cóż z tego, że nie żył tak, jak tego pragnął? Gdyby nie skorzystał z pierwszej nadarzącej się okazji, by wskoczyć do balonu, może zdobyłby dla siebie miejsce w podręcznikach historii, może zostałby bohaterem...

Udało się jej znaleźć w archiwum jeszcze dwa dokumenty, zawierające wzmianki o heroicznym wyczynie Andrew McVie zimą 1779-80 roku.

„Nic nie rozumiesz”, przypomniała sobie słowa Shannon. „On ruszył w podróż w sierpniu 1776 roku”.

To ty nic nie rozumiesz, pomyślała Dakota. On tam wróci.

Podczas jazdy do domu Shannon milczała. Wprawdzie na autostradzie był tłok i musiała uważnie jechać, ale nie była to jedyna przyczyna.

Nabierasz wprawy, Shannon, myślała. Nigdy nie sądziłam, że potrafisz tak dobrze kłamać.

Czy rzeczywiście kłamała? Dotychczas unikała pewnych tematów, udzielała wymijających odpowiedzi, ale jeszcze ani razu nie skłamała.

Czy możesz spojrzeć mu w oczy i to powtórzyć, Shannon?

- Och, zamknij się wreszcie - mruknęła do siebie. Zjeżdżali już z autostrady.

- Mówiłaś coś?

- Nie. To znaczy, mówiłam do siebie.

- To zły znak - uśmiechnął się Andrew. - W czasach, kiedy byłem bostonskim prawnikiem, można było za to trafić do aresztu.

- Nie mieszkamy w Bostonie.

- Tak - przyznał pocierając brodę. - I to nie jest 1776 rok.

- Wydajesz się tym rozczarowany. - Shannon obrzuciła go ostrym spojrzeniem.

- Chyba nie. Po prostu stwierdziłem fakt.

- Wiem, jaki mamy teraz rok. Nie musisz mi przypominać.

- Czy źle się czujesz?

- Dlaczego pytasz? - spytała lodowatym tonem.

- To byłoby najlepsze wyjaśnienie twojego zachowania.

- Czy nie mam prawa być w złym humorze?

- Chyba nie chcesz, żebyśmy ci na to odpowiedzieli.
- Mięczak - warknęła.
- Nie znam tego słowa.
- To dobrze - powiedziała. - Jest obraźliwe. Niezbyt zresztą do ciebie pasuje.

- Zachowujesz się zupełnie nie tak jak normalnie, dziewczyno. Szczerze mówiąc, wydaje się, że każde spotkanie z Dakotą wprawia cię w fatalny nastrój.

- Coś sobie uroiłeś.
- Nie - uparł się Andrew. - Dobrze wiem, co widzę i słyszę.

- Być może podróże w czasie szkodzą szarym komórkom.

- Nie rozumiem znaczenia tego stwierdzenia, lecz podejrzewam, że również jest obraźliwe.

Do diabła, co ty wyprawiasz? - pomyślała Shannon. Oto mężczyzna, na którego czekałaś całe życie, a teraz częstujesz go jakimiś odzywkami z trzeciorzędnej komedii.

Skręciła w boczną, krętą drogę prowadzącą do jej domu. Chciała go przeprosić, ale nie mogła się na to zdobyć. Miała wręcz wrażenie, że lada chwila dostanie ataku hysterii.

Podejrzewała, iż Dakota dowiedziała się jeszcze czegoś. Może znalazła jakiś dowód, że Andrew ocalił świat lub dokonał czegoś równie heroicznego... i możliwego jedynie pod warunkiem, że powróci do osiemnastego wieku. Shannon czuła, że jej podejrzewania są słuszne, co tylko potęgowało jej wyrzuty sumienia. Gdy Dakota podała mu dokumenty dotyczące Emilie

i Zane'a, Shannon miała wrażenie, że jej serce nagle stanęło.

Zerknęła na Andrew. Z kieszeni jego koszuli wystawały kopie dokumentów. Nie miała pojęcia, co też mogą zawierać.

Nasuwało się pytanie, dlaczego tak się denerwowała z powodu ludzi, którzy zmarli dwieście lat temu? Dlaczego nie byli jej równie obojętni jak Juliusz Cezar, Napoleon czy Dżyngis-chan? Jak to możliwe, że przyjaciele Andrew wywierają na nią wpływ, choć dzieli ich ponad dwieście lat?

Może to dlatego, że nie wierzysz, by Andrew skończył z przeszłością?

Spojrzała na niego. Patrzył prosto przed siebie. Widziała jego profil i brodę niczym wykutą z granitu.

Może to dlatego, że go kochasz?

Andrew zwrócił głowę w jej stronę i spojrzał jej w oczy.

W milczeniu wjechali do garażu. Gdy zgasiła silnik, przez chwilę siedzieli nieruchomo.

- Bardzo przepraszam - przerwała ciszę Shannon. - Zachowywałam się okropnie.

- A ja zachowywałam się jak idiota - odrzekł, wyciągnął z kieszeni odbitki, przedarł je i wrzucił do kosza.

- Skończyłem z przeszłością.

Shannon patrzyła, jak skrawki papieru opadają na podłogę i modliła się, aby Andrew nigdy nie żałował tej decyzji.

Leżeli obok siebie w łóżku, skapani światłem księżyca. Ich akt miłości był tym razem radosnym pot-

wierdzeniem cudu, dzięki któremu znaleźli się razem. Jeśli nawet mogli jeszcze czegoś pragnąć, Shannon nie potrafiła sobie wyobrazić, cóż to by mogło być. Gdy była w jego ramionach, przeżywała taką rozkosz i szczęście, że zapominała o wyrzutach sumienia.

- Czy jesteś szczęśliwy? - spytała cicho, muskając ustami jego ramię. - Czy pragnąłeś jeszcze czegoś?

- Dziwne pytanie, dziewczyno, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę wydarzenia ostatnich dwóch godzin.

Shannon uśmiechnęła się.

- Chcę, żebyś był szczęśliwy - powiedziała z naciskiem. - Nie chcę, żebyś kiedykolwiek żałował, że nie pozostałeś w osiemnastym wieku. To możliwe, Andrew. Jestem tego pewna.

Słowa Shannon zupełnie go zaskoczyły. Nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego kobiety wymagają ciągłych zapewnień. Najwyraźniej upływ czasu nie spowodował zaniku tej dziwnej cechy.

Objął ją w pasie i podciągnął do góry, tak że ustami niemal dotykał jej warg.

- Czy może wyrażałem jakoś rozczarowanie?

- Nie, ale...

- Czy jestem tu z tobą, w twoim łóżku?

- Tak, ale...

- Jeśli tak, to bądź cicho, bo mamy ważniejsze rzeczy do zrobienia.

- Przecież z pewnością nie ... To znaczy, dopiero co skończyliśmy... - Shannon zaśmiała się cicho. - To zdumiewające!

- Aha - mruknął, sięgając ręką w dół, aż dotknął jej gorącego, wilgotnego uda. - To zdumiewające.

Shannon wygięła się w łuk i cicho westchnęła z rozkoszy, co doprowadziło go niemal do szaleństwa.

Chciał czegoś więcej. Chciał ją wielbić, nasycić siebie jej zapachem i smakiem.

- Nic ci nie zrobię - powiedział, przesuając się na skraj łóżka. - Wierzysz mi, prawda?

- Tak - szepnęła. - Wierzę.

Ukląkł na podłodze i rozsunął jej uda. Pachniała seksem i życiem... Czuł bijące od niej ciepło, słodycz... Przypominała mu dojrzałą, soczystą brzoskwinie, rozgrzaną letnim słońcem...

Shannon uniosła biodra, poddając się pieścizotom jego warg. Andrew wziął wszystko, co mogła mu zaofiarować i zażądał jeszcze więcej. W chwilę później osiągnęła znów szczyt i jej ekstatyczny krzyk wypełnił sypialnię. Potem Andrew położył się przy niej, przytulił ją i czekał, aż jej serce się uspokoi.

- Tylko ty - szepnęła, całując go w usta. Poczuła własny zapach i smak. - Tylko ty. Zawsze.

- Tak, Shannon. - Ogarnęła go radość. - Od dziś będę już tylko ja.

Shannon uniosła się na łokciu. Nawet w półmroku widział, jak błyszczącej oczy.

- Połóż się na plecach - zażądała. - Teraz twoja kolej.

Andrew nie spotkał w swoich czasach kobiety, która by chciała przejąć inicjatywę. Nawet dziwki, z którymi robił co chciał, tylko wykonywały jego polecenia. Teraz

nie wiedział, czy ma protestować, czy poddać się jej zabiegom.

Prawdę mówiąc, Shannon nie zostawiła mu czasu na podjęcie decyzji. Całowała i muskała palcami jego skórę, aż w końcu domyślił się, co chce zrobić.

- To niebezpieczna zabawa, dziewczyno - powiedział, gdy Shannon dotknęła jego przyrodzenia. - Mężczyzna nie może się długo hamować...

W tej samej chwili głośno jęknął. Usta i ręce Shannon były początkowo niepewne, tak jakby nie wiedziały, co robić, wkrótce jednak intuicja podpowiedziała jej wszystko. Andrew ze zdumieniem pomyślał, że dążąc do sprawienia mu przyjemności, Shannon sama odczuwa rozkosz. To było ponad jego siły.

- Dość już, dziewczyno. - Chwycił ją za ramiona i pociągnął do góry. - Tym razem skończymy razem.

Kocham cię, pomyślał wzruszony.

- Ja też cię kocham - usłyszał w ciemnościach jej głos.

Jutro i na zawsze

19

- Pamiętaj - ostrzegła go ponownie Shannon, przybliżając biodra do jego ud. Stali na trawniku przed domem. - To był twój pomysł.

- Wiem o tym, dziewczyno.

- To może zboleć.

- Aha.

- Liczę do trzech - zapowiedziała, przyjmując pozycję. - Raz, dwa, trzy!

Andrew nagle przeleciał przez jej ramię i upadł na trawę.

- Widzisz? - powiedziała, kucając obok niego. - Kobieta może pokonać mężczyznę.

Leżał na wznak i nie odpowiadał.

- Andrew? - Shannon pochyliła się nad nim i dotknęła jego piersi. - Nic ci nie jest? - Ponieważ milczał, zaczęła się denerwować. - Andrew! Nie wygłupiaj się! Powiedz coś, proszę.

Andrew nagle coś krzyknął, przyciągnął ją do siebie i odwrócił. Teraz i ona leżała na trawie.

- To jakaś sztuczka, dziewczyno! - powiedział. Shannon wybuchnęła śmiechem. - Jakiś dziwny trik!

- To karate. Każdy może się tego nauczyć - oznajmiła. - Wystarczy parę lat ćwiczeń - dodała ironicznie.

- Dla kobiety to raczej niezwykła umiejętność - zauważył i mocno ją pocałował.

- Dla inteligentnej kobiety to konieczność -- odrzekła Shannon. - Żałuję, że nie znałam karate, kiedy miałam męża. Wiele rzeczy wyglądałoby teraz inaczej. - Gdyby tak było, z pewnością zostawiłaby Bryanta natychmiast po pierwszej awanturze.

- Czy tego właśnie uczysz kobiety w schronisku?

- Również i tego - potwierdziła. Podała mu rękę i Andrew pomógł jej wstać. - Przede wszystkim wpajamy tym kobietom poczucie godności. Nauka samoobrony jest tego świetnym początkiem.

- Taka wiedza przydałaby się tej małej Angeli - zauważył po krótkim namyśle.

- Niech to diabli - mruknęła Shannon. Dzieci zawsze padają ofiarą konfliktów rodzinnych. Nie mogła pogodzić się z tym, że dzieci cierpią wskutek przemocy. - To wcześniej się zaczyna.

- Czy możesz nauczyć dzieci czegoś, co dałoby im poczucie godności, o której tyle mówisz?

- Istnieją rozmaite zabawy, przekazujące dzieciom wzorce społeczne... - Shannon urwała. - To brzmi absurdalnie, prawda? Te dzieci potrzebują czegoś więcej niż takiej zabawy. Ktoś musi je nauczyć, jak mają znaleźć dla siebie miejsce w świecie.

- Tak - zgodził się Andrew. - Ktoś również powinien je nauczyć, jak znaleźć drogę w lesie. - Pokręcił głową ze zdziwieniem. - Byliśmy w odległości głosu od domu,

a one nie wiedziały, jak wrócić. Przykro było na to patrzeć.

- Mam! - Shannon chwyciła go za ramię. - Możemy zorganizować dla nich skromny program harcerski.

- Nie wiem, co to takiego program harcerski.

- W dzisiejszych czasach ludzie stracili zdolność obywatela się bez pomocy techniki. Harcerze urządzają wyprawy do lasu i uczą się, jak przetrwać o własnych siłach - wyjaśniła Shannon z entuzjazmem.

- To z pewnością przydałoby się tym dzieciom.

- Zrobisz to? - spytała, niemal podskakując z podniecenia.

- Nie rozumiem cię.

- Mógłbyś ich zabrać do lasu. Przenocowalibyście pod gołym niebem. Wiem, że byłaby to dla nich wspańska zabawa, a co ważniejsze, mógłbyś ich nauczyć, jak mają sobie radzić.

- Moja wiedza pochodzi z innych czasów.

- Niektóre rzeczy się nie zmieniają, na przykład sposoby przetrwania, gdy ktoś jest zdany tylko na własne siły. Technika nie może pomóc komuś, kto zgubił się w lesie.

- Możemy się nad tym zastanowić.

- To będzie wspańska zabawa, Andrew - ekscytowała się Shannon. - Ja również mogłabym skorzystać z okazji i czegoś się nauczyć.

- Powinnaś zostać adwokatem, dziewczyno. Umiesz bronić swojej sprawy.

- Musimy to szybko zorganizować. - Shannon zarzuciła mu ręce na szyję. - Jest już czwartek. Wątpię, żeby zostali tu dłużej niż tydzień.

- Możemy to zrobić choćby dziś wieczór.

- Nie. - Shannon mocno go pocałowała. - Nie jestem jeszcze gotowa, żeby się tobą dzielić z innymi.

- A kiedy będziesz gotowa? - W jego oczach pojawiły się iskierki radości.

- Chciałam z tobą o tym porozmawiać. Czy wybrałbyś się ze mną na bal w sobotę wieczór? To impreza na cele dobroczynne.

- A jeśli nie, to co?

- To pójdę sama.

- Wobec tego pójdę z tobą. - Andrew skrzywił się na samą myśl o tym, że mieliby się rozstać. Shannon była wzruszona jego troską.

- Będziesz potrzebował smokingu - powiedziała z uśmiechem.

- Powiedz mi, co to takiego, to zdecyduję, co robić.

- To rodzaj ubrania na uroczyste okazje.

- Czy to będzie wymagało kolejnej wizyty u krawca? - Andrew zmarszczył brwi.

- Oczywiście.

- Wobec tego nie pójdę. Ten człowiek mierzy nie tylko materiał.

Shannon wybuchnęła śmiechem.

- To właściwie nie jest konieczne - stwierdziła po chwili. - Mają już zapisane twoje wymiary. Mogę sama pojechać.

- Doskonale. Zauważyłem, że trzeba naprawić bramę garażu. Zajmę się tym, gdy cię nie będzie.

- Chyba zbiera się na burzę - powiedziała zerkając

na niebo. - Powinnam się spieszyć. Może zdążę, nim zacznie lać.

Pocałowała go i pobiegła się przebrać. Gdy tylko zniknęła, Andrew przestał się uśmiechać.

To nie są burzowe chmury, pomyślał patrząc na niebo. To znów te same chmury, jakie widział w dniu, gdy wyruszał w podróż... i jakie pojawiły się na niebie poprzedniego dnia rano.

A może nie są tak wyjątkowe, myślał idąc do garażu. Jeśli sądzić po wydarzeniach ostatnich paru dni, takie chmury nie powinny być rzadkością.

Wszedł do garażu. Chciał tylko wziąć stąd narzędzia, ale pod wpływem nagłego impulsu skierował się do miejsca, gdzie schował balon.

- Nie powinieneś tego robić - powiedział głośno. Jakież znaczenie miał fakt, czy balon jeszcze bardziej wypłowił i czy gondola jest w jeszcze gorszym stanie? Przecież nie zależało mu na znalezieniu powrotnej drogi.

Mimo to ciekawość zwyciężyła. Gdy odrzucił płachtę, przez chwilę z niedowierzaniem przyglądał się balonowi. Kolor powłoki się nie zmienił, ale tkanina zrobiła się cieńsza, niemal przezroczysta. Trudno było uwierzyć, że mogłaby wytrzymać działanie magicznego ognia, który umożliwił lot balonu. Wokół leżały porzucane strzępki dokumentów, które dała mu Dakota. Tym razem Andrew postanowił nie przejmować się balonem.

- To nie ma znaczenia - powiedział i odwrócił się. Emilie i Zane... Rebeka i Josiah... wszyscy już odeszli, należeli do odległej przeszłości. Teraz była jego kolej. Mógł wybrać takie życie, jakiego pragnął.

Nie zamierzał opuszczać dwudziestego wieku. Chciał tu pozostać co najmniej tak długo, jak długo Shannon będzie go kochać.

- Wyglądasz okropnie, kochanie.

Dakota podniosła głowę znad katalogowanych dokumentów.

- Mamo! Co ty tu robisz?

Ginny Wylie wyglądała jak kopia swej córki, tyle że o dwadzieścia lat starsza. Miały takie same krótko obcięte, ciemne włosy, czarne oczy, dziwaczny gust w sprawach stroju i zdolności parapsychologiczne. Z tego ostatniego powodu w ciągu ostatnich kilku lat relacje między matką i córką były często napięte, a czasami wyjątkowo subtelne. Z całą pewnością nie groziła im nuda.

- Miałam kolejny sen - obwieściła Ginny. - Musiałam tu przyjechać i przekonać się na własne oczy, co się z tobą dzieje.

Dakota zdjęła okulary i przetarła oczy.

- No to już wiesz. Wciąż tu jestem, jakoś nie odeszłam w siną dal z tajemniczym uwodzicielem. Jesteś zadowolona?

Oczywiście, to nie usatysfakcjonowało Ginny. Usiadła na skraju biurka i przyjrzała się córce.

- Przybrałaś na wadze - zauważyła.

- Dziękuję, mamo. Czy zwróciłaś również uwagę, że mam wory pod oczami?

- Nie chciałam cię krytykować, kochanie. Martwię się o ciebie.

- Nie masz się czym martwić - odrzekła Dakota. Nie mogła zrozumieć, o co matce chodzi. - Nic mi nie jest.

- To nieprawda.

- Czy mówisz tak jako medium, czy też jako matka?

- Występuję w obu rolach. - Ginny pochyliła się i chwyciła ją za ręce. - Ostatnio często miałaś zawroty głowy, prawda?

- Nie jestem w ciąży, jeśli to cię niepokoi.

- Oczywiście, że nie jesteś - skrzywiła się Ginny.

- Do tego potrzeba mężczyzny.

- Jeszcze raz dziękuję, mamó - odrzekła Dakota oschle. - Jestem tłusta, głupia i samotna. Wszyscy się dziwią, dlaczego nie zdecydowałam się na psychoterapię.

- Oni tu byli, prawda? - Ginny uniosła głowę i niemal zaczęła wachać. W tym momencie przypominała psa na tropie.

Nie było sensu zaprzeczać. Dakota dobrze pamiętała, jak w wieku szesnastu lat usiłowała ukryć przed matką fakt, iż spotyka się ze „złym chłopcem” ze szkoły. Niestety, w rzeczywistości to wcale nie było tak ekscytujące. W owych czasach „złym chłopcem” z pryncetońskiego college’u był bogaty młodzieniec, który nie oddał na czas pięciu książek z biblioteki.

- Tak - odpowiedziała Dakota. - Wczoraj.

- Wyraźnie to czuję - stwierdziła Ginny. - Ten człowiek ma wyjątkowo potężne pole.

- Dobrze, że mi o tym powiedziałaś - mruknęła ironicznie Dakota.

- To dlatego mdlałaś, prawda?

- Nie mdlałam, tylko traciłam przytomność. To coś zupełnie innego.

- Czy zdarza się to tylko w jego obecności?

Dobra jesteś, muszę ci to przyznać, pomyślała z uznaniem Dakota.

- On nie ma aury, mamo. Patrzysz na niego i odnosisz wrażenie, jakbyś stała na skraju czarnej dziury.

Wspaniale, Dakoto. Tak jakby matka jeszcze za mało wiedziała.

- Kiedy zamierza wrócić? - spytała Ginny tak rzeczowym tonem, jakby prosiła o dokładkę kartofli.

- Wrócić dokąd?

- Tam, skąd przybył. - Ginny machnęła niecierpliwie ręką. - Do 1588, 1776 lub 1812 roku. To z pewnością jedna z tych trzech możliwości.

- Dlaczego uważasz, że przybył z innej epoki?

- Nie mam pojęcia - przyznała Ginny. - Po prostu wiem, że tak jest.

- Mieszka teraz z Shannon. - Dakota spróbowała zmienić temat.

- To nie potrwa długo - odrzekła matka. - Właśnie w tej chwili ma okazję powrotu, ale nie zwraca uwagi na istotne sygnały.

- Ty też to czujesz? - Dakota z trudem przełknęła ślinę.

- A czy to takie trudne? - Ginny wzruszyła ramionami. - To jasne jak słońce.

- Co będzie, jeśli nie skorzysta z tej okazji? Czy będzie miał jeszcze szansę?

- Tak, ale już niedługo będzie musiał się zdecydować

- oświadczyła Ginny. Wydawała się pewna swej racji.
- Prędzej czy później straci szansę.
 - I co wtedy? Chyba nie umrze, prawda?
 - Nie wiem - przyznała uczciwie Ginny. - To miało-
by jednak poważne konsekwencje. Z jego przyszłością
związane są losy mnóstwa ludzi. Tego jestem pewna.

Dakota pomyślała o dokumentach, które mu wręczy-
ła. Ciekawa była, jak zareagował na relacje o walkach,
jakie toczyli jego przyjaciele podczas wojny, o niebez-
pieczeństwach, na jakie byli narażeni.

- Chciałabym, żeby Shannon to zrozumiała.
- Jest w nim zakochana, prawda?
- Obawiam się, że tak. - Dakota kiwnęła głową.
- Powiedz jej, żeby się nie przejmowała. - Ginny nie
wydawała się zmartwiona. - Może przecież polecieć ra-
zem z nim.

- Mówisz tak, jakby to była najłatwiejsza rzecz na
świecie - zaśmiała się Dakota.

- To nic trudnego. - Ginny nie straciła pewności sie-
bie. - Trzeba tylko słuchać głosu serca.

- Większość ludzi nie musi podróżować przez dwa
stulecia, żeby zrobić to, co nakazuje im serce.

- Życie to wielka przygoda, kochanie. Większość lu-
dzi boi się walczyć o spełnienie marzeń.

Dakota przypomniała sobie, jak jakieś piętnaście lat
wcześniej była z rodzicami w kinie na „Bliskich spotka-
niach trzeciego stopnia”. Wszystkich zafascynowała
opowieść o zwykłych ludziach wybranych przez poza-
ziemskie istoty, aby doświadczyły życia na innej plane-
cie. Po filmie Ginny spytała dzieci, jak im się to podoba-

ło. Wszystkie, z wyjątkiem Dakoty, stwierdziły, że chciałyby zobaczyć statek kosmiczny, ale żyć wolą na Ziemi.

- A ja chciałabym polecieć - oświadczyła Dakota.
- Gdybym tylko mogła, zdecydowałabym się natychmiast.

Bracia i siostry długo z niej kpili, ale w oczach matki Dakota dostrzegła podziw i zrozumienie.

- Naprawdę powinnam zabrać się do roboty, mamó - powiedziała. - Ostatnio doktor Forsythe poświęca mi wiele uwagi.

- Kto by się nim przejmował - prychnęła Ginny. - Przecież nie będziesz wiecznie siedzieć w tej bibliotece, skarbie.

- Sprawiasz mi nieustającą radość - stwierdziła Dakota. - Najpierw dowiaduję się, że jestem tłusta, a potem, że czeka mnie bezrobocie. Co dalej, mamó? Pewnie mi powiesz, że nie ma świętego Mikołaja!

- Bardzo jesteś zabawna. - Ginny pochyliła się nad biurkiem i pocałowała córkę w policzek. - Tylko nie zapomnij, co ci powiedziałam, moja droga. Życie to przygoda.

- A co to ma znaczyć?
- Dowiesz się, gdy przyjdzie odpowiednia pora. - Aura Ginny miała kolor dojrzałej cytryny, zapewne taki sam jak Matki Teresy.

- Dzięki takim przepowiedniom mamy fatalną opinię - zirytowała się Dakota. - Gdybyś potrafiła normalnie odpowiedzieć na pytanie, byłoby znacznie lepiej dla wszystkich.

- Nie będę z tobą dyskutować - odparła Ginny. -
Twoja aura jest dziś dość słaba. - Poklepała córkę po
ramieniu i wstała z biurka. - W aptece na rogu mają
żeńszę. Zrób sobie większy zapas.

Ginny pomachała córce ręką i wyszła. Dakota przez
chwilę siedziała nieruchomo, zastanawiając się nad jej
słowami.

- Dobrze pani wie, jaki jest mój stosunek do spot-
kań towarzyskich w pracy - usłyszała głos doktora
Forsythe'a. Nie mógł znaleźć lepszej okazji na tę rozm-
owę.

- Mówił mi pan o tym raz lub dwa - stwierdziła spo-
kojnie.

- Również wczoraj odwiedzali panią znajomi. - For-
sythe mówił takim tonem, jakby to była zbrodnia prze-
ciw ludzkości.

- Aby zdobyć informacje na temat pewnych wyda-
rzeń historycznych. Nasze stowarzyszenie powstało po
to, aby pomagać w takich sytuacjach.

- A kim była ta dziwnie ubrana dama, która siedziała
na pani biurku?

- Nie było tu żadnej dziwnie ubranej damy, doktorze
Forsythe. - Dakota uśmiechnęła się ironicznie. - Odwie-
dziła mnie matka.

- Na przyszłość będzie lepiej, jeśli usiądzie na krze-
śle - odrzekł Forsythe, ale wyraźnie poczerwieniał.

- Postaram się do tego skłonić.

- Mam nadzieję.

- Żółć.

- Co takiego? - zdziwił się Forsythe.

- Powiedziałam: żółć. Pana aura ma kolor żółci. Myślałam, że powinien pan coś z tym zrobić.

Doktor Forsythe wyszedł z pokoju, mrużąc coś pod nosem o niesubordynacji. Dakota tylko się uśmiechnęła. Masz rację, mamó, pomyślała. Nie będę tu wiecznie. Ciekawe, ile wynosi zasiłek dla bezrobotnych?

Jutro i na zawsze

20

Ekspedient w sklepie z odzieżą w Bridgewater Commons osiągnął szczyty artyzmu w sztuce schlebiana klientom. Shannon z trudem skrywała obrzydzenie.

- Czy jest pan pewien, że zdążycie przysłać smoking jutro po południu?

- Ma pani moje słowo, pani Whitney - odpowiedział, lekko skłaniając głowę. - Ten bal to najważniejsze wydarzenie towarzyskie w całym okręgu Somerset. Nigdy jeszcze nie zawiedliśmy nikogo z naszych znamienitych klientów. - Ekspedient szeroko się uśmiechnął. - Pani przyjaciel ma szczęście, że pani zechciała się nim zająć.

Co za bezczelność! Shannon szła korytarzem, pieniać się ze złości. Ten ekspedient zachowywał się tak, jakby Andrew był żigolakiem, może nawet utrzymankiem. Przecież kobiety kupują ubrania i koszule dla swoich mężów, to zupełnie normalne. Skąd ten kretyń wie, że ona nie jest żoną Andrew?

- Zrobiłaś się bardzo wrażliwa, co? - mruknęła do siebie, zirytowana własnymi reakcjami.

Przeszła przez dział kosmetyków, nie zwracając uwa-

gi na liczne dziewczyny sprzedające perfumy, gotowe zaatakować każdego potencjalnego klienta. Oczywiście, nie była przewrażliwiona. Żałowała tylko, że puściła płazem temu nadskakującemu ekspedientowi jego niewłaściwą uwagę.

Aha, powiedziała sobie w duchu. I to pewnie nie ma nic wspólnego z tym, co widziałaś w garażu, prawda?

Szybkim krokiem przeszła obok wspaniałej kolekcji swetrów i skierowała się do windy. Robiła co mogła, aby zapomnieć ten widok, ale najwyraźniej szło jej dość marnie. Wciąż miała przed oczami obraz Andrew stojącego tuż obok gondoli balonu. Zauważyła nędzny stan powłoki i gondoli, ale przede wszystkim dostrzegła wyraz jego oczu, gdy patrzył na balon.

Andrew nie wiedział, że Shannon go obserwuje, ponieważ stała ukryta w cieniu drzewa. Przesunął ręką po krawędzi kosza, a na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz. Nie trzeba jasnowidza, by odgadnąć, że myśli o swoim dawnym życiu. Z pewnością do czegoś tęsknił, czegoś mu tu brakowało.

Postaram się, żebyś o tym zapomniał, myślała Shannon idąc do działu odzieżowego. Cokolwiek to jest, ja-koś ci to zastąpię.

Była zajęta wybieraniem białej koszuli wieczorowej, gdy nagle poczuła, że ktoś ją obserwuje. Obejrzała się przez ramię. Jakiś elegancko ubrany mężczyzna, wyglądający na biznesmena, nie spuszczał z niej wzroku.

Wróciła do przerwanej zajęcia. Jeśli tamten ma ochotę zacząć rozmowę, to chyba powinien już wiedzieć, że lepiej nie próbować.

- Pani wybaczy-usłyszała jego głos.
- Słucham? - odpowiedziała niechętnie.
- Czy my się znamy?
- Nie sędzę.
- Jestem pewny, że kiedyś panią spotkałem.
- Nie przypominam sobie.
- Linc - przedstawił się tamten, wyciągając rękę. -

Linc Stewart.

- Bardzo mi przykro, panie Stewart, ale bierze mnie pan za kogoś innego. - Shannon odsunęła się o krok. Mężczyzna nie zrezygnował.

- Chwileczkę, niech pani mi nie podpowiada - powiedział. - Zaraz sam zgadnę, jak się pani nazywa.

- Doprawdy, panie Stewart! - Shannon skierowała się do ruchomych schodów. - Spieszę się. Jestem pewna, że pamiętałabym pana, gdybyśmy się kiedyś spotkali.

- Kitty... Katie... Katharine! Już wiem! Katharine Morgan!

Zawirowało jej w głowie. Niewiele brakowało, a straciłaby przytomność.

- Nic pani nie jest? - zaniepokoił się Stewart. - Może pani usiądzie, przyniosę pani szklanek wody.

- Nie, dziękuję, nic mi nie jest... - Shannon gorączkowo usiłowała wymyśleć jakieś wiarygodne wytłumaczenie. - Jestem w ciąży i mam często zawroty głowy. John, to znaczy mój mąż, radził mi, żebym nieco zwolniła obroty, ale wie pan, jak to jest... - Uśmiechnęła się do niego promiennie. - Przykro mi, ale nie jestem pana znajomą. Nie nazywam się Katharine Morgan - powiedziała swobodnie. - Przepraszam.

Stewart przez chwilę uważnie się jej przyglądał.

- Ma pani rację - powiedział wreszcie. - Zapewniam jednak panią, że wygląda pani jak jej siostra bliźniaczka.

- Muszę już iść. - Shannon weszła na ruchome schody. - Bardzo mi było przyjemnie pana poznać.

Odetchnęła dopiero w samochodzie. Szansa na przypadkowe spotkanie z kimś, kogo znała w poprzednim okresie życia, musiała być rzędu jeden do miliona. Niezależnie od tego, kim jest Linc Stewart, z pewnością nie odegrał ważnej roli w życiu jej i Bryanta. Ona również nie była dla niego ważna. Pewnie spotkali się na jakimś przyjęciu i na tym koniec.

Powinnaś o nim zapomnieć, nakazała sobie skręcając w bramę swej posiadłości. To był czysty przypadek, jeden z tych dziwacznych zbiegów okoliczności, które w istocie nie mają żadnego znaczenia. Bryant wyszedł warunkowo z więzienia już sześć miesięcy temu i na razie nie miała powodów się niepokoić. Był gdzieś w Kalifornii i dzięki Bogu oraz systemowi wymiaru sprawiedliwości, miał tam pozostać jeszcze długo.

Zapragnęła zobaczyć Andrew i znaleźć się w jego ramionach. Chciała koniecznie zapomnieć o tym dziwaczonym spotkaniu. Zostawiła samochód na podjeździe i pobiegła do garażu. Tam go nie było. Już miała wyjść, gdy zwróciła uwagę na balon. Gdy podeszła bliżej, dostrzegła porozrzucane strzępki papieru.

Było oczywiste, że Andrew nie czytał tych dokumentów. Natomiast Shannon nie mogła się powstrzymać. Zebrała kawałki i uporządkowała je. Chciała wiedzieć, co Dakota uznała za ważne na tyle, by mu to przekazać,

i to wbrew jej wyraźnie wyrażonej woli. Strzepnęła kurz i przerzuciła przerwane na pół kartki. W większości były to trywialne informacje o zasiewach, pomiarach gruntu i zabudowań, ale pośród tych gospodarskich notatek znalazł się akapit, którego treść zmroziła ją.

Wepchnęła kartki do torebki i wybiegła na dwór. Nigdzie nie mogła dostrzec Andrew. Okrzyżyła garaż, ale po drugiej stronie również go nie było.

- Andrew! - zawołała. Zdziwiła się, słysząc swój głos. Brzmiał dziwnie i obco. - Andrew, gdzie jesteś?

- Tutaj.

Shannon odwróciła się.

- Wyżej.

Andrew stał na najwyższym stopniu drabiny i naprawiał dach oranżerii.

- Och, Andrew. - Shannon nagle wybuchnęła płaczem.

Andrew jeszcze nigdy nie widział jej w takim stanie. Zeskoczył z trzech metrów na ziemię i podbiegł do niej.

- Shannon, najdroższa... - szepnął tuląc ją do siebie. - Spokojnie... nie płacz...

- Nigdy nie płaczę - odparła, usiłując odzyskać panowanie nad sobą. - Nie mogę uwierzyć, że tak się zachowuję.

- To w pełni naturalne. Płacz leczy duszę.

- Moja dusza nie wymaga leczenia.

- Musi być jakaś przyczyna twojego zachowania, kochanie. Powiedz mi, co się stało.

- Nie wiem. - Shannon ukryła twarz na jego ramie-

niu. - Nic... wszystko... - Spojrzała na niego. Po policzkach płynęły jej łzy. - Mówię coś bez sensu, prawda?

- Wcale nie - odrzekł i spojrzał jej prosto w oczy.

- Nie mogłam cię znaleźć, Andrew - powiedziała po chwili. - Nie było cię w garażu, później nie mogłam cię znaleźć na podwórku. Sama nie wiem, co mi przyszło do głowy. Już myślałam, że odszedłeś.

- Dokąd miałbym odejść, kochanie, skoro wszystko, czego pragnę, trzymam teraz w objęciach?

- Nie musimy tu siedzieć, Andrew. - Shannon uniosła ręce i objęła dłońmi jego twarz. - Musisz poznać cały świat. Możemy podróżować.

- Przecież tu masz swoje życie - zdziwił się. Nie wiedział, do czego Shannon zmierza. W jej głosie słyszał nutę desperacji. - Są tu ludzie, którzy oczekują twojej pomocy.

- Fundacja działa już sama - odparła. - Podpisałam wszystkie dokumenty. Mogłabym wyjechać na Borneo i jeść tylko kokosy, a schroniska działałyby jak dotychczas. - W jej oczach pojawił się blask, którego Andrew nigdy przedtem nie zauważył. - Cokolwiek robię dla fundacji, to raczej dla własnej przyjemności niż z konieczności. Od przyszłego tygodnia zacznę pracę zespół, który będzie prowadził wszystkie schroniska.

- Wydajesz się wzburzona.

- Nie jestem wzburzona. Jestem szczęśliwa, że wszystko układa się pomyślnie. Czy ty tego nie rozumiesz? Jestem bogata, Andrew. Mam dość pieniędzy, żebyśmy mogli podróżować, gdzie tylko zechcemy. Przez całe życie nie zdążymy wydać wszystkich pieni-

dzy. Polecimy odrzutowcem, helikopterem, Concorde, kupię ci samochód...

- Dość tego! - Andrew szorstko przerwał jej tę tyradę. - Do diabła, co ci się stało? Nie jestem mężczyzną, który żyje za pieniądze kobiety. Zwykłem sam radzić sobie w życiu.

- Och, nie bądź śmieszny - odparła niecierpliwie. - Najpierw musisz poznać ten świat, później zrobisz karierę. Wierz mi, Andrew, świat nie kończy się na New Jersey.

- Zwiedzimy świat, kiedy będę mógł sobie pozwolić na taki luksus.

- Mnie stać na to już teraz. Dlaczego mielibyśmy czekać?

- Jestem wykształconym człowiekiem. Znajdę sposób, żeby zarabiać na życie.

- Boże, Andrew... ty nic nie rozumiesz. Nie masz żadnych dokumentów, metryki, prawa jazdy, dyplomu. Właściwie można by powiedzieć, że nie istniejesz.

- W moich czasach czyjaś obecność była wystarczającym dowodem istnienia.

- Teraz życie jest znacznie bardziej skomplikowane.

- W bostońskim archiwum można znaleźć moją metrykę i świadectwo ślubu.

- Nie wątpię - westchnęła ciężko Shannon. - Ale pochodzą z osiemnastego wieku. Będziemy musieli zdobyć dla ciebie fałszywe dokumenty, i to szybko.

- Czy to można załatwić?

- Tak - przyznała. - Będę jednak potrzebowała nieco czasu, żeby dowiedzieć się, jak to zrobić.

- Sama to zrobiłaś - zauważył. - Przecież po rozwodzie zaczęłaś nowe życie.

- Tak, ale pomogło mi w tym FBI - przypomniała mu Shannon. - To znaczy policja federalna.

- Możemy ich poprosić, żeby pomogli również mnie.

- To nie takie proste, Andrew.

- Przecież policja jest z tobą w kontakcie, pilnuje, czy nic ci nie grozi.

- Przestali się już ze mną kontaktować. Załatwili mi papiery i zostawili swojemu losowi.

- Czy to rząd dał ci tyle pieniędzy?

- Nie, rodzice. Gdy skończyłam dwadzieścia jeden lat, zaczęłam czerpać dochody z funduszu powierniczego.

- Powiadasz zatem, że choć istnieję, w rzeczywistości nie istnieję, dopóki nie mam dokumentów, które tego dowodzą.

- W zasadzie tak - przyznała Shannon. - Ale czy ty naprawdę nie rozumiesz, że to żaden problem? Kupię ci gdzieś dokumenty, dostaniesz paszport i będziemy mogli ruszyć w podróż dookoła świata.

- Gdy będzie mnie na to stać.

- Jeszcze o tym porozmawiamy. - Shannon zacisnęła uparcie usta.

- Dobrze, możemy jeszcze o tym porozmawiać.

- Przecież w sobotę idziemy na bal maskowy! - przypomniała sobie nagle. - Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam? Spotkasz tam wszystkie ważne osobistości z całego stanu. Z pewnością znajdziemy kogoś, kto będzie mógł nam pomóc.

- Przykładasz wielką wagę do wieczoru przeznaczono-
nego na rozrywkę.

- Och, ten bal można różnie określać, ale z pewno-
ścią nie jest to rozrywka. Bal na cele charytatywne to
praca, tak samo jak zajęcia biurowe.

- Czy uważasz, że pójście na bal może przynieść
jakieś zyski?

- Jestem tego niemal pewna.

Shannon była tak piękna i Andrew kochał ją tak moc-
no, że niemal jej uwierzył.

W piątek rano cztery kobiety ze schroniska siedziały
na trawie i przyglądały się, jak Andrew maluje drzwi.
Shannon siedziała na schodkach tuż obok niego, niemal
w zasięgu pędzla. Sprowadziła swoje pensjonariuszki,
aby porozmawiać z nimi o planowanej wycieczce. Jak
dotychczas, spotkała się z chłodnym przyjęciem.

- Nie wiem, co wy o tym myślicie - stwierdziła Pat
- ale ja nie pozwolę dzieciom nocować w lesie, chyba że
będę z nimi.

- Nie chciałabym tkwić w lesie w środku nocy - za-
trzęsła się Terri. - Tyle tam robaków i owadów.

- To przecież o to chodzi, prawda? - roześmiała się
Rita, matka Dereka. - Dzieci mają przywyknąć do owa-
dów, zwierząt i braku łazienki. - Spojrzała na Shannon.
- Słyszałam już o takich pomysłach. To chodzi o wyro-
bienie pewności siebie, prawda?

- Oczywiście. Tę metodę stosuje się wobec pacjen-
tów chorych na raka, menedżerów, i w takich przypad-
kach jak wasz i mój.

- Twój? - zaśmiała się Pat. - Słyszałam już, przez co przeszedłeś, ale... - Wskazała ręką dom i całą posiadłość.
- Trudno mi sobie wyobrazić, na czym polegał twój problem. Gdybym miała tyle pieniędzy, odeszłabym od męża już dawno.

- To nie zawsze jest kwestia pieniędzy. - Shannon nie chciała minimalizować znaczenia finansowego bezpieczeństwa. - Owszem, miałam pieniądze, ale brakowało mi czegoś, co jest znacznie ważniejsze.

- Klucza do sejfów? - wtrąciła Pat.

- Odwagi - odpowiedziała Shannon. - I poczucia własnej godności. Jeśli komuś brakuje tych dwóch rzeczy, to wszystko inne nie ma znaczenia.

- I uważasz, że dzięki nocy w lesie nabierzemy odwagi i zyskamy poczucie godności? - spytała sceptycznie Pat.

- Myślę, że to byłby dobry początek.

Zapadła długa cisza. Shannon zastanawiała się, czy nie posunęła się za daleko, ale wiedziała, że tak czy owak trzeba powiedzieć im prawdę.

- Nie wiem, co wy o tym myślicie - przerwała ciszę Rita - ale ja z przyjemnością spędzę noc na świeżym powietrzu. Możesz liczyć na mnie i dzieci, Shannon.

- Ja zostaję w domu - stwierdziła Terri. - Wolę obejrzeć film.

Pat spojrzała najpierw na matkę, później na Shannon.

- Pójdę - powiedziała. - Jeśli jednak zobaczę choć jednego pajaka, natychmiast wracam.

- A dzieci? - spytała Shannon.

- Uwielbiają pajaki. - Pat uśmiechnęła się po raz

pierwszy od przybycia do schroniska, co szczerze ucieszyło Shannon.

- Moje dzieci są starsze od waszych - powiedziała Sara. - Jeśli jednak będziemy tu w niedzielę, postaram się namówić je, żeby poszły z wami.

Kobiety zaczęły żartować o tym, jak trudno jest namówić nastolatków do zrobienia czegokolwiek.

- Wydaje się, że mamy gotowe pole działania. - Shannon spojrzała na Andrew.

- Tak - przyznał. - Poradzimy sobie.

Popatrzyli sobie w oczy. Shannon nagle przypomniała sobie oczy innego mężczyzny, również pełne obietnic, i podziękowała Bogu, że w jej życiu pojawił się Andrew.

Jutro i na zawsze

21

- Wyglądasz wspaniale - powiedziała Shannon, poprawiając jego muszkę. Gotowi byli do wyjścia na bal.

- Wyglądam jak idiota - skrzywił się Andrew i spojrział niechętnie na swoje odbicie w lustrze. - Tylko planatorzy z Wirginii noszą tyle ozdób.

Shannon znów z przyjemnością spojrzała na jego postać.

- Muszka, spinki, smoking... to wcale nie tak dużo, Andrew.

- Sam bym tyle na siebie nie włożył.

- Niezły z ciebie typ.

- Czuję się obrażony, łaskawa pani.

- Nie obrażaj się - parsknęła śmiechem Shannon. -

To komplement.

- Brzmi jak obelga.

- Ale nie jest obelgą. Kobiety oszaleją na twój widok. Żeby tylko nie przewróciło ci się w głowie.

- Czyżbyś chciała pilnować swoich praw własności?

- Tak, i to bardzo surowo - odpowiedziała, całując go w usta.

- To stanowczo znacznie lepszy komplement niż ten poprzedni.

W istocie największym komplementem dla niego był fakt, że tak piękna kobieta jak Shannon pragnęła jego towarzystwa. Widok Shannon w długiej do ziemi, białej, jedwabnej sukni przetykanej złotymi nitkami przypominał mu wyobrażenia anielskich istot. Na szyi i w uszach miała brylanty. Delikatna złota bransoletka, również wysadzana brylancikami, zdobiła jej prawą rękę.

- To królewskie skarby - zauważył. Nagle uświadomił sobie, że w ciągu całego życia nie zdołałby zarobić dość pieniędzy, aby kupić choć jeden z tych klejnotów. Nie była to przyjemna myśl. - W moim świecie człowiek mający jeden z tych kamieni nie musiałby pracować już do końca życia.

- Przypomnij mi o tym, kiedy będę kupować bilet na samolot do osiemnastego wieku - odrzekła, odchylając na bok głowę.

Andrew uśmiechnął się do niej, niemniej przez głowę przemknęła mu myśl, jak by to było, gdyby powrócił do swoich czasów z taką kobietą u boku.

- Limuzyna powinna tu być lada moment - powiedziała Shannon, biorąc do ręki niewielką torebkę.

- Nie rozumiem, do czego potrzebna jest dodatkowa osoba do kierowania samochodem, skoro sama doskonale to robisz.

- Trudno naciskać pedały w takim stroju - odpowiedziała wskazując na swą wąską, długą suknię.

- Czym się różni limuzyna od samochodu?

- Jest większa - wyjaśniła poprawiając kolczyki. - I robi piekielne wrażenie.

- Chcesz imponować innym? - zdziwił się Andrew. To nie wydawało się do niej podobne.

- Przy takich okazjach jak ta, owszem. Im większe zrobisz wrażenie na ważnych gościach, tym większa szansa, że dadzą pieniądze. To taka gra, Andrew. Niczym szachy, tyle że zamiast pionków mamy żywych ludzi. - Spojrzała mu w oczy. - Karen Naylor i jej przyjaciółki pojadą z nami.

- Ta murzyńska prawniczka?

- Czy musisz ją tak nazywać?

- Jestem tu bardzo krótko, dziewczyno. Jak mam pamiętać wszystkich graczy?

- Mam wrażenie, że doskonale pamiętasz, kim jest Karen. - Shannon zmarszczyła brwi.

- Ponieważ jest Murzynką?

- Ponieważ jest Afroamerykanką.

- Wyjątkowo zawile określenie.

- Za to dokładne - odparła. - Ten problem zapewne nie stałby się tak dramatyczny, gdybyście uznali za stosowne zakazać niewolnictwa.

- Mówisz tak, jakbym miał moc wpływania na bieg dziejów. Nie byłem obecny podczas rozważań nad konstytucją, łaskawa pani. Moja opinia na temat niewolnictwa nie miała znaczenia dla przebiegu wypadków.

- Mylisz się. - Shannon znów przybrała wojowniczą pozę. - Jak możesz, właśnie ty, twierdzić, że opinie zwykłych ludzi nie mają znaczenia? Przecież wojna o nie-

podległość wybuchła właśnie dzięki opiniom zwykłych ludzi.

- I gdy opuszczałem osiemnasty wiek, nie odniosła jeszcze większych sukcesów.

- Może gdybyś... - Shannon ugryzła się w język, przerażona tym, co chciała powiedzieć. Może gdybyś nie odleciał...

- Dokończ to zdanie, Shannon. Chciałbym wiedzieć, o czym myślałaś.

- Nieważne. Ta dyskusja jest bezsensowna.

Zwłaszcza że niewiele brakowało, a powiedziała by coś nieodwołalnego. Od tego dziwnego spotkania w domu towarowym Shannon nie mogła odzyskać równowagi. Minęło już tyle czasu, od kiedy zmieniła nazwisko i przestała widywać wszystkich, którzy ją znali wcześniej... Od czwartku Shannon często oglądała się za siebie, tak jakby obawiała się, że Bryant ją znajdzie.

To absurd, pomyślała. Wyprowadziła się i zmieniła nazwisko. Bryant nie miał właściwie szans, aby ją znaleźć.

A jaką szansę miał Andrew na wylądowanie w jej ogrodzie?

Na szczęście w tym momencie zadzwonił kierowca limuzyny i Shannon musiała przerwać dalsze spekulacje.

- Gdzie są maski? - spytała rozglądając się wokół.

- Mam je - odpowiedział, blokując jej przejście. Shannon kiwnęła głową i przez chwilę czekała, Andrew jednak stał nieruchomo.

- Musimy już iść - powiedziała. - Nie chcę, żeby Karen na nas czekała.

- Och nie, do tego nie możemy dopuścić.

- Postaraj się, proszę - szepnęła. - Nie utrudniaj wszystkim sytuacji. - Jeśli mieli żyć razem, musieli zacząć od razu.

- Nie jestem takim potworem, jak sobie wyobrażasz. Znalazłem się w zupełnie nowych okolicznościach i robię co mogę, żeby się do nich dostosować.

- Wcale nie myślałam, że jesteś potworem. - W oczach Shannon nagle błysnęły łzy. - Tylko...

- Chcesz, żebym dobrze myślał o twoich przyjaciółkach.

- Chcę również, żeby oni dobrze myśleli o tobie.

- To mi nie przyszło do głowy.

- Wiem - powiedziała chwytając go za rękę. Andrew był tak pewny słuszności własnego postępowania, że nie zwracał uwagi na cudze opinie. To nie jest taki świat, jaki znałeś, pomyślała. Musisz poznać jego reguły. Na myśl o tym nagle ogarnął ją smutek.

- Postaram się - powiedział. - Ale te reguły często wydają się niezrozumiałe.

Shannon uśmiechnęła się do niego. Znów byli ze sobą połączeni, i to ściślej niż podczas aktu miłości.

- Nie mogę żądać więcej, prawda?

- Prawda - powiedział i zerknął na nią z rozbawieniem. - Mam jednak wrażenie, że spróbujesz.

Shannon poradziła mu, aby unikał rozmów o polityce, religii i seksie, lecz odniósł wrażenie, że on jeden

stara się nie poruszać tych tematów. Wciąż słyszał urywki rozmów o takich rzeczach jak dzieci z probówki, prawa gejów i chrześcijańscy fundamentaliści. Nic z tego nie rozumiał.

- W ogóle się pan nie odzywa, panie McVie - zagadnęła go jakaś kobieta siedząca przy tym samym stole. - Z pewnością ma pan własne zdanie na temat aborcji.

- Owszem - przyznał. - I opinia ta jest równie osobista jak sam problem.

- Prawo do życia. - Kobieta kiwnęła domyślnie głową. - Typowa próba uniku.

Andrew poczuł na sobie zaniepokojone spojrzenie Shannon, ale mimo to postanowił odpowiedzieć nieznamomej.

- Nie wyraziłem żadnej opinii - powiedział. - Stwierdziłem tylko, że moje zdanie w tej sprawie ma charakter osobisty.

- Jest pan wśród przyjaciół, panie McVie - upierała się tamta. - Czemu nie podzieli się pan z nami pańskimi myślami?

- Ponieważ moje zdanie nie powinno mieć żadnego znaczenia dla tego, co jest prywatnym problemem mężczyzny i jego żony.

- Mężczyzna i jego żona - powtórzyła kobieta, uniosła brwi i wybuchnęła śmiechem. - Co za staroświecki pomysł.

Odwróciła głowę w bok, niedwuznacznie kończąc rozmowę.

- Świetnie sobie radzisz. - Andrew usłyszał za plecami znajomy głos. Ktoś dotknął jego ramienia.

Odwrócił się szybko. Przy nim stała Karen. Miała na twarzy taką samą maskę, jak wszyscy z wyjątkiem jego.

- Wiele zostało jeszcze do powiedzenia.

- I tak by cię nie usłyszała. Ma głowę wypełnioną betonem.

- Słyszałaś naszą rozmowę?

- Co do słowa. Niewiele osób potrafi przeciwstawić się Lydii. Zasłużyłeś na krzyż wojenny.

Andrew spojrzał na Shannon. Była zajęta konwersacją z siwowłosym dżentelmenem, który przybył na bal z Karen. Andrew miał jednak wrażenie, że Shannon świetnie słyszy ich rozmowę.

- Na tym przyjęciu często można spotkać się z brakiem tolerancji wobec odmiennych poglądów.

- O, zauważyłeś ten drobiazg - sarkastycznie stwierdziła Karen.

Oboje patrzyli, jak Shannon wstaje z krzesła i kieruje się na parkiet, aby zatańczyć z siwowłosym mężczyzną.

- Jeśli poprosisz mnie do tańca, to pewnie nie odmówię - powiedziała Karen z uśmiechem.

- Jeśli zaproszę cię do tańca, to gorzko tego pożałujesz, gdyż brak mi do tego talentu.

- Mnie również - odparła Karen. - Właśnie dlatego John tańczy z Shannon. Może pokażemy im, że nie jesteśmy skończonymi łamagami?

Andrew pomyślał, że Karen jest sympatyczna i dowcipna. Zdawał sobie sprawę, że wyciąga do niego gałązkę oliwną. Oboje skończyli Harvard, nie cierpieli głupców i lubili Shannon. Czegóż właściwie miał jeszcze wymagać? Wstał i skłonił się.

- Brak talentu do tańca nie oznacza braku talentu do nauki - powiedział. - Czy mogę panią prosić o zaszczytowanie mnie tańcem?

- Może pan, panie McVie - zaśmiała się Karen i podała mu dłoń. Ruszyli razem na parkiet.

- Sądziłam, że nie umiesz tańczyć - powiedziała Shannon, gdy przed następnym tańcem zmienili partnerów.

- To prawda - potwierdził, biorąc ją w ramiona.

Zrobili kilka kroków i Shannon wybuchnęła śmiechem.

- Masz rację - przyznała. - Nie umiesz tańczyć.

- Karen też nie potrafi - zauważył. - Byliśmy świetnie dobraną parą.

- Tak mi się wydawało. - Shannon zatrzymała się na parkiecie. - Zaczynamy od nowa. Ja prowadzę. - Tym razem ruszali się w takt muzyki. - No, widzisz? Jeszcze się nauczysz.

- Aha. To prawdziwy cud.

- Dziękuję ci, Andrew - szepnęła Shannon. Fakt, że zatańczył z Karen, miał dla niej wielkie znaczenie.

- Nie masz za co dziękować, dziewczyno.

- Wiem, że to nie przyszło ci łatwo.

- Dla Karen było to równie trudne. To bardzo inteligentna kobieta i twoja przyjaciółka.

- Wiem - odpowiedziała. - Cieszę się, że to mówisz.

- Przyszło mi do głowy, że ona żyje tak, jak żyłbym ja, gdybym urodził się w tych czasach.

- Chyba masz rację - przyznała. Karen i Andrew byli

mniej więcej w tym samym wieku, mieli takie samo wykształcenie i tak samo pragnęli odnieść sukces.

- Teraz jestem prawnikiem bez praktyki i farmerem bez ziemi. Wydaje mi się, że żyję tylko dzięki twojej szczodrości. Wszyscy mężczyźni w tej sali zarabiają pieniądze z wyjątkiem tego jednego, z którym połączyłaś swoje losy.

- Nic mnie to nie obchodzi, Andrew. Nie możesz wybrać zawodu, dopóki nie poznasz świata, w którym żyjesz. Będziemy podróżować. Musisz poznać Stany... i cały świat. Wtedy dowiesz się, co jest ci przeznaczone.

Andrew nie odpowiedział. Shannon szczerze mu współczuła. Znajdziesz swoją drogę w życiu, Andrew, myślała. Musisz tylko poczekać.

O północy rozległy się fanfary i wszyscy zdjęli maski.

- Tak jakby wszyscy nie wiedzieli, kto jest kim - iro-
nicznie skomentowała Karen. - Bogaci zawsze się wy-
różniają - dodała i uśmiechnęła się do Shannon. -
Z twoim wyjątkiem, rzecz jasna.

- Oczywiście. - Shannon uśmiechnęła się do przyjaciółki.

Andrew i John, przyjaciel Karen, rozmawiali z sobą z ożywieniem. Shannon nie mogła sobie wyobrazić, jaki znaleźli wspólny temat, ale była zadowolona, że uroczystość przebiega bez zakłóceń.

- Proszę do zdjęć! - krzyknęła Madolyn Bancroft, prowadząca zabawę. - Mamy tu „StarLedger”, „Philadelphia Inquirer”, „New York Times” i „Town and Country”. Proszę o ładny uśmiech!

- Ładny uśmiech! - jęknęła Karen. - Jeszcze trochę, a uduszę tę babę!

- Świetnie cię rozumiem - powiedziała Shannon. - To jednak należy do jej zawodu.

Wstali od stolika i podeszli do fontanny, gdzie uwijali się fotografowie. Shannon odciągnęła swego towarzysza na bok.

- Będą robić nam zdjęcia - ostrzegła go. - Wyceluj w ciebie kamerą i za chwilę zobaczysz ostry błysk.

- I w ten sposób zrobią nasz obraz, tak?

- To jeszcze zależy od tego, ile wart jest fotograf - odpowiedziała z uśmiechem, po czym zajęli miejsce pod fontanną.

- Doskonale - odezwał się fotograf. - Dobry kontrast. Zechce pan objąć panią w pasie. Teraz proszę o uśmiech... Dobrze! Zobaczą państwo wynik w jutrzejszej gazecie.

- To zdumiewające - odezwał się Andre w. Zwolnili miejsce dla Karen i Johna. - Nasz obraz będzie w gazecie i wszyscy będą mogli nas zobaczyć.

Shannon przypomniała sobie mężczyznę, który rozpoznał ją w domu towarowym, i ogarnął ją niepokój. Przez cały wieczór wpatrywała się w zamaskowane twarze i zastanawiała się, czy wśród gości jest również Linc Stewart. Co za głupota! To nonsens! Niestety, nie mogła przestać o tym myśleć.

- Kochanie, źle się poczułaś?

- Nie, wszystko w porządku. - Shannon zdobyła się na uśmiech. - To tylko zmęczenie.

- Aha. Marzę o łóżku - powiedział.

Przecież twoje zdjęcie było już wielokrotnie w gazetach, myślała Shannon, gdy wychodzili z sali balowej. Nie masz się czym przejmować. Tak pewnie będzie nawet lepiej. Linc Stewart zobaczy jej zdjęcie, dowie się, że nazywa się Shannon Whitney, a nie Katharine Morgan, i cała sprawa będzie skończona.

Karen zaproponowała, aby wstąpili jeszcze gdzieś na kawę, ale ani Shannon, ani Andrew nie mieli na to najmniejszej ochoty.

Jechali do domu w milczeniu, które wydawało się jednak inne niż przedtem.

- Nie powinniśmy byli iść na ten bal - powiedziała później Shannon, gdy leżeli już w łóżku. - Nie bawiłeś się dobrze.

- Wszyscy gadają, gadają, i nic z tego nie wynika. - Andrew nawet nie próbował zaprzeczać. - Mówiłaś, że będą najważniejsi ludzie w całym stanie, a ja nie widziałem nikogo, kto miałby jakieś prawdziwe osiągnięcia.

- Jak możesz tak mówić? - Shannon uniosła się na łokciu. - Philip Stallings jest prezesem ogromnej firmy komputerowej, drugiej po Microsoftzie. Francesca Duval kieruje Le Visage Cosmetics, jedną z pięciuset największych firm w kraju. Lee Prescott jest...

- A jednak nie widziałem wśród nich ani jednej szczęśliwej twarzy.

- Kolacja była spóźniona o godzinę. - Shannon zmusiła się do uśmiechu. - Wszyscy byli głodni i źli.

- To nie tylko to, Shannon. Ci ludzie zdobyli wszystko, co chciałem znaleźć w tym świecie, a jednak...

- Wiem - szepnęła. - Wiem.

Tej nocy nie kochali się, tylko przytulili się do siebie i tak trwali do świtu.

Jutro i na zawsze

22

- Nie powinnaś zostawać sama - powiedział Andrew następnego dnia po południu. - Możemy odłożyć tę wycieczkę na kiedy indziej.

- Nie - sprzeciwiła się Shannon. - Jutro lub pojutrze nie będzie tu już tych dzieci. - Uniosła ręce i wygładziła kołnierz jego roboczej koszuli. Teraz wyglądał niemal tak, jak przy ich pierwszym spotkaniu, nie zaś jak człowiek, którego sama stworzyła. Wolała o tym nie myśleć.

- Poza tym, jestem wyczerpana tym balem. Brak mi energii, żeby dzielić trudy życia pod gołym niebem.

- Udało się jej zasnąć dopiero na krótko przed świtem. Gdy się zbudziła, Andrew stał przy oknie i wpatrywał się w zachmurzone niebo.

- Nie martwię się tym, że jesteś zmęczona. Wolałbym natomiast nie zostawiać cię bez opieki.

- Byłam, jak to powiadasz, bez opieki, przez ładnych kilka lat, nim się tu pojawiłeś. - Shannon pocałowała go, aby złagodzić efekt tych słów. - Myślę, że przeżyję jakoś jeszcze jedną noc.

- Masz zamknąć wszystkie drzwi i okna i włączyć ten system alarmowy.

- Tak jest, proszę pana - zsalutowała Shannon.

Andrew najwyraźniej nie dostrzegł w tym nic zabawnego, bo wciąż patrzył na nią surowym wzrokiem.

- Teraz lepiej rozumiem ten świat niż pierwszej nocy. To gniazdo przemocy i spisków. Jeśli ten alarm może zwiększyć twoje bezpieczeństwo, to powinnaś go zawsze używać.

- Biedny Andrew. - Shannon zarzuciła mu ręce na szyję. Podziwiała jego siłę i poczucie odpowiedzialności. - Nigdy nie powinnam była pozwolić, żebyś oglądał wiadomości w telewizji.

- To nie tylko telewizja. Opuściłem świat ogarnięty walkami i wylądowałem w świecie wszechobecnej przemocy.

- Przyznaję, że mamy pewne problemy, ale w sumie nie jest tak źle.

- Wszędzie ta anarchia społeczna. - Andrew najwyraźniej się rozgrzewał. - Uczciwi ludzie nie mogą zarobić na życie, a łajdacy kwitną.

- Dokonałiśmy rzeczy, o jakich nikomu się dawniej nie śniło. Pomyśl o nowoczesnej medycynie. W naszym świecie ludzie nie umierają już na ospę i grypę. To chyba jest pewną rekompensatą za nasze niedostatki.

- Ty istniejesz w tym świecie. Dla mnie to wystarczająca rekompensata.

Wyszli razem na zewnątrz. Na podjeździe czekała na nich Dakota. Siedziała niedbale na masce swego starego mustanga.

- Cześć. Czy może przyda się wam na wycieczce była harcerka i bibliotekarka? - spytała.

- Była bibliotekarka? - zdziwiła się Shannon. Andrew poszedł do garażu. - Forsythe cię zwolnił?
- Zwolnił. Wykopał. Wywalił. Jestem skończona.
- Nie powinniśmy byli wtedy przychodzić.
- To nie przez was, tylko przez Ginny. Usiadła na biurku i zaczęła opowiadać mi swoje sny.
- I za to cię zwolnił? To bydlę!
- Aha - zgodziła się Dakota. - I na dodatek skąpiec. Jeszcze nie dostałam odprawy.
- Czy to jest zgodne z prawem?
- Możesz to powiedzieć temu despotcie. Wiele ci z tego przyjdzie.
- Chyba nie mówiłaś poważnie o tej wycieczce, prawda? - Shannon ściszyła głos.
- Jak najpoważniej. Derek i Angela powiedzieli mi o niej i poprosili, żebym poszła z nimi. - Dakota uśmiechnęła się ze smutkiem. - Nie mam nic lepszego do roboty, więc zgodziłam się.
- To nie jest dobry pomysł.
- Jeśli obawiasz się, że będę tracić przytomność przy każdym zetknięciu z tym baloniarzem, to obiecuję ci, że to się już nie powtórzy.

Shannon parsknęła śmiechem.

- Nie nazywaj go baloniarzem - powiedziała po chwili. - To nasz sekret. Skąd możesz wiedzieć, że nie stracisz przytomności?
- Ponieważ długo się nad tym zastanawiałam, to wszystko. Jeśli mam zrozumieć, dlaczego on nie ma aury, to muszę pozostać przytomna.
- Już po raz drugi wspominasz o aurze. Co to właści-

wie znaczy, że on jej nie ma? Wydawało mi się, że nawet przedmioty nieożywione mają aurę. - Shannon przypomniała sobie jakiś artykuł, którego autor twierdził, że uczeni sfotografowali aurę marchewki i kamienia z ogrodu.

Dakota rozglądała się na wszystkie strony, byle tylko nie spojrzeć jej w oczy.

- No, tak - powiedziała wreszcie. - Prawie wszystkie przedmioty i organizmy mają aurę, a on nie.

- Mylisz się.

- Widziałaś? - ożywiła się Dakota.

- Nie, oczywiście, że nie. To ty podobno widzisz takie rzeczy. Wiem tylko, że skoro tu jest i nie jest duchem, to musi mieć aurę.

- Tak być powinno, prawda?

- Może będzie lepiej, jeśli jednak wybiorę się z wami na tę wyprawę.

- Nie wiedziałam, że zrezygnowałaś.

- Jestem zmęczona, boli mnie głowa i zaraz będę miała miesiączkę. - Shannon wzruszyła ramionami. - Uznałam, że będzie lepiej, jeśli zostanę w domu i dam wam spokój. Ty masz...

- ...nie mówić mu, że wiem, że przybył tu z przeszłości - dokończyła Dakota. - Dobra, dobra, jeśli tak wolisz.

- Wolę - potwierdziła Shannon.

- Dziękuję za jasne postawienie sprawy.

- To nie chodzi o ciebie. - Shannon chwyciła przyjaciółkę za rękę. Koniecznie chciała, aby Dakota ją zrozumiała. - Tu chodzi o mnie. I o niego. Chcę, żebyśmy

byli razem. Najlepiej będzie, jeśli Andrew zerwie z przeszłością i zorganizuje swoje życie od nowa. Nie można wiecznie żyć w dwóch światach.

Dakota nie odpowiedziała, lecz jej spojrzenie było bardzo wymowne.

- Chyba nie zaczniesz mnie znowu przekonywać, że on jest tu tylko chwilowo?

- Chyba nie.

- Dzięki mnie będzie mógł żyć tak, jak o tym nawet nie marzył. Nigdy nie będzie mu niczego brakować. Czy jego świat może mu zaoferować coś lepszego?

Dakota milczała.

Nie musiała nic mówić. Akapit w „Zapomnianych bohaterach” był dostatecznie jasny.

Godzinę później Andrew i Dakota wyruszyli do schroniska, gdzie mieli się spotkać z pozostałymi uczestnikami wycieczki. Shannon pomachała im na do widzenia, po czym poszła do oranżerii. Mieszkała w pięknej willi, ale dopiero teraz, gdy zjawił się Andrew, czuła się u siebie jak w domu. Dzięki niemu przestała się czuć wyobcowana, odzyskała nadzieję i radość życia. Teraz mogła myśleć o przyszłości. Ich wspólnej przyszłości.

Dakota, nic nie mów, modliła się w myślach. Pozwól, że sami podejmiemy decyzję.

Czuła pokusę, aby jednak pójść z nimi, ale była tak zmęczona, że perspektywa spędzenia nocy w lesie - nawet we własnym lesie - wcale nie była kusząca. Dobrze, że przynajmniej wiedziała, dlaczego jest taka słaba. Typowe objawy przedmenstruacyjne.

A może jednak żałujesz?

Wyciągnęła się na leżance i zamknęła oczy.

- Tak - powiedziała głośno. - Żałuję.

Żałowała, że noce spędzone z Andrew nie będą początkiem nowego życia. To odczucie było jednocześnie tak elementarne i silne, że na chwilę zabrakło jej tchu. Od lat nie myślała o dziecku. Na pozór zrezygnowała z tego i zapomniała o instynkcie macierzyńskim. Dopiero teraz, gdy pokochała Andrew, zapragnęła tego, co dotychczas wydawało się jej niemożliwe.

Mąż. Dom. Dzieci. Raz jeszcze amerykańskie marzenia o szczęściu, od wieków te same.

Wstała i przeszła do salonu. Starając się ułożyć wygodnie na kanapie, próbowała wyobrazić sobie życie u boku Andrew, w jego świecie. Musiałaby zapomnieć o klimatyzacji, telewizji i wideo. Nagle znalazłby się w kraju ogarniętym wojną domową, żyłoby wśród ludzi walczących o przyszłość swoją i swych potomnych.

Zamknęła oczy i usiłowała zrozumieć, jak wyglądałoby ich życie. Tyle mieliby do zrobienia... Można byłoby uniknąć tylu błędów. „Z natury jesteś bojowniczką”, powiedziała jej kiedyś Dakota. „Zawsze usiłujesz zbawić świat”. Ciekawe, jak by to było, gdyby wszystko zacząć od początku?

Ich dzieci i wnuki dysponowałyby taką wiedzą, że niechybnie przewodziłyby innym. Wszystko to stałoby się realne tylko dlatego, że pewnego letniego dnia w New Jersey, ona, Shannon Whitney, spotkała Andrew McVie i zakochała się w nim.

Brak klimatyzacji nie wydawał się wysoką ceną za osiągnięcie takiego celu.

Oczywiście, to był absurdalny pomysł. Nie mogła przecież pojechać do sklepu, żeby kupić palnik i uruchomić balon. Nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego Andrew pojawił się w jej życiu, i mogła się tylko modlić, aby ta sama tajemnicza siła go jej nie odebrała.

Spróbowała czytać, ale nie mogła się skoncentrować. Przerzuciła najnowszy numer „People”, ale szybko rzuciła magazyn na podłogę. Wkrótce ten sam los spotkał „Newsweeka” i „Time'a”. Nie miała ochoty oglądać telewizji. Przejrzała już wcześniej niedzielne gazety i z ulgą stwierdziła, że zdjęcie jej i Andrew było bardzo niewyraźne. Mimo to wycięła je i schowała do szuflady.

Na szczęście zbliżająca się miesięczka tłumaczyła nie tylko nagłe poczucie znużenia; również jej inne zachowania wydawały się teraz bardziej zrozumiałe. Przestała się czuć zaskoczona swoją reakcją na spotkanie ze Stewartem i lepiej rozumiała, dlaczego widok fotografów tak ją zdenerwował.

Życie nie jest takie złe, pomyślała i zamknęła oczy. Poddała się fali znużenia. Z każdym dniem Andrew coraz lepiej dostosowywał się do nowych warunków i stopniowo zapominał o dawnym życiu. Nie próbował już nakręcać elektronicznych zegarków i odpowiadać automatycznej sekretarce. Wprawdzie ostatniego wieczoru, gdy wszyscy oklaskiwali śpiewaka, on zaczął bębnić pięściami w stół, ale uznano to za świetny kawał.

- Życie nie jest takie złe - mruknęła i po paru minu-

tach już spała. Zdażyła jeszcze pomyśleć, że dopóki są razem, może im być tylko coraz lepiej.

- No to zaczynamy - powiedział Andrew prowadząc całą grupę w głąb lasu.

- Myślałem, że pokażesz nam, jak znaleźć drogę w lesie - powiedział Charlie.

- Zaraz do tego przejdziemy.

- Nie robimy nic specjalnego - narzekała Angela.
- Tylko idziemy i idziemy.

- Robimy coś więcej, Angelo - odpowiedziała jej Dakota. - Prawda, Andrew?

- Gdybyście mieli oczy otwarte, zauważylibyście wiele ciekawych rzeczy.

- Aha. Drzewa i krzaki, to wszystko - prychnął Derek. - Wielka rzecz.

- A właśnie, że tak - odrzekł Andrew. - Gdzieś w pobliżu są jelenie, skunks i szop.

- Wykluczone - powiedział Charlie. - Niczego nie widzę.

Andrew przykucnął przy zwalonym drzewie i odgarnął kilka liści. Wskazał palcem na kilka zagłębień w miękkiej ziemi.

- Widzicie ślady racic jelenia? Zachodzą na siebie, co oznacza, że jelenie szedł powoli. - Podniósł głowę i pokazał palcem obgryzioną korę drzewa. - Dla jelenia to świetna kolacja.

Dzieci skupiły się wokół niego. Powoli ich niedowierzanie ustępowało miejsca zdumieniu. Andrew pokazał im delikatne tropy skunka i królika.

- Młodego królika można złapać gołą ręką - powiedział takim tonem, jakby mówił o rzeczach zupełnie oczywistych. - Jednak wielu ludzi cierpiało głód, jedząc tylko króliki. Mają za mało tłuszczu...

- Mamo! - Angela wybuchnęła płaczem. - On mówi, że będziemy musieli jeść króliki.

Matka objęła ją i spróbowała uspokoić. Pozostali skupili się wokół nich.

- Nie chciałem cię przestraszyć. - Andrew pogłaskał Angelę po głowie. - Takie jest życie. Żeby przetrwać, trzeba czasem robić różne nieprzyjemne rzeczy.

Kobiety wymieniły znaczące spojrzenia.

- Idziemy dalej, panie McVie - powiedziała matka Angeli. - Pora już, żebyśmy wszyscy poznali sztukę przetrwania.

Kilka minut po piątej zadzwonił Jules, kierowca ze schroniska.

- Czy nie zbudziłem pani?

- Nie, oczywiście, że nie - zapewniła go, tłumiąc ziewnięcie. - Nowa klientka?

- Zdaje się, że tak - potwierdził Jules. - Mam ją zabrać do Morristown, ale nie mam klucza.

- Ja chyba też nie - odpowiedziała Shannon, usiłując sobie przypomnieć, co zrobiła z kluczami. - Karen powinna mieć wszystkie klucze... - Teraz, po podpisaniu wszystkich dokumentów, to fundacja nadzorowana przez Karen miała prowadzić schroniska. - Nie, poczekaj... Zapomniałam oddać jej ten klucz. Mam go tutaj.

- Za dwadzieścia minut muszę być na policji we

Flemington, żeby ją zabrać, ale wracając mógłbym wstać po klucz - powiedział Jules po krótkim namyśle.

- Dobrze, Jules. Nigdzie nie wychodzę.

- Nie chcę zawracać pani głowy. Może zostawi pani klucz w skrzynce pocztowej, to nie będę musiał dzwonić.

- Dobrze ci to idzie - zauważyła Dakota patrząc, jak Andrew krzesze ogień korzystając z noża i kamienia. - Mało który prawnik umie rozpałić ogień bez zapalek.

- Miałaś zbierać drewno - odpowiedział patrząc jej prosto w oczy. - Niezbyt się przykładasz.

- Przyłożyłam się w bibliotece - zaczęła, ale natychmiast urwała. Andrew nie zrozumiał.

- Jesteś bliską przyjaciółką Shannon - powiedział nagle i spojrzał na nią baczny wzrokiem.

- Mam nadzieję, że tak.

- Tak - zapewnił ją. - Jestem tego pewien. Nie rozumiem natomiast, czemu tak bardzo mnie nie lubisz.

- To nieprawda, że cię nie lubię - odparła ostrożnie Dakota.

- Owszem, to prawda.

- Martwię się tylko o nią, to wszystko - powiedziała Dakota, czując dziwny niepokój.

- Nie zrobię jej krzywdy. Przysięgam.

- Wiem, że nie zrobisz jej krzywdy umyślnie - odrzekła i dotknęła jego ramienia - ale...

Nie dokończyła. Miała wrażenie, że spada w przepaść, coraz szybciej i szybciej...

Gdy otworzyła oczy, leżała na mchu. Obok klęczał Andrew i wyciągał do niej złożone dłonie.

- Wypij to - powiedział.

- Skąd to wzięłeś? - Dakota spojrzała podejrzliwie na mętną wodę.

- Ze strumienia.

- Nigdy w życiu. Nie przepadam za ściekami.

- Za każdym razem, kiedy się spotykamy, tracisz przytomność - stwierdził. - Ciekaw jestem, dlaczego?

- To... Chodzi o to... - Dakota na próżno szukała odpowiednich słów.

- Ty wiesz - powiedział cicho Andrew, tak żeby inni nie słyszeli. - Wiedziałaś od samego początku.

- Obiecałam Shannon, że nie będę z tobą o tym rozmawiać. - Dakota odwróciła wzrok.

- Masz dar jasnowidzenia. Tak samo jak moja matka.

- Wierzysz w takie rzeczy? - Dakota spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Wierzę, że pewne rzeczy przekraczają granicę naszego pojmowania.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, to nie powinno mnie dziwić - zaśmiała się Dakota. W końcu trudno było zapomnieć, że Andrew przybył tu z osiemnastego wieku, i to balonem.

- Ale ty wiesz jeszcze coś, prawda?

- Posłuchaj, Andrew, ja naprawdę nie mogę o tym mówić. Shannon jest moją przyjaciółką. Obiecałam jej, że będę milczeć.

- Mogę ci przysiąc dwie rzeczy. Po pierwsze, nie zrobię jej krzywdy. Po drugie, nigdy jej nie opuszczę.

- Owszem, opuścisz. - Oczy Dakoty wypełniły się łzami. - Tego jednego jestem całkowicie pewna.

Shannon obudziła się, czując dziwny niepokój. Usnęła zaraz po telefonie Julesa. Klucz, pomyślała i przeciągnęła się leniwie. Wbrew temu, co obiecała, klucz do domku w Morristown wciąż leżał w jej torebce, a nie w skrzynce pocztowej.

Tłumiąc ziewnięcie wstała, poprawiła pasek szlafroka i przeszła boso do oranżerii. Wyłączyła alarm przy drzwiach na taras, po czym obeszła dom i ruszyła do bramy, gdzie stała skrzynka pocztowa.

Chmury całkowicie zasłaniały księżyc i na dworze panowały nieprzeniknione ciemności. Jak dla mnie, trochę za ciemno, pomyślała krzyżując ramiona. Włożyła klucz do skrzynki i zawróciła do domu. Dziwne, jak niesamowity może się wydawać nocą własny pusty dom, gdy ktoś się już przyzwyczał, że nie mieszka sam.

Jeszcze niedawno wyśmiałyby każdego, kto zapewniałby ją, że można za kimsz tęsknić tak mocno, jak ona tęskniła za Andrew. Nie było go zaledwie kilka godzin, a jej się zdawało, że minęło już parę dni. Jest przecież w lesie, a nie na końcu świata, pomyślała. Jutro rano będzie w domu. Niewiele brakowało, a wzięłaby latarkę, kompas i ruszyła na poszukiwania.

Jednak zrezygnowała z tego pomysłu.

W pewnym momencie usłyszała na podwórku dziwny szmer i zadygotała ze zdenerwowania. Pomyślała, że jest przeczulona i wzięła się w garść.

Położyła rękę na klamce, ale w tym momencie znów

usłyszała jakiś hałas. Gdzieś po lewej stronie podwórka trzasnęła cienka gałązka. To powinno być zakazane, zażartowała w myślach. Nie wolno tak straszyć samotnych kobiet.

Lekki powiew wiatru poruszył gałęziami drzew. Shannon wyczuła w powietrzu jakiś dziwny zapach, zmieszany z wonią żywicy i wilgoci. Wydawał się jej jednocześnie obcy i znajomy, jakby już kiedyś go wąchała. Nie mogła jednak przypomnieć sobie kiedy i w jakich okolicznościach.

Otworzyła drzwi z zamiarem wejścia do środka, lecz w tym momencie ktoś mocno uderzył ją w tył głowy. Shannon upadła twarzą na podłogę oranżerii, uderzając mocno o twarde, dębowe deski kolanem. Czekwała na ból, ale nie nadszedł.

Leżała na podłodze bez tchu, nie mogąc zebrać myśli. Czuła tylko potworne przerażenie, że oto spełniają się jej najgorsze obawy. Andrew. Przed oczami ujrzała jego ukochaną twarz. Boże, czy ja go jeszcze zobaczę?

Zamknęła oczy i przycisnęła twarz do zimnej podłogi. Starła się skurczyć, stać się niemal niewidzialna... Na próżno. Miała wrażenie, że ściany zbliżają się do niej, nie pozostawiając kąta, w którym mogłaby się ukryć.

- Boję się- odezwał się Derek. - Czy zabłądziliśmy?
- W żadnym wypadku - uśmiechnął się Andrew i wskazał ręką na niebo. - Czy widzisz ten pas gwiazd?
- Tak, to Droga Mleczna - kiwnął głową Derek.
- Właśnie - potwierdził Andrew. - Przeprowadź pro-

stą linię przechodzącą przez ostatnie dwie gwiazdy Wielkiego Wozu, a znajdziesz jasną, nieruchomą gwiazdę. To Gwiazda Polarna. Ona cię zawsze poprowadzi.

- Nie rozumiem - odrzekł Derek. - Przecież to tylko jeszcze jedna głupia gwiazda. Dlaczego nie posłużymy się mapą?

- Rambo miał gogle na podczerwień - odezwał się Charlie. - Tak byłoby najlepiej.

- Czasami trzeba sobie radzić, kiedy się ma do dyspozycji tylko własny rozum i zmysły - powiedział Andrew. - Co zrobilibyście, gdyby... - Nagle urwał. - Czy słyszeliście, jak ktoś mnie woła?

- Nie - pokręcił głową Derek.

- Ja też nie - powiedział Charlie.

Andrew poczuł, że włosy mu się jeżą na karku. Sam nie wiedział dlaczego.

- Coś się stało - powiedział do Dakoty. - Czy ty też to czujesz?

- Co masz na myśli? - Dakota pochyliła głowę na bok. - Burzę, czy coś takiego?

- To Shannon - stwierdził. Czuł narastający niepokój. - Nie czujesz, że ogarniają ciemność?

Dakota pokręciła głową.

- To jednak nic nie znaczy - dodała po chwili. - Musisz ufać swojej intuicji. My damy sobie radę.

- Nie chciałbym ich dodatkowo niepokoić. - Andrew wskazał na kobiety z dziećmi.

- Byłam harcerką. Pewnie nie wiesz, co to znaczy. W każdym razie, potrafię dać sobie radę w lesie. Nie martw się.

- Nie zostawię was bez broni. - Andrew zmarszczył brwi i podał jej swój nóż. - W razie niebezpieczeństwa może ci się przydać.

- Mam nadzieję, że nie będę musiała z niego korzystać. - Dakota wyciągnęła rękę i spojrzała na nóż z lekkim uśmiechem. - Rfdź do Shannon. Obiecuję, że tu wszystko będzie w porządku.

Jutro i na zawsze

23

- Miło cię znów widzieć, Katharine - powiedział Bryant, szarpiąc Shannon za włosy i zmuszając do wstania. Słyszała ten głos każdego dnia ich małżeństwa i we wszystkich koszmarnych snach po rozwodzie. - A więc to tu się ukryłaś, tak?

Shannon miała wrażenie, że cały świat tańczy jej przed oczami. Przez mgłę wywołaną bólem widziała wysokiego, przystojnego mężczyznę w szytym na miarę garniturze. Takich mężczyzn spotyka się w zarządach wielkich korporacji i pięciogwiazdkowych restauracjach. Spróbowała przyjąć pozycję umożliwiającą skuteczne kopnięcie, ale noga ugięła się jej w kolanie i straciła równowagę. Bryant znów ją szarpnął. Jakie to dziwne, że jeszcze nie wyrwał mi wszystkich włosów, pomyślała z takim spokojem, jakby to dotyczyło kogoś innego.

Myśl, Shannon, nakazała sobie w duszy. Wiesz, jak sobie z nim poradzić. Po prostu nie możesz się go bać... Myśl! Bryant był od niej wiele silniejszy, ale wiedziała, że jeśli tylko odzyska równowagę, będzie w stanie go pokonać.

- Sprawilem ci niespodziankę?

Nie zamierzała mu odpowiadać. Pomyślała, że Bryant prędzej znajdzie się w piekle, niż usłyszy od niej choć słowo.

Bryant wziął zamach i zdzielił ją pięścią w twarz. Drugą ręką trzymał jej głowę, tak aby uderzenie było skuteczniejsze. Shannon poczuła w ustach smak krwi.

- Coś taka milcząca, Katharine? - Znow szarpnął ją za włosy. - Jeśli dobrze pamiętam, kiedyś miałaś znacznie więcej do powiedzenia.

Chwycił palcami jej brodę i zmusił do spojrzenia mu w oczy. Kiedyś myślała, że ma piękne oczy. Bardzo się myliła... To była tragiczna, głupia pomyłka.

Pomyślała o Andrew. O jego czułości i sile, które były jego tak nieodłączną cechą, jak piękne orzechowe oczy. Andrew był twardym człowiekiem i pochodził ze znacznie twardszych czasów, a jednak wiedział więcej o miłości i delikatności niż Bryant.

- W każdym razie dużo naopowiadałaś policji, prawda? Później powtórzyłaś to wszystko w sądzie. Co ci się teraz stało, Katharine? - Bryant roześmiał się na cały głos. Shannon dygotała. - A może porozmawiasz ze mną, jeśli będę nazywał cię Shannon? To twoje nowe imię, prawda? Shannon... - Bryant obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Przez dłuższą chwilę przyglądał się jej piersiom, zasłoniętym szlafrokiem. - Nie wyglądasz na Shannon. - Zacisnął palce na jej skroniach tak mocno, jakby chciał zmiażdżyć jej głowę. - Jeśli dobrze pamiętam, nigdy nie lubiłaś seksu.

Przez chwilę Shannon czuła, że znow jest inną kobietą, młodą dziewczyną pełną radości życia, która miała

nadzieję, że zbuduje z nim wspólne życie, że będą mieli dom i dzieci. Poczuła, że traci siły i pewność siebie. Nie, powiedziała sobie, nie możesz do tego dopuścić. Nie pozwól mu wygrać. Tyle cięto wszystko kosztowało...

W jednej chwili się przeobraziła. Stała się inną kobietą, silną i pewną siebie. Zapomniała o Katharine Morgan i stworzyła z siebie kobietę zdolną do walki o życie wolne od strachu.

Tym razem nie wygrasz ze mną, Bryant. Ani teraz, ani już nigdy...

Bryant pociągnął ją za włosy tak mocno, że musiała odrzucić do tyłu głowę. Poczuła ból w karku.

Rozluźnij się, nakazała sobie w myślach. Niech myśli, że wygrywa. Musisz go zaskoczyć.

Jej rewolwer leżał w szafie w przedpokoju. Nim zdołałaby go wydobyć, Bryant zdążyłby ją zabić. Shannon pragnęła podjąć walkę już teraz, z pomocą pierwszej lepszej broni, jaka jej wpadnie w ręce, ale musiała czekać na odpowiedni moment. Na razie musiała zdusić w sobie pragnienie zemsty. Zaskoczenie jest zawsze najlepszą bronią.

Poddanie się Bryantowi było najtrudniejszą rzeczą, jaką zrobiła w życiu. Ogarniały ją mdłości na samą myśl, jaką przyjemność sprawi mu jej słabość.

To jedyny sposób, Shannon. Nie masz rewolweru. Andrew jest w lesie. Nikt nie usłyszy twoich krzyków. Skrzynka pocztowa znajduje się przy bramie. Jeśli Jules nie podejdzie do drzwi i nie zadzwoni, nawet się nie zorientuje, że coś jest nie w porządku. Nawet gdyby zdołała uruchomić alarm, Bryant wykończy ją, nim nad-

jedzie policja. Przekraczając granice stanu, Bryant złamał reguły warunkowego zwolnienia. Shannon nie była naiwna i wiedziała, że jeśli zaryzykował powrót do więzienia, to tylko po to, aby się z nią porachować.

Mogła polegać tylko na sobie i swojej inteligencji.

Oparła się o niego, zwieszając luźno ramiona i uginając nogi. Bryant złapał ją brutalnie za ramiona, wpijając palce w jej ciało. Wiedziała, że będzie miała potworne siniaki, ale to nie miało znaczenia.

Liczyło się tylko przetrwanie.

Gdy Andrew zobaczył jasno oświetlony dom i samochód w garażu, odetchnął z ulgą. Wszystko wydawało się w porządku.

Mimo to coś go niepokoiło. Szybko obszedł dom, aby wejść na podwórko. Wieczorami często siadywali razem koło basenu. Nie miał ochoty jej przestraszyć, wyłaniając się niczym widmo z ciemności, ale chciał koniecznie zobaczyć jej cudowną twarz i upewnić się, że nic jej nie grozi.

Drzwi od tarasu były zamknięte. Andrew przyjrzał się im uważniej i gniewnie zmarszczył brwi. Czerwone światło nad drzwiami migotało, zamiast równo świecić. Oznaczało to, że alarm jest wyłączony. Na myśl o tym, że Shannon jest w domu sama i bez ochrony, poczuł, że krew mu zastyga w żyłach.

Wszedł na taras i sięgnął do klamki. Czy ta kobieta nie ma ni krztyny rozsądku? Wiedział, że to nie przypadnie Shannon do gustu, ale postanowił powiedzieć jej, co myśli o takim zachowaniu. Żyli w niebezpiecznym świecie.

- Obserwowałem cię, Katharine - powiedział rzeczowo Bryant, wlokąc ją do kuchni. - Ten twój facet zniknął na całą noc.

Kiwnęła głową. Starła się sprawiać wrażenie uległej, a nie przerażonej. Przerażenie zawsze podsycalo wściekłość Bryanta.

- To nie potrwa długo - powiedział i pchnął ją w kierunku stołu. Stół przesunął się po śliskiej podłodze, przewracając dwa krzesła. Shannon upadła na posadzkę. Poczowała silny ból w prawym kolanie. Aby posłużyć się karate, musiała odzyskać równowagę i kontrolę nad rękami i nogami. Co się stanie, jeśli w krytycznym momencie nie będzie w stanie ustać na nogach?

Nic mnie nie boli, pomyślała. Nic mnie nie boli.

Bryant przejechał dłonią po blacie i skrzywił się z niesmakiem.

- Wciąż jesteś kiepską gospodynią, Katharine.

- Przepraszam - wyjąkała niczym pokorna żona. W gardle czuła żółć. - Mildred i Karl mają urlop.

- Nigdy nie potrafiłaś prowadzić domu. Byłaś dla mnie ciężarem. Inna kobieta wiedziałaby, czego potrzebuję. - Bryant wskazał palcem brudną szklankę w zlewie. - Dlatego musiałem zastosować inne metody.

- Rozumiem - odpowiedziała, wbijając wzrok w podłogę. Modliła się, aby Bryant nie odgadł, że stara się ocenić dzielącą ich odległość i planuje atak. - Bardzo przepraszam.

- Bardzo przepraszam - powtórzył kpiąco Bryant i zbliżył się do niej.

Chodź, Bryant. No, jeszcze krok...

- Nie masz nic więcej do powiedzenia? Tylko bardzo przepraszam? - Teraz dzieliły ich jakieś trzy metry. Bryant miał na sobie miękkie buty; poruszał się niemal bezszelestnie.

Dwa i pół metra. Dobrze... dobrze.... chyba wystarczy.

Shannon przesunęła ciężar ciała na prawą nogę, szykując się do kopnięcia. To wszystko polegało na właściwym ustawieniu ciała. Stoisz na prawej, lewą kopiesz. Proste, czyste, skuteczne uderzenie.

No, jeszcze bliżej, Bryant. Jeszcze troszkę...

Shannon robiła to setki i tysiące razy w sali ćwiczeń. Kopnięcie w jądra powinno załatwić najgorszego zbira. Nie wolno tylko spudłować. Pierwszy cios musi być skuteczny. Jeśli się nie uda, to koniec.

Oranżeria na pozór wyglądała dokładnie tak samo jak przed kilkoma godzinami. Andrew zauważył jednak, że leżanka jest nieco przesunięta. Pod szklanym stolikiem dostrzegł pasek od szlafroka Shannon.

Pochylił się, aby go podnieść. W tym momencie usłyszał dochodzący z kuchni trzask przewracanych mebli. Chryste Panie, pomyślał. Jego przeczucie okazało się słuszne. Przywarł do ściany i powoli przesunął się w stronę kuchni. Usłyszał cichy głos Shannon. Nie rozpoznawał słów, ale zdziwił go ton jej głosu, uległy i niepewny. Nigdy nie słyszał, aby tak mówiła.

Mężczyzna mówił wyraźnie i starannie, jak człowiek dobrze wykształcony i nawykły do wydawania poleceń, ale mimo to Andrew dosłyszał czającą się w jego głosie groźbę.

To jej mąż, pomyślał Andrew. Nie miał żadnych wątpliwości. Przypomniawszy sobie jasną bliznę na ramieniu Shannon i zacisnął zęby z wściekłości. Za drzwiami do kuchni stał mężczyzna, który popełnił tę zbrodnię. Andrew poczuł, że wściekłość pozbawia go rozumu. Miał ochotę udusić Bryanta gołymi rękami. Z trudem się opanował. Wiedział, że jeśli wpadnie do kuchni w nieodpowiednim momencie, nie wiedząc, co go tam czeka, może spowodować śmierć Shannon. Mimo to z każdą sekundą coraz bardziej żałował, że oddał Dakocie swój nóż.

- Chodź, Shannon - powiedział Bryant. - Pójdziemy na chwilę do sypialni. - Zrobił jeszcze jeden krok na przód.

Teraz! Shannon spojrzała mu w oczy i wykonała błyskawiczny ruch nogą. Niestety, trafiła w udo.

- Ty dziwko! - Bryant zachwiał się, po czym doskoczył do niej.

Ciężko dysząc, Shannon usiłowała się cofnąć, nie zwracając uwagi na ból w kolanie. Bryant chwycił ją za włosy i pociągnął po podłodze.

- Lubisz ostrą grę, Shannon? - powiedział. - Proszę bardzo, ja też potrafię.

Shannon patrzyła, jak Bryant wyciąga zza paska od spodni niewielki rewolwer. Uśmiechnął się i wycelował w nią.

- Jak ostro chcesz się bawić, Shannon Whitney? - spytał przykładając lufę do jej skroni. - Wolisz, żebyśmy skończyli szybko czy powoli? Masz prawo wyboru.

W odpowiedzi tylko splunęła mu pod nogi.

Bryant mocniej przycisnął rewolwer do jej skroni.

Shannon słyszała dziwny szum w uszach. To nie miało się tak skończyć. Nie tutaj. Nie tak. Pokonała tyle przeszkód, tyle się nauczyła, a w końcu znalazła jedyne-
go mężczyznę, który ją uszczęśliwił. To wszystko nie miało już znaczenia.

Jej siła, jej marzenia, jej przyszłość - wszystko za chwilę się skończy.

Bryant wygrał.

Ona przegrała.

Andrew, pomyślała. Gdyby tylko...

Wzywała go. Nie powiedziała głośno ani słowa, ale mimo to Andrew słyszał wyraźne wezwanie. Łącząca ich więź przenikała przez bariery czasu i przestrzeni. Andrew przeczuwał, że nawet śmierć jej nie zerwie.

Shannon nie może teraz zginąć. Ta odważna, piękna kobieta, która zdobyła jego serce, nie może teraz umrzeć. Andrew gotów był oddać życie, byle do tego nie dopuścić.

Wpadł do kuchni jak burza. Tamten był od niego wyraźnie wyższy, lecz Andrew go zaskoczył. Uderzył go całym ciałem niczym taranem, i zwalił na podłogę. Obaj runęli między przewrócone krzesła.

- Andrew! - krzyknęła Shannon. - Uważaj, on ma broń!

Za późno. Andrew nagle zobaczył przed sobą lufę rewolweru. Tamten wyglądał jak wcielony diabeł. Spój-

rzał mu w oczy. Zabij mnie, jeśli musisz, ale daj jej spokój, pomyślał Andrew. Już dość się przez ciebie nacierpiała.

Nie miał jednak wątpliwości, co się teraz stanie. Bryant zaraz pośle ich oboje na spotkanie ze Stwórcą.

Kątem oka zobaczył, że Shannon zbliża się do nich.

Uciekaj, dziewczyno! Ja się nie liczę. Ty musisz się uratować!

Uciekać? Wykluczone. Za żadną cenę nie zostawiłaby go samego.

- To koniec, stary - powiedział Bryant. - Możesz się jeszcze pomodlić.

Shannon zapomniała o bólu, nie czuła strachu. Wiedziała tylko, że jej ukochany zaraz zginie i tylko ona może go uratować.

Rzadko zdarza się druga szansa. Nie mogła jej zmarnować.

Chwyciła za nogi najbliższe krzesło, wzięła zamach, doskoczyła i z całych sił uderzyła Bryanta. Włożyła w ten cios całą swą energię, cały gniew i nienawiść. W tym momencie mściła nie tylko siebie, ale wszystkie kobiety, które przeszły przez jej schroniska i te, którym nie udało się uciec. Trafiła go kantem oparcia krzesła w krzyż, między łopatkami.

Bryant jęknął, przewrócił się na podłogę i stracił przytomność. Leżał wygięty pod dziwnym kątem. Rewolwer wypadł mu z dłoni i uderzył o posadzkę.

Andrew zerwał się na nogi i sięgnął po broń.

- Zostaw! - powstrzymała go Shannon. Sama chwyciła rewolwer i wycelowała w byłego męża. Jak łatwo

pociągnąć za spust... - Przynieś sznur ze spiżarni i zwiąż go. Pospiesz się, zaraz oprzytomnieje.

Andrew obrzucił ją ostrym spojrzeniem, ale posłusznie wykonał polecenie.

- Pewnie ma złamaną kość - powiedziała Shannon beznamyślnym tonem. - Powinnam mu ulżyć w cierpieniu.

- Nie, dziewczyno - odpowiedział Andrew, kładąc dłoń na jej ręce. - On nie jest wart ceny, jaką byś za to zapłaciła. - Ten drań zasłużył na śmierć, ale Shannon już zawsze miałaby go na sumieniu. Wiedział, że Bryant może zrobić wszystko i nigdy nie będzie czuł najmniejszych wyrzutów sumienia. - Daj rewolwer. Ja to zrobię.

- Nie dotykaj broni! - Shannon cofnęła się o krok. Andrew pomyślał, że Shannon zaraz zastrzeli Bryanta, ale się pomylił. - Nikt nie może wiedzieć, że brałeś w tym udział. Jak mielibyśmy wytłumaczyć policji, kim ty właściwie jesteś?

- Jeśli powiemy prawdę, policja wszystko zrozumie.

- Nie masz żadnych dokumentów, żadnego dowodu tożsamości. Aresztują cię. Proszę, schowaj się w lesie i nie wychodź, dopóki będzie tu policja - powiedziała z naciskiem. - Proszę, Andrew. Musisz teraz pomyśleć o sobie.

- Nie obchodzi mnie, co się ze mną stanie. Tylko ty się liczysz. Wszyscy inni nie mają znaczenia.

- Więc rób, o co cię proszę - błagała. - To nasza jedyna nadzieja.

- Nie zostawię cię znowu samej.

- Owszem, zostawisz - powiedziała Shannon z takim smutkiem, jakiego Andrew jeszcze nigdy nie widział.

Wyszedł tylnymi drzwiami i jeszcze przez chwilę stał na skraju lasu. Widział, jak Shannon uruchamia muszką rewolweru alarm, aby w ten sposób wezwać policję. Gdy usłyszał wycie syren, szybko ruszył w głąb lasu, aby odszukać Dakotę i pozostałych. Wolał sprawdzić, czy nic się im nie stało.

Nawet w ciemnościach bez trudu podążał ich śladem. Gdy dotarł do obozu, szybko policzył śpiących. Na szczęście nikogo nie brakowało. Dakota siedziała przy przy dogasającym ognisku. Gdy zbliżył się do niej, szybko przetarła policzki wierzchem dłoni.

- To Bryant, prawda? - spytała szeptem.

- Tak - odrzekł, kucając przy ognisku.

- Żyje?

- Niestety, tak. Chciałem go wykończyć gołymi rękami, ale nic z tego nie wyszło.

- Co z Shannon?

- Pobił ją, ale to chyba niegroźne. Coś ją gryzie, tylko nie wiem co.

- Może to z powodu Bryanta.

- Nie - pokręcił głową Andrew. - To coś innego. Powiedziała, że jeszcze o tym porozmawiamy. Ja... - Andrew urwał. Nie chciał mówić o swoich obawach. Zawiódł Shannon, tak samo jak przedtem zawiódł Elspeth i wszystkich ludzi, których spotkał w swoim życiu. Ogarnęła go gorycz.

Gdy Emilie pojawiła się w jego świecie, uważała go

za bohatera, który ocalił generała Waszyngtona. W rzeczywistości dokonał tego jej mąż.

Teraz, gdy pragnął oddać życie za Shannon, znalazł się na podłodze z lufą rewolweru w zębach. Jeszcze nigdy nie czuł się tak bezradny i bezużyteczny, jak w tamtym momencie.

Wierzył, że w tym świecie zdobędzie bogactwa i odniesie sukcesy przekraczające wszelkie marzenia, a tymczasem błąkał się tu niczym w labiryncie, skazany na nieustanną opiekę i pomoc Shannon.

Zasługujesz na coś lepszego, dziewczyno, pomyślał patrząc w tłacę się węgle.

Shannon zasługiwała na bohatera, którym nie dane mu było zostać.

Jutro i na zawsze

24

Shannon patrzyła, jak za zakrętem drogi znikają migocące światła ostatniego policyjnego samochodu. W nocnej ciszy było wyraźnie słyszeć warkot silnika i chrzest żwiru.

Znów została sama. Weszła do środka przez taras i zatrzymała się w oranżerii. Czuła się jakoś dziwnie. Zawsze lubiła swoją oranżerię, z jej dębową podłogą i kremową leżanką. Przyjemnie tu było leżeć w słoneczne dni. Pomyślała, że teraz już zawsze oranżeria będzie jej przypominała Bryanta.

Objęła się ramionami i głęboko westchnęła. Usiłowała się uspokoić.

Fakt, że Bryant zdołał ją odnaleźć, zdziwił ją mniej niż sposób, w jaki tego dokonał. Znał jej adres już od wielu tygodni. Jego wizyta nie miała nic wspólnego ze spotkaniem Linca Stewarta w domu towarowym.

Jej były mąż okazał się znacznie sprytniejszy, niż myślała. Jeszcze podczas pobytu w więzieniu wynajął detektywów, którzy mieli ją odnaleźć. Jego przyjazd był częścią starannie obmyślanego planu. Rano zameldował się u kuratora sądowego w Kalifornii, po czym poleciał

do New Jersey prywatnym odrzutowcem znajomego. Gdyby wszystko poszło zgodnie z jego przewidywaniami, byłby w łóżku, nim policja zaczęłaby go szukać.

A ona i Andrew byliby martwi.

Więzienie nie było dla niego wystarczającą karą.

Przeszła do kuchni i pochyliła się, aby podnieść krzesła. Poczła ostry ból w kolanie i żebrach. Ból fizyczny nie miał jednak żadnego znaczenia w porównaniu z żalem, jaki czuła za nagle utraconym życiem. Nie mogła już tu dłużej mieszkać. Bryant się o to postarał. Musi się przeprowadzić, kupić nowy dom, zbudować nowe życie. Musi zaczynać od początku, tak jak kiedyś. Czy jakiegokolwiek inne miejsce było dla niej domem w większym stopniu niż ta willa? Shannon nie mogła sobie przypomnieć. Nie czuła się dobrze w domu rodziców i z pewnością nie była u siebie, gdy mieszkała z Bryantem. Tu czuła się zupełnie nieźle, ale mogła powiedzieć, że jest w domu dopiero od chwili, gdy w jej życiu pojawił się Andrew McVie.

Zakrawało na ironię, że jedyny mężczyzna na świecie, który mógł sprawić, by uwierzyła w przyszłość, był równocześnie jedynym, z którym nie mogła jej dzielić.

Usiadła przy stole i przytuliła policzek do zimnego blatu. Była już zmęczona walką z tym, co nieuchronne. Musiała przyznać, że to nie jest jego świat. Jej świat nie zasłużył na człowieka takiego jak Andrew.

Może i ona nie zasłużyła?

Poczła łzy w oczach, ale nie próbowała ich powstrzymać. Ma prawo płakać. Do diabła, zdobyła to prawo. Nie płakała z bólu ani z powodu perspektywy

gwałtownych zmian w życiu, lecz z powodu smutku, jaki zagnieździł się głęboko w jej sercu. Przed poznaniem Andrew nie sądziła nawet, że może przeżywać tak głębokie uczucia.

Wierzyła, że jakoś ułożą sobie życie, że będzie mu mogła dać coś na tyle wspaniałego, trwałego i szlachetnego, że Andrew już nigdy nie zatęskni za dawnym życiem. Shannon nie potrafiła określić, na czym polegała ta zmiana, ale teraz, gdy Andrew zaryzykował dla niej życie, nie miała już wątpliwości, że on zasługuje na coś więcej niż życie na drugim planie.

- To ja nie zasługuję na ciebie, Shannon.

Dźwięk jego głosu pobudził ją do życia. Uniosła głowę. Andrew stał w drzwiach do kuchni.

Rozłożył szeroko ramiona.

Nagle znikł dzielący ich dystans i Shannon przytuliła się do niego. Z radością dotykała jego twardych mięśni i wciągała w płuca jego zapach. Prócz niego świat nie mógł jej zaoferować nic, co dałoby jej takie poczucie bezpieczeństwa. W tym momencie zrozumiała, że kocha go tak mocno, iż musi pozwolić mu odejść.

Andrew natychmiast wyczuł tę zmianę. Jej ciało zeszywniało. Miał wrażenie, że nagle ich dusze rozdzieliła szklana ściana.

- Nie jestem kobietą, za jaką mnie bierzesz, Andrew.

Przyjrzał się jej uważnie. Z prawdziwą przykrością dostrzegł na jej twarzy siniaki.

- Wiem, dziewczyno. Wiem, że teraz nazywasz się inaczej niż po narodzinach.

- Nie o to mi chodzi.

- Mów zatem jaśniej, Shannon. Nie mam ochoty odgadywać, co masz na myśli - odrzekł spokojnie, choć bliski był rozpacz.

- Chodź ze mną - powiedziała, wysuwając się z jego objąć. - Muszę ci coś pokazać.

Shannon poprowadziła go do biblioteki i wskazała na najwyższą półkę pośrodku pokoju.

- Tam, za „Żywotami” Plutarcha - powiedziała głosem nabrzmiałym z napięcia. - Tam stoi pewna książka. Wyjmij ją.

Andrew wspiał się na palce, odsunął Plutarcha i wyciągnął cienką książkę. „Zapomniani bohaterowie”, przeczytał. Oczywiście, dostrzegł ironię całej sytuacji.

- Strona 127 - powiedziała spokojnie Shannon.

- W tej książce nie ma nic, co mogłoby mnie zainteresować. - Andrew podał jej książkę.

- Strona 127 -powtórzyła Shannon, stojąc bez ruchu.

Andrew wreszcie zdecydował się.

- Jest podarta - zauważył. Szybko przebiegał wzrokiem akapity. - Co za sens... - zaczął i nagle urwał. Dudniło mu w uszach. Miał wrażenie, że słyszy szum oceanu. Wydawało mu się, że słowa wyskakują z kartki i biegną na jego spotkanie.

„Zimą 1779-80 roku Andrew McVie, bostoński prawnik, który zajmował się szpiegostwem, dokonał wyczynu nie mającego sobie równych w dotychczasowej historii wojny o niepodległość. W zuchwałej, samotnej wyprawie przeciw wojskom brytyjskim w pobliżu Jockey Hollow, McVie uratował życie dwóch najważniejszych członków siatki szpiegowskiej...”

- Żyłem - powiedział zupełnie osłupiały. - Nie wiem, jak to możliwe, ale w tamtym świecie nadal toczyło się moje życie.

- Wiem - szepnęła. - To twoje przeznaczenie.

- To niemożliwe. - Na jego ogorzałej twarzy pojawiły się wypieki. Zaczął nerwowo krążyć po pokoju. - Emilie powiedziała mi, że mój los potoczy się inaczej.

- Pomyliła się.

- Nie możesz mieć pewności. Ta strona jest urwana.

- Owszem, mam pewność - stwierdziła ze smutkiem.

- Skąd masz tę cholerną książkę? - spytał Andrew, ignorując jej stwierdzenie.

- Z biblioteki.

- Dakoty?

- Tak.

- Ta kobieta nie darzy mnie zbyt dużym szacunkiem.

- Andrew patrzył na książkę tak, jakby była żmiją, i to gotową do ataku. - To jakiś żart, ktoś chce nas rozdzielić. Powinnaś ją była spalić, a nie chować na półce.

- I co by to zmieniło? Oboje wiemy, jaki jest twój los. Mamy to czarno na białym.

- Dlaczego ta książka była schowana w twojej bibliotece?

- To ja ją schowałam.

- Przede mną?

- Nie chciałam cię stracić - odpowiedziała patrząc mu w oczy. - Dzięki tobie poznałam miłość. Nigdy cię nie zapomnę... - Shannon nie mogła mówić dalej.

- Czy miałaś o mnie tak niskie mniemanie, iż sądzi-

łás, że pod wpływem byle książki będę gotów cię rzucić? Zjawiłem się tu dzięki magii, ale nie widzę żadnych magicznych sposobów, które pozwoliłyby mi powrócić.

- Chwyił ją za rękę i poprowadził na dwór. - Zaraz ci pokażę.

Zaczęło świtać. Przeszli przez podwórze i skierowali się do garażu.

- Popatrz - powiedział, podnosząc płachtę osłaniającą balon. - Tkanina zmienia się w proszek, a ten kosz nie wytrzyma już ciężaru dziecka. - Wyciągnął balon z garażu i rozłożył go na podjeździe. - Nie ma już magicznego ognia, Shannon. Dziwne chmury nie poniosą mnie w przeszłość. Ta książka to kłamstwo i nic więcej.

- To nie tylko ta książka - odrzekła Shannon.

- Nie chcę wiedzieć o niczym więcej.

- Musisz.

- Dlaczego mnie odpychasz, gdy ja nie chcę odchodzić? - spytał, chwytając ją mocno za rękę.

- To nie zależy od nas, Andrew. Decyzja zapadła już dawno temu.

- Tak, i ten kraj jest tego najlepszym dowodem. Nie odegrałem żadnej roli w jego powstaniu.

- A co powiesz o ludziach, którym ocaliłeś życie?

Andrew odwrócił wzrok. Shannon zobaczyła, jak nerwowo drgają mu mięśnie twarzy.

- W porównaniu z tobą nie mają oni dla mnie znaczenia.

- Och, Andrew - szepnęła Shannon. - Nie wiesz o tylu sprawach. - Shannon sięgnęła do kieszeni i wyjęła pogniecione kartki.

- Znów ta Dakota - prychnął niecierpliwie. - Mam dość tych jej bzdur.

- Zrobiłam co mogłam, żeby je poukładać - powiedziała Shannon, podając mu kopie dokumentów.

- To nie ma sensu. Te papiery niczego nie zmieniają.

- Szpiedzy, którym uratowałeś życie...

- Nie chcę tego słyszeć.

- Andre w, słuchaj, co do ciebie mówię! Uratowałeś Zane'a Rutledge'a i Josiaha Blakelee.

- To nieprawda.

- Potwierdzają to trzy niezależne źródła. - Shannon podsunęła mu papiery pod sam nos. - Uratowałeś ich od śmierci. Dzieci, o których czytaliśmy, farmy, rodziny, jakie założyli - to wszystko nie mogłoby się zdarzyć, gdybyś nie wrócił.

- To ty jesteś moim przeznaczeniem - odrzekł Andrew. - Pragnę tylko ciebie.

- Musisz wracać.

- Prócz ciebie nic nie ma znaczenia.

- Tu nigdy nie byłbyś szczęśliwy. Potrzebujesz czegoś więcej, niż możesz znaleźć w dwudziestym wieku. Zasługujesz na coś więcej.

- Nie - sprzeciwił się gwałtownie. - Potrzebuję tylko ciebie.

Andrew pocałował ją z taką namiętnością, że na chwilę zapomniała o całym świecie.

- Andrew, popatrz! - zawołała, gdy nagle spojrzała na niebo. - Te chmury. Widziałam je już kiedyś.

Andrew nie odpowiedział, tylko spróbował ją znów pocałować.

- Już wiem - przypomniała sobie. - Tydzień temu, kiedy wylądowałeś w lesie.

- Tak - potwierdził. - Od tego czasu pojawiały się już dwukrotnie. - Andrew nawet nie spojrzał na niebo.

- To tak się stało, prawda?

- I co z tego? - odrzekł Andrew. - Potrzebny jest jeszcze magiczny ogień, którego nigdzie jakoś nie widzę.

- A gdyby się nagle pojawił? - naciskała go Shannon. W jej oczach koloru morskiej wody pojawiły się groźne błyski. - Co zrobiłbyś w takiej sytuacji?

- Zostałbym tutaj - odparł. - Nie chcę się z tobą rozstawać. Ani w tym świecie, ani w żadnym innym.

Shannon wspięła się na palce i spojrzała ponad jego ramieniem.

- Och, Boże! Andrew, patrz!

- Nie. Nie chcę.

- Już rośnie... Boże, Andrew!

Andrew powoli odwrócił się w stronę podjazdu. To, co zobaczył, przekraczało granice ludzkiego pojmowania. Gondola wyglądała jak nowa, a jaskrawoczerwona powłoka balonu szybko wypełniała się gorącym powietrzem. Czyżby pod wpływem działania chmur balon w magiczny sposób odzyskał dawną świetność?

- Magiczny ogień - szepnął zaskoczony. Z palnika nad gondolą wydobywały się płomienie. - To przecież niemożliwe.

- Może masz rację - krzyknęła Shannon, chwytając krawędź gondoli. - A jednak to dzieje się tu, przed naszymi oczami, i oboje wiemy dlaczego.

Andrew pomyślał o losach Emilie i Zane'a i ich nadziejach na przyszłość... o Rebecce i Josiahu i ich dzieciach. Czy ich los rzeczywiście spoczywał w jego rękach? Czyżby jednak sądzone mu było zostać bohaterem, mężczyzną, na jakiego Shannon zasługiwała?

Jakież to jednak może mieć znaczenie, jeśli mieli żyć oddzielnie, oddaleni o ponad dwieście lat, i dożyć swych dni w samotności?

- Kocham cię, Shannon - powiedział wreszcie. - Byłbym kłamcą, gdybym twierdził, że przeszłość nie ma dla mnie znaczenia, ale nie mogę sobie wyobrazić życia bez ciebie.

- To poproś mnie, ty idioto! Poproś, żebym pojechała z tobą.

- Nie mogę - odpowiedział. Serce mówiło mu coś zupełnie innego niż głowa. Wskazał szerokim gestem na dom, ogród i basen. - Jak mogę żądać, żebyś to wszystko rzuciła, skoro mogę ci zaoferować tylko życie pełne trudów i wyrzeczeń?

- Bogactwo nie gwarantuje szczęścia - odpowiedziała spokojnie Shannon. - Wiem to z doświadczenia.

- Nie wiesz, co mówisz, dziewczyno.

- Doskonale wiem, co mówię. Wiem, co to znaczy być bogatym, ale nie wiem, co to szczęście. To ty możesz mi to pokazać. Ty i tylko ty.

- Nie mam ani domu, ani żadnych perspektyw. Nie mogę ci nawet zagwarantować, że wylądujemy w tej samej epoce, z której wystartowałem.

- Nic mnie to nie obchodzi. - Serce Shannon wypełniła radość. - Wierzę, że będziemy szczęśliwi. Czy ty

tego nie rozumiesz? Właśnie dlatego tu przybyłeś. Przybyłeś, żeby mnie znaleźć.

Andrew spojrzał jej w oczy i nagle roześmiał się głośno. Jego orzechowe oczy zabłyśły.

- Masz rację - powiedział i przyciągnął ją do siebie.
- Nigdy nie pozwolę ci odejść.

- Muszę cię uprzedzić, że oczekuję od ciebie pewnych rzeczy - poważnie stwierdziła Shannon. - Chcę kochać i być kochana. Chcę, żebyśmy byli partnerami. Chcę, żebyśmy byli dla siebie uprzejmi i tolerancyjni. Chcę urodzić twoje dzieci. - Uśmiechnęła się do niego.
- Słyszałeś, Andrew? Chcę mieć twoje dzieci.

- Tak - mruknął stłumionym głosem. - To prawdziwe szczęście, że oboje pragniemy od życia tego samego, łaskawa pani.

- Skoro już wróciłeś do formalności, to warto o jednym pomyśleć. - Shannon wbiła mu palec w pierś. - Sądzę, że powinniśmy zalegalizować nasz związek.

- Czy proponujesz małżeństwo?

- Czy ożenisz się ze mną, Andrew? - spytała i jednocześnie wybuchnęła śmiechem. - Czy uniesiesz mnie w siną dal na swym czarodziejskim balonie i sprawisz, że znów będę uczciwą kobietą? Czy będziesz mnie zawsze kochał?

- Z radością wezmę cię za żonę, dziewczyno, ale musisz wiedzieć, że nie uznaję rozwodów. Gdy przysięgniemy sobie przed Bogiem miłość i wierność, będziemy już połączeni na wieczność.

- Wieczność - szepnęła Shannon. - Niczego więcej nie pragnę, jak być z tobą przez całą wieczność.

Odwrócili się w stronę balonu. Niemal całkowicie wypełniona powłoka tańczyła ponad gondolą.

- Już niemal gotów - powiedział Andrew. - Zaraz zacznie się wznosić.

- Nie możemy od razu lecieć. - Shannon nagle odzyskała poczucie rzeczywistości. - Muszę się spakować.

- Nie ma czasu, dziewczyno. Albo wsiadamy, albo balon odleci pusty.

- Jedną minutę, Andrew! Zaraz wracam, obiecuję.

To rzeczywiście trwało tylko minutę. Po chwili Shannon wróciła niosąc dużą torbę.

- Osiwieję przez ciebie, dziewczyno - mruknął Andrew i podsadził Shannon do gondoli. Balon zadygotał, był już gotów do startu. Andrew wrzucił do kosza torbę Shannon i sam wskoczył do środka. - Cóż było tak ważne, że zaryzykowałaś naszą przyszłość?

- Cierpliwości, panie McVie - śmiała się Shannon. - Przekona się pan o właściwej porze.

Andrew zajął się torbą. Shannon odepchnęła go, ale on zdążył coś zauważyć.

- Nasze zdjęcie z gazety!

- Dla naszych dzieci, Andrew. - Shannon spojrzała na niego wzrokiem pełnym miłości. Andrew czuł, że radość rozsadza mu serce. - Łatwiej będzie wyjaśnić im ten cud.

Andrew wyobraził sobie dziewczynkę tak piękną i szlachetną jak ona oraz chłopca, dorównującego jej odwagą i inteligencją. Kiedyś myślał, że sądzona jest mu samotność, ale teraz, gdy odnalazł Shannon, przyszłość nagle wydała mu się jasna i promienna.

- To dopiero była przygoda - powiedział przytulając ją do siebie. Balon oderwał się od ziemi.

- Wiem - szepnęła Shannon i oparła głowę na jego ramieniu. - Teraz pora wracać do domu.

- Tak - przyznał. Spomiędzy chmur prześwitywało słońce. - Tym razem nam się udało.

Jutro i na zawsze

Epilog

- Nie wyglądasz za dobrze - stwierdziła Angela patrząc na Dakotę.

- Bardzo ci dziękuję - odpowiedziała Dakota i zwichrzyła jej włosy. - Chyba jestem za stara na takie nocne wyprawy. - Rozejrzała się wokół. Byli na dziedzińcu schroniska. - Wszyscy obecni?

Jedna z matek pokazała jej wzniesiony do góry kciuk.

Powrócili do schroniska, gdy słońce wspięło się ponad korony drzew. Gdyby nie dziwne chmury przesłaniające znaczną część nieba, byłby to ładny poranek. W każdym razie dzieci były gotowe zjeść śniadanie. Matki wydawały się zadowolone, że przetrwały noc.

Natomiast Dakota czuła się tak, jakby wpadła pod wielką ciężarówkę.

- Zaraz zrobię jajecznicę - powiedziała Pat. - Może zostaniesz na śniadaniu?

- Jeśli usiądę przy stole, to zaraz zasnę i wpadnę twarzą w talerz - zażartowała Dakota. Wzięła torebkę i kluczyki od samochodu. - Jadę do domu spać.

- Weź kilka pączków - zaproponowała Pat. - Jesteś taka szczupła.

- Niech Bóg błogosławi cię, twoje dzieci i dzieci twoich dzieci - powiedziała Dakota na widok wielkiej torby wypełnionej paczkami nadziewanymi marmoladą.
- Ten, kto postanowił, że duże rozmiary ubrań winny być zakazane, niech będzie przeklęty.

Wsiadła do samochodu i uruchomiła wycieraczki, żeby oczyścić przednią szybę z rosy. Ciekawa była, co dzieje się z Shannon i Andrew, ale postanowiła im nie przeszkadzać. Bóg wie, co przeżyli tej nocy. Prócz tego sama czuła się bardzo podle. Była nie tylko znużona, ale bardzo słaba, tak jakby dopiero wstała z łóżka po kilkutygodniowej chorobie.

Do łóżka, pomyślała, wyjeżdżając z podjazdu i skręcając na szosę. Dwunastogodzinny sen powinien przywrócić jej siły.

Nagle zauważyła jakąś czerwoną plamę i odruchowo przyhamowała. To coś unosiło się ponad drzewami rosnącymi obok willi Shannon. Dakota poczuła dziwne bicie serca. Przypomniało to jej, jak traciła przytomność przy każdym spotkaniu z Andrew. Dziwne, że teraz znowu poczuła się słabo, mimo że nie było go w pobliżu.

Spojrzała ponownie w kierunku czerwonej plamy i nagle wszystko stało się jasne.

- Balon! - zawołała. Nie miała wątpliwości, że właśnie w tej chwili Andrew ma ostatnią szansę powrotu do swego świata.

W minutę później z piskiem opon zahamowała na podejździe przed domem Shannon, wyskoczyła z samochodu i stanęła jak wryta. Patrzyła, jak balon unosi się kilkanaście centymetrów nad ziemią.

Gdy zobaczyła stojących w gondoli Andrew i Shannon, jej serce mocno zabiło. Machali do niej rękami. Są razem, pomyślała z uniesieniem. Lecz do domu. Przez łzy zalewające jej oczy dostrzegła, że otacza ich identyczna, złota poświata.

Balon wzniósł się nieco wyżej. Gondola była już pół metra nad ziemią.

- Czekajcie! - krzyknęła. - Mam coś dla was!

- Pospiesz się! - odkrzyknęła Shannon. - Mamy mało czasu.

Dakota spróbowała podbiec, ale nogi miała jak z ołowiu. Z trudem odrywała stopy od ziemi.

Gondola uniosła się jeszcze parę centymetrów.

- To paczki - krzyknęła, wrzucając torbę do gondoli.

- Tylko ich nie zgniećcie - dodała myśląc, że pewnie przyda się im coś do jedzenia. W końcu ich następny posiłek miał wypaść dwa wieki wstecz.

Dół gondoli był już na poziomie jej talii. Czerwień powłoki stawała się coraz bardziej jaskrawa. Dakota spojrzała na swoje ręce i ramiona. Nie mogła dostrzec swojej aury. Dotknęła gondoli i światło wróciło. Dakota puściła kosz i z przerażeniem patrzyła, jak jej ciało staje się niemal przezroczyste, tak jakby miała zaraz zniknąć.

Ze zdumienia kręciło się jej w głowie. Z trudem utrzymywała się na nogach. Miała wrażenie, że jej dusza porzuca swą ziemską powłokę. Boże, przecież ja umieram! - pomyślała z przerażeniem. Jedyne, co trzymało ją na tym świecie, to czerwony balon. Za chwilę, gdy odleci, ona z pewnością umrze.

- Andrew, musimy coś zrobić! - krzyknęła z przerażeniem Shannon, przyglądając się przyjaciółce.

- O co ci chodzi? - wykrztusiła Dakota. - Wreszcie znalazłam skuteczną dietę...

- Zawsze żartujesz, Wylie. Czy nie możesz zachować powagi nawet teraz, gdy wyciągasz kopyta?

- Daj mi rękę - zawołał Andrew i wychylił się.

- Wykluczone. Jeśli teraz stracę przytomność, to już z pewnością na dobre.

- Moim zdaniem nie masz wyboru.

Andrew wychylił się jeszcze bardziej, chwycił Dakotę w pasie i wciągnął do gondoli. W tym samym momencie balon szybko poszybował w górę.

- Piąte koło, i to dwa wieki wstecz - powiedziała Dakota. Jej puls powoli wracał do normy. - Jeszcze nie jest za późno, możecie się wycofać. Powiedźcie, żebym sobie poszła, z pewnością się nie obrażę. Mogę wyskoczyć. Pewnie złamię nogę, ale czegoż się nie robi dla przyjaciół. - Dakota przerwała swoją tyradę, lecz nikt jej nie odpowiedział. - Żartowałam. Jeżeli chcecie lecieć sami, wystarczy, że to powiecie, a...

Andrew i Shannon nie słyszeli ani słowa. Trwali w objęciach, już przeniesieni w przeszłość.

Dakota poczuła, że coś ściska ją w gardle. Wytarła dłonią łzy. Kontakt z przeznaczeniem wyzwał jej romantyczne cechy.

- Piąte koło - powtórzyła, ale te słowa nie sprawiały jej przykrości.

Wzniesli się już ponad chmury. Dakota zapomniała o lęku. Był piękny, letni dzień. Świeciło słońce, powie-

trze wydawało się czyste i przejrzyste. Lecieli na spotkanie z przygodą. Dakota cieszyła się, że wdała się w matkę i potrafi bez wahania wyruszyć w nieznanne.

Usłyszała cichy śmiech i spojrzała na Shannon i Andrew. Wciąż otaczała ich złocista poświata, ale Dakota wiedziała, że tym razem opromienia ich miłość. Przyglądała się im bezwstydnie i czuła, jak po policzkach spływają jej łzy. Andrew trzymał Shannon w objęciach tak, jakby była jedyną kobietą na ziemi. A Shannon! Shannon wpatrywała się w niego z taką radością, że Dakota raz jeszcze westchnęła, zdziwiona, jakie cuda może sprawić miłość.

Ładna kobieta nigdy nie wie, kiedy i gdzie znajdzie swą miłość. Może nią być lekarz, prawnik, Indianin czy też szpieg-patriota. Jedyne, co ma znaczenie, to odnalezienie drugiej połowy swego serca.

Dakota uśmiechnęła się i odwróciła głowę. Zdążyła jeszcze zobaczyć, jak Shannon wspina się na palce, żeby pocałować swego ukochanego. Pomyślała, że czasem trzeba pokonać wieki, aby odnaleźć miłość.

Nagle poczuła wilczy głód. Wyjęła z torby pączka i z przyjemnością wbiła weń zęby. Malinowa marmolada, pomyślała i uznała to za dobry omen. Intuicja podpowiadała jej, że sienie myli.